



James

1763

10

10

№ - 111
№ - 111
№ - 111
№ - 111

II 1.512.763



Estr. Wydol. 2
+ 55.220

6219
171
ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC).

№ 535.

CZTERDZIESTU PIĘCIU.

ROMANS HISTORYCZNY

W TRZECH TOMACH.

defekt zmieszczone str. 163-164
br. str. 165-166
brak egzemplarsz z tego wydanie

TOM II.

3
WARSZAWA.

NAKLAD BIBLIOTEKI ROMANSÓW I POWIEŚCI.

Ulica Złota № 23.

1887.

Defekt br. S. 165-166
uszkodzone S. 163-164

ALEXANDER DUMAS (FRENCH)

QUATRE-VINGT-DIXIÈME

QUATRE VINGT-DIXIÈME

QUATRE VINGT-DIXIÈME

Дозволено Цензурою.

Варшава, 14 Июля 1887 года.



II 1.512.763

Druk C. Przybylskiego w Warszawie, ulica Marszałkowska № 116.

1993 D 573 / 1300

CZTERDZIESTU PIĘCIU.

ROMANS HISTORYCZNY

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMAS'A.

TOM DRUGI.

I.

Brat Boromeusz.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Panowie deputowani wracali do domów dosyć upokorzeni i na każdym rogu ulicy uprzejmie żegnali się.

Mikołaj Poulain, jako najdalej mieszkający, szedł na ostatku sam, głęboko rozmyślając o nieprzyjemnem położeniu, z powodu którego wydał wykrzyknik, zaczynający ostatni ustęp poprzedzającego tomu.

W rzeczy samej, przeminął dzień dla wszystkich, a najbardziej dla niego obfity w wypadki.

Wracał więc do domu, przerażony tem co słyszał, mówiąc sobie, że jeżeli Cień uznał za rzecz stosowną skłonić go do wykrycia spisku w Vincennes, to Robert Robert Briquet nie przebaczy mu nigdy, że nie wykrył planu ma-

newrów, który Lachapelle-Marteanu tak naiwnie księciu de Mayenne rozwinął.

W pośród najgłębszych rozmyślań i w pośród uliczki Pierre au-Réal, naksztalt rury na cztery stopy szerokiej, a wiodącej na ulicę Neuve-Saint-Méry, Mikołaj Poulain postrzegł, że na przeciw niemu toczy się Jakobiński habit po kolana zawinięty.

Trzeba było nabok ustąpić, bo dwaj ludzie tą uliczką obok siebie przejść nie mogli.

Mikołaj Poulain miał nadzieję, że mu zakonna pokora ustąpi z drogi, jako człowiekowi przy szpadzie, lecz daremna nadzieja; mnich pędził jak ścigany jelen, a pędził tak szybko, iż byłby nawet mur obalił; Mikołaj Poulain zatem, klnąc, usunął się, aby go nie obalono.

Lecz wtedy w tej ciasnej przestrzeni domami opasanej nastąpiło przykre chwianie się, jakiego doznają dwie niezdecydowane osoby, któreby nigdy uściskać się nie chciały, a zawsze jakby naumyślnie w objęcia wzajemne wpadają.

Poulain kłął, mnich zaklinał, ale habit niecierpliwszy od szpady, porwał ją przez pół i przycisnął do muru.

Wśród takiego zetknięcia, właśnie, gdy się lżyć chcieli, poznali się.

— Brat Boromeusz! — rzekł Poulain.

— Pan Mikołaj Poulain! — zawołał mnich.

— Jakże się masz? — spytał Poulain, z podziwienia godną dobroduszością i niepodobną do wiary uprzejmością paryzkiego mieszczanina.

— Bardzo źle — odparł mnich daleko trudniejszy do

uspokojenia anizeli cywilny, boś mię zatrzymał, a bardzo mi spieszno.

— Do dyabła! jaki bo z ciebie człowiek! — rzekł Poulain zawsze wojujący jak Rzymianin! Ale dokądże u pioruna, tak pędzisz o tej godzinie? Czy wasz klasztor gore?

— Nie, ale chodziłem do księżny, aby pomówić z Maynevill'em.

— Do jakiej księżny?

— Zdaje mi się, że tylko jedną mamy księżnę, u której można mówić z Maynevill'em—rzekł Boromeusz, który z razu mniemał, że urzędnikowi policyi kategorycznie odpowiedzieć winien, jako śledzić go mogącemu, lecz który mimo to ciekawym nie zbyt wiele udzielać się pragnął.

— A cóżeś miał do czynienia u księżny Montpensier?—zagadnął znowu Poulain.

— Ej dla Boga! cóż? cóż? nie szczególnego—odparł Boromeusz, byle jakkolwiek odpowiedzieć.—Księżna pani żądała, aby nasz szanowny przeor z razu zezwolił na to, lecz później wziął go jakiś skrupuł i teraz odmawia. Jutro mieli się widzieć; ksiądz Gorenflot zatem kazał mi, abym oświadczył księżnie, że już na niego liczyć nie powinna.

— Bardzo dobrze, ale coś nie zdaje mi się, że idziesz do pałacu Gwizyuszów, kochany bracie; a powiem nawet, że go już minąłeś.

— Prawda—odparł Boromeusz—bo właśnie z tamtąd idę.

— I dokądże teraz dążysz?

Powiedziano mi w pałacu, że księżna udała się z wi-

zytą do pana de Mayenne, który dzisiaj wieczorem przybył do pałacu Saint-Denis.

— Prawda—rzekł Poulain—książę właśnie tam się znajduje, a księżna jest u niego; lecz powiedz, bracie, dla czego mię zwodzisz? Wszak zwykle nie podskarbi, ale kto inny spełnia w Paryżu polecenia klasztoru.

— A czemużby mnie nie miano dać polecenia do księżny.

— Przecież, ty, zaufany Maynevill'a nie wierzysz we wszystkie te spowiedzi księżny de Montpensier?

— A w cóż bym wierzył?

— Cóż u licha! mój kochany, wiesz dobrze jaka odległość od klasztoru do środka drogi, bo mi ją sam wymierzyć kazałeś; ale strzeż się! mówisz mi tak mało, że ja ci może aż nadto uwierzę.

— To źle uczynisz, kochany panie Poulain; ja nie innego nie wiem. Teraz proszę cię, puść mię, bo mogę nie zastać księżny.

— To ją zastaniesz w domu, bo powróci do domu i lepiej było nawet poczekać tam.

— Bah! — odparł Boromeusz — nic mi przecież nie zaszkodzi, że obaczę księcia.

— Hum!

— Wszakże znasz go. Jak go puścimy do kochanki, to go już nikt nie złapie.

— Teraz rozumiem i kiedy wiem z kim będziesz miał do czynienia, nie zatrzymuję cię dłużej, bywaj zdrów, życzę ci wszelkich pomyślności.

Boromeusz, widząc przed sobą otwartą drogę, w zamian

za to życzenie, powiedział Mikołajowi dobra noc i ruszył dalej.

— Otóż, mamy znowu coś nowego — powiedział do siebie Poulain, patrząc za znikającym w ciemnościach habitem Jakobina—ale co mi u dyabła potem, że się dowiem co się dzieje? Czyby przypadkiem miało mi się podobać rzemiosło, na jakie mię skazano? Ej pfe!

I poszedł spać wprawdzie z niezupełnie spokojnem sumieniem, ale z bezpieczeństwem, jakiego nawet w najfałszywszem położeniu doczesnych rzeczy udziela pomoc silniejszego.

Tymczasem Boromeusz biegł dalej i coraz prędzej, aby wynagrodzić stracone chwile.

Znał on, w istocie, zwyczaje pana de Mayenne i bez wątpienia dla pewnych powodów nie chciał udzielić Mikołajowi Poulain swoich zamiarów.

Cokolwiek bądź, przybył do pałacu Saint Denis spocony i zdyszały, właśnie, gdy pan de Mayenne pomówiwszy z siostrą o ważnych interesach, miał ją pożegnać i później swobodnie udać się do owej damy, na którą, jak wiemy, Joyeuse miał powody użalania się.

Brat i siostra, po długich uwagach nad przyjęciem u króla i nad planem dziesięciu, zgodzili się na następnę fakta:

Że król nie ma żadnych podejrzeń, że co dzień łatwiej pojmać go.

Że szczególnie ważną rzeczą jest uorganizować związek w północnych prowincjach, podczas, gdy król zaniedbuje swojego brata, i zapomina o Henryku z Nawarry.

Że z pomiędzy tych dwóch nieprzyjaciół, obawiać się

jedynie należy księcia d'Anjou, pełnego głuchej ambicyi, gdyż co do Henryka z Nawarry, przez dobrze świadomych rzeczy donosicieli wiedziano, iż oddaje się samej tylko miłości i trzem czy czterem kochankom.

— Paryż już w pogotowiu — mówił Mayenne na głos — ale pokrewieństwo ich z królewską rodziną nadaje siłę politykom i prawdziwym rojalistom; trzeba więc czekać na zerwanie króla ze sprzymierzeńcami jego; co przy nieśtałości Henryka rychło nastąpić miało.

— Czekajmy zatem — mówił dalej Mayenne — skoro nic nie nagli.

— Ja — mówiła po cichu księżna — potrzebuję tylko dziesięciu ludzi rozsiać po całym Paryżu, aby zbuntowali go natychmiast po dokonaniu mojego zamiaru: tych ludzi już znalazłam i nic więcej nie żądam.

Gdy tak rozmawiali, zagnała wszedł Mayneville, oświadczając, że Boromeusz pragnie z księciem pomówić.

— Boromeusz! — spytał zdziwiony książę — co to za jeden?

— Ten — odparł Mayneville — którego mi książę pan przysłałeś z Nancy, kiedy zażądałem człowieka sprytnego i czynnego.

— Prawda, przypominam sobie. Odpowiedziałem ci, że mam jednego, który za dwóch stanie i przysłałem ci kapitana Borroville. Czy zmienił nazwisko, że teraz został Boromeuszem?

— Tak jest, mości książę, a nie tylko nazwisko, ale i mundur, bo się nazywa Boromeusz i jest księdzem.

— Borroville księdzem?

— Tak, panie.

— A dla czego został księdzem? Dyabeł musiał się śmiać mocno, gdy go ujrzał w habitcie.

— Dla czego został jakobinem? (Tu księżna skinęła na Maynevill'a) o tem się Wasza Księżęca Mość później dowie, to nasza tajemnica, łaskawy panie. Tymczasem posłuchajmy brata Boromeusza, lub kapitana Borroville, jeżeli Wasza Księżęca Mość wolisz.

— Dobrze, bo nawet przybycie jego niepokoi mię— wtrąciła pani de Monpensier.

— I mnie również — rzekł Mayneville.

— No nie trać czasu i wprowadź go — dodała księżna.

Księżę zaś wahał się między chęcią wysłuchania tego posłańca, a obawą chybienia umówionej schadzki u swojej kochanki.

Spojrzał na drzwi i na zegar.

Drzwi się otworzyły, zegar wybił jedenastą.

— Ah! Borroville — rzekł księżę śmiejąc się, mimo, że był w złym humorze — jakże się przebrałeś, przyjacielu!

— Dostojny panie — powiedział kapitan — mnie w istocie nie zbyt wygodnie w tej przeklętej sukni; ale kiedy mus, jak mawiał księżę de Guise ojciec.

— Ale przecież to nie ja wpakowałem cię w ten habit, mój Borroville — rzekł księżę — nie miej więc do mnie żalu, proszę.

— Nie, dostojny panie, to księżna pani; ale i do niej nie mam żalu, bo jej służę.

— Dziękuję kapitanie; ale mów co masz powiedzieć, bo już późno.

— Na nieszczęście nie mogłem przybyć prędzej, dostojny panie, bo miałem cały klasztor na karku.

— No! to mów teraz.

— Oto, książę panie — rzekł Borroville — król wyprawia posiłki księciu d'Anjou.

— Bah! — odparł Mayenne — znana śpiewka, już ją wam od lat trzech powtarzają.

— Prawda, dostojny panie, ale teraz jest to wiadomość niezawodna.

— Hm! — rzekł Mayenne i poruszył głową jak koń, który dęba staje — niezawodna?

— Dzisiaj nawet, to jest w nocy o drugiej, pan de Joyeuse wyjechał do Rouen. W Dieppe wypłynie na morze i poprowadzi trzy tysiące ludzi do Antwerpii.

— O! ho! — zawołał książę — a któż ci to powiedział, Borrovillu?

— Pewien człowiek, który sam znowu jedzie do Nawarry.

— Do Nawarry, do Henryka?

— Tak jest, dostojny panie.

— A któż go posyła do Henryka?

— Król. Tak jest, dostojny panie, król, a nawet ma list od króla.

— Co to za człowiek?

— Nazywa się Robert Briquet.

— I?

— I jest wielkim przyjacielem dom Gorenflota.

— Wielkim przyjacielem dom Gorenflota?

— Mówią do siebie ty.

— Poseł króla?

— Tego jestem pewny; posyłał z klasztoru do

po list wiarytelnny, a polecenie to wykonał jeden z naszych zakonników.

— Który?

— Nasz mały rycerz Jakób Cleinment, ten sam, który zwrócił na siebie uwagę księżnej pani.

— I nie komunikował ci tego listu—rzekł Mayenne—o! niezgrabiasz!

— Dostojny panie, król nie wręczył mu tego listu; ale odesłał go posłowi przez swoich ludzi.

— Do pioruna! potrzeba koniecznie ten list przejąć.

— Zapewne, że trzeba—rzekła księżna.

— I nie pomyślałeś dotąd o tem?—rzekł Mayneville.

— Owszem, chciałem nawet przydać posłowi za towarzysza jednego z moich ludzi, herkulesa, ale Robert Briquet nie ufał mu i napowrót odesłał.

— Trzeba było pójść samemu.

— Niepodobna.

— Dla czego?

— Bo on mię zna.

— Jako mnicha zapewne, ale nie jako kapitana.

— Na honor, nie wiem, to ten Robert Briquet ma bardzo bystre oko.

— Cóż to za człowiek?—spytał Mayenne.

— Słuszny, suchy, muskularny, kościsty, przebiegły, szydarczy i milczący.

— Ah! ah! i robiący szpada?

— Jak ten co ją wynalazł, dostojny panie.

— Twarz długa.

— Dostojny panie, on ma rozmaite twarze.

— Przyjaciół przeora?

— Jeszcze od czasu jak był prostym księdzem.

— Ah! mam pewne podejrzenie — rzekł Mayenne, marszcząc brwi—i postaram się bliżej o tem przekonać.

— Niech się książę pan spieszy, bo ten łotr musi szybko umykać na swoich długich nogach.

— Borrovillu—rzekł Mayenne—pojedziesz do Soissons, do mojego brata!

— A klasztor, dostojny panie?

— Czyż ci tak trudno wykręcić się od dom Modesta, który wierzy wszystkiemu, czemu chcesz, aby wierzył?

Powiesz panu de Guise — mówił dalej Mayenne — wszystko, co wiesz o wyprawie pana de Joyeuse.

— Dobrze, dostojny panie.

— A o Nawarze zapominasz bracie — wtrąciła księżna.

— Owszem, pamiętam dobrze i biore ją na siebie — odparł Mayenne. — Mayneville, każ mi osiodłać świeżego konia.

A po cichu dodał:

— Miałby on żyć jeszcze? O! tak jest, żyje nie-zawodnie!

II.

Chicot łacinnik.

Przypomnijmy sobie, że Chicot po odjeździe obu młodzieńców, którzy mu list króla doręczyli, ruszył szybko w dalszą drogę.

Lecz zaledwie znikli w dolinie, Chicot, który nakształt Argusa miał oczy w tyle, a nie widział już Ernautona ani Sainte-Malin'a, stanął na najwyższym punkcie, przebiegł okiem po horyzoncie, rowach, równinie, krzakach, rzece, słowem przejrzał nawet obłoki ukośnie po nad wielkimi drzewami przeciągające i przekonany, że nikt mu nie przeszkadza i nikt go nie szpieguje, usiadł w rowie plecami o drzewo oparty i rozpoczął tak zwany egzamen sumienia.

Miał dwa worki z pieniędzmi, spostrzegł bowiem, że sakiewka, którą mu Sainte-Maline wraz z królewskim listem doręczył, zawierała jakieś okrągłe przedmioty, bardzo podobne do złota lub drobnej monety srebrnej.

Sakiewka była rzeczywiście królewska, bo opatrzona podwójną cyfrą H, wyhaftowaną na wierzchu i u spodu.

— To pięknie—mówił Chicot, oglądając woreczek— to bardzo ładnie ze strony króla! Jego nazwisko, jego herby, nie można być wspaniałomyślniejszym i więcej próżnym. Ha! już go, widzę, nigdy nie przerobię! Ale słowo honoru daje!—mówił dalej Chicot—mocno mię to dziwi, że ten poczciwy król nie kazał na sakiewce wyhaf-

tować listu, który mam zanieść do jego brata, oraz pokwitowania z odbioru. Po cóż kłopotać się mamy? dzisiaj cały świat polityczny używa świeżego powietrza; a więc i my czyśmy to samo. Bah! gdyby zamordowano biednego Chicot'a, podobnie jak gońca, którego ten sam Henryk wyprawił do Rzymu do pana de Joyeuse, byłoby jednym przyjacielem mniej i nie więcej; a w naszych czasach przyjaciele, to rzecz tak pospolita, że można ich marnotrawić. Ale dziej się wola Boża!.. A teraz, obaczmy najprzód wiele mamy pieniędzy w sakiewce, potem obaczmy list... Sto talarów, właśnie tyle, ile pożyczyłem u Gorenflota. To doprawdy po królewsku. Ah! przepraszam, nie ubliżajmy: oto mała paczka... a w niej hiszpańskie złoto... pięć kwadrupli. Co za grzeczność! co za delikatność! Henryk jest bardzo uprzejmy! i doprawdy, gdyby nie te zbyteczne cyfry i lilie, to bym mu za to posłał serdeczny pocałunek... Ale ta sakiewka zawadza mi; zdaje mi się, że ptactwo, przelatujące nad moją głową, bierze mię za królewskiego emissaryusza i drwi sobie ze mnie, a co może gorsza, wykryje mię przechodzącym.

Chicot wypróżnił sakiewkę na dłoń, wydobył z kieszeni zwyczajny płócienny woreczek Gorenflota, wsypał weń srebro i złoto, mówiąc do pieniędzy:

— Możecie sobie razem spokojnie siedzieć moje dziatki, bo pochodzicie z jednego kraju.

A potem wydobywszy list z sakiewki, w jego miejsce włożył kamyk, ściągnął sakiewkę sznurkiem, zawiązał i jak procarz cisnął ją w tuż płynącą Orgę.

Woda prysła; parę kół przesunęło się po jej spokoj-

nej powierzchni i coraz bardziej rozszerzając się znikło przy brzegu.

— Tyle dla mnie — rzekł Chicot — teraz pracujmy dla Henryka.

I znowu wziął do ręki list, który był na ziemi położył, aby tem łatwiej mógł cisnąć sakiewkę do rzeki.

Lecz drogą szedł osieł drzewem obładowany.

Wiodły go dwie kobiety, a szedł tak dumnie, jakby zamiast drzewa niósł relikwie.

Chicot szeroką dłonią przykrył list i oparłszy ją o ziemię czekał, aż kobiety z osłem przejdą.

Skoro się znowu przekonał, że jest sam, rozdarł kopertę, z nieustraszoną spokojnością złamał pieczętkę, jakby szło o zwyczajne i do niego adresowane pismo.

Potem kopertę i pieczęć zgniół w rękach również wraz z kamykiem zawinął i wszystko razem posłał do wody za sakiewką.

— A teraz — powiedział Chicot — obaczmy styl.

Rozwinął list i czytał co następuje:

„Wielce ukochany bracie. Głęboka miłość jaką żywił ku tobie nasz wielce ukochany zmarły brat i król Karol IX, mieszka dotąd pod sklepieniami Luwru i uproczywie tkwi w sercu mojem.

Chicot uklonił się.

„Dla tego to z niemałym wstrętem przychodzi mi mówić z tobą o nieprzyjemnych i smutnych rzeczach. Lecz wiem, że przeciwnemu losowi umiesz silnie stawiać czoło to też bez dalszego namysłu udzielam ci to, o czem się od ważnych i doświadczonych przyjaciół dowiedziałem.

Chicot przerwał sobie i znowu się uklonił.

„Zresztą, królewski interes nakazuje mi przekonać się o tem, a tym interesem jest mój i twój honor, bracie.

„Podobni jesteśmy do siebie z tego względu, żeśmy obaj nieprzyjaciołmi otoczeni. Chicot ci to wytłumaczy.

— *Chicotus explicabit!*—powiedział Chicot—a raczej *coolvet*, co daleko piękniej brzmi.

„Sługa twój, pan vice-hrabia de Turenne, codziennie dostarcza gorszących wzorów twojemu dworowi. Boże zachowaj mię od wglądania w interesa twoje, dla innych powodów, jak dla twojego dobra i honoru; ale małżonka twoja, którą z wielkim żalem siostrą nazywam, zamiast mnie powinna się o to troszczyć, czego jednak zgoła nie czyni.

— O! ho! — rzekł Chicot, tłumacząc dalej po łacinie:— *Quaeque omittit facere*. To za mocno.

„Czuwaj zatem, bracie, zaklinam, nad tem, aby stosunki Margoty z vice-hrabią Tureniuszem, ściśle związanym z wspólnymi przyjaciółmi naszymi, nieprzyniosły hańby i krzywdy domowi Burbonów. Daj dobry przykład skoro tylko przekonasz się o rzeczywistości faktu; a przekonasz się natychmiast, skoro wysłuchasz Chicota tłumaczącego ci mój list.

— *Statim atque audiveris Chicotum litteras explicantem*. Czytajmy dalej—rzekł Chicot.

„Smutną byłoby rzeczą, gdyby najmniejsze nawet podejrzenie ciążyło na prawości twojego następstwa, na tym nieoszacowanym punkcie, o którym mnie, bracie, Bóg myśleć zabrania; bo ja, niestety! z góry już skazany jestem na to, abym nie odżył w mojej potomności.

„Winowajcy, których ci jako brat i król wskazuję,

spotykają się po większej części w małym zamku zwanym Loignac; udają się tam pod pozorem polowania; wreszcie zamek ten jest ogniskiem intryg, którym panowie Gwizyusze obcy nie są: bezwątpienia bowiem wiesz, kochany Henryku, jak dziwną miłością siostra moja ścigała Henryka Gwizyusza i własnego brata mojego, pana d'Anjou, wówczas, gdy sam jeszcze to nazwisko nosiłem i kiedy on nazywał się księciem d'Alençon.

— *Quo etquam irregulari amore sit prosecuta et Henricum Guisium et germanum meum. etc.*

„Sciskam cię serdecznie i zalecam rady moje, zresztą gotów jestem pomagać ci zawsze i wszędzie. Tym czasem kieruj się radami Chicota, którego ci posyłam.

— *Age auctore Chicoto.* Brawo! otóż jestem radcą królestwa Nawarry.

„Twój przychylny etc. etc.

Chicot przeczytawszy list, ukrył głowę w obie dłonie.

— Hm! — rzekł — jak widzę nie bardzo przyjemne dano mi polecenie, to dowodzi jak powiada Horacy Flaccus, że kto unika złego, to w gorsze wpada. Doprawdy, wolę raczej pana de Mayenne. A jednak, pomijając tę jego przekłątą haftowaną sakiewkę, której mu darować nie mogę, przyznać należy, że list napisał zręcznie. W rzeczy samej, przypuszczając, że Henryk z Nawarry istotnie upieczony jest z ciasta, z jakiego zwykle mężów lepia, to ten list natychmiast go poróżni z żoną, Turenniuszem, księciem d'Anjou, Gwizyuszem, a nawet z Hiszpanią. Hm! skoro Henryk Walezyusz wie w Luwrze z taką dokładnością co się dzieje w Pau u Henryka z Nawarry,

to musi tam chyba jakiego kommissanta utrzymywać, a ten kommissant mocno Henryka zaintryguje.

Z drugiej strony znowu, doznam wielkich nieprzyjemności z powodu tego listu, jeżeli spotkam jakiego Hiszpana, Lotaryńczyka, Bearnńczyka lub Flamandczyka, który przez ciekawość zapragnie dowiedzieć się po co mię do Bearn przysłano.

Bah! byłbym bardzo nieprzezorny, gdybym nie miał nadziei spotkać podobnych ciekawskich. Jeżeli się nie mylę, to pan Boromeusz mianowicie, sprawi mi jakąś niespodziankę.

Punkt drugi.

Czegoż pragnął Chicot, gdy prosił króla Henryka o poruczenie mu tego poselstwa?

Wszak tylko spokojność miał na celu.

A oto teraz, Chicot poróżni króla Nawarry z małżonką.

To wcale nie jest rzeczą Chicota, bo Chicot różniąc między sobą tak dostojne osoby, porobi sobie śmiertelnych nieprzyjaciół a ci nie dozwolą mu osiągnąć szczęśliwie osmdziesiątego roku życia.

Na honor, tem lepiej, bo młody tylko dobrze żyć może.

Ależ, jak mi Bóg miły, na jednoby mi wyszło czekać aż mię pan de Mayenne nożem przebije.

Nie, gdyż za wszystko wzajemnością odpłacać trzeba, taka zasada Chicota.

Chicot więc ruszy w dalszą drogę, ale Chicot ma rozum. Chicot będzie ostrożny, a tem samem prócz pieniędzy nic więcej przy sobie mieć nie będzie, aby w razie

zabicia Chicota, jemu samemu tylko krzywdę wyrządzono.

Chicot zatem ukończy rozpoczęte dzieło, to jest od początku do końca przetłómaczy ten piękny list po łacinie i utkwi go sobie w pamięci, gdzie już wryły się jego dwie części, potem kupi sobie konia, bo w istocie z Juvisy do Pau zanadto wiele razy trzeba postawić prawą nogę pierwszej aniżeli lewą.

Lecz przedewszystkiem, Chicot podrze list przyjaciela swojego Henryka Walezyusza na nieskończoną liczbę drobnych cząsteczek i postara się, aby te cząstki do stanu atomów przywiedzione, rozbiegły się jedne po rzecze, drugie po powietrzu, aby reszta ich dostała się ziemi, naszej wspólnej matce, w której łono wszystko powraca.

Skoro Chicot ukończy to co zaczyna...

I przerwał sobie wykonywając swój plan podziału. Jedna część listu poszła z wodą, druga uleciała w powietrze, a trzecia znikła w dziurze umyślnie wykopanej nie nożem ani sztyletem, ale narzędziem, które to oboje zastąpić mogło i które Chicot zawsze nosił za pasem.

Skończywszy, mówił znowu do siebie:

— Chicot jaknajostrożniej ruszy w dalszą drogę, zje obiad w pocziwem mieście Corbeil, bo ma bardzo pocziwy żołądek. Ale tymczasem zajmie się łacińskim ćwiczeniem, które zrobić postanowił, bo mu się zdaje, że coś arcyładnego utworzy.

Nagle Chicot zatrzymał się; zmiarkował, że nie potrafi przełożyć na łacińskie wyrazu Luwr i to go mocno niepokoiło.

Również musiał zmakaronizować wyraz Margo na

Margota, jak to uczynił z wyrazem *Chicot*, zamieniając go na *Chicotus*, ponieważ zważył, że aby się dobrze wyrazić, wypadało tłómaczyć *Chicot* przez *Chicôt*, a *Margot* przez *Margôt*, co niebyłoby po łacinie ale po grecku. O wyrazie *Margarita*, niepomyślał wcale, bo według jego zdania, przekład nie byłby dokładny.

Cała ta łacina, ze swoją cycerońską czystością i składnią, zawiodła *Chicota* aż do *Corbeil*, przyjemnego miasta, w którym śmiały poseł przypatrzył się nieco cudom katedralnego patrona, oraz cudom piekarza, traktyjnika i oberżysty, apetycznemi wyziewami przejmującego okolicę katedry.

Nie opiszemy tu uczyty jaką sobie wyprawik; nie odmalujemy konia, którego kupił w stajni oberżysty, bobyśmy podejmowali się zbyt trudnego obowiązku; powiemy tylko, że uczta trwała dosyć długo, a koń miał tyle wad, że sumienne ich opisanie dostarczyłoby nam przedmiotu do zapełnienia całego tomu.

III.

Cztery wiatry.

Chicot, przenocowawszy w *Fontainebleau*, nazajutrz wsiadł na swojego małego konika, który jednak musiał być dosyć mocny, skoro udźwignął tak słusznego mężczyznę, skręcił na prawo i przybył do wioski, zwanej *Orge-*

val. Chętnie byłby jeszcze tego dnia przebył kilka mil, aby się ile możności oddalić od Paryża, lecz koń jego zaczął się tak często i tak nisko potykać, iż Chicot osądził, że koniecznie wypada mu zatrzymać się.

Zresztą oczy jego, zwykle tyle wprawne, nie zdołały nic dostrzedz na całej drodze. Ludzie, wozy, rogatki nie wzbudzały w nim najmniejszego podejrzenia.

Jakkolwiek jednak Chicot zdawał się być bezpiecznym, nie polegał zupełnie na tem bezpieczeństwie, czytelnicy nasi wiedzą, że pozorom wcale nie wierzył.

Nim więc udał się na spoczynek i nim konia w stajni umieścił, pierwiej starannie cały dom obejrzał.

Pokazywano mu pyszne pokoje o kilku wchodach; lecz według zdania Chicota nietylko miały one za wiele drzwi, ale nadto owe drzwi nie dobrze się zamykały.

Gospodarz kazał niedawno wyrestaurować wielki gabinet z jednemi tylko drzwiami na schody wychodzącemi, a drzwi te miały silny zamek wewnątrz.

Chicot wybrał sobie ten gabinet i kazał przyrzędzić sobie łóżko.

Spróbował, czy zamek dobrze spuszcza, pozasuwał rygle i zadowolony, zjadł u siebie wieczerzę, nie kazał zbierać ze stołu, pod pozorem, że czasami w nocy głód mu dokucza, poczem rozebrał się, odzież pokładł na krzesło i zamyslał położyć się.

Lecz nim to uczynił, dla większej ostrożności, wydobyl z odzieży sakiewkę, a raczej worek z pieniędzmi i wraz z poczciwą swoją szpadą umieścił pod poduszką.

Potem trzy razy powtórzył list na pamięć.

Stół służył mu niejako za wzmocnienie drzwi, jednak

Chicot wszystko to uważał za niedostateczne. Wstał więc, wziął szafę w swoje silne ręce i szczelnie nią drzwi zastawił.

A tak przeciw wszelkiej napaści broniły go drzwi, szafa i stół.

Uważał, że w oberży prawie nikt nie mieszka i że gospodarz dosyć ucziwie wygląda. Tego wieczoru wiatr wiał tak silny, że mógłby zedrzeć rogi wołowi, słyszano jak pobliskie drzewa trzeszczały z łoskotem, który podróżnego w ciepłej izbie i dobrem łóżku spoczywającego na-
zbyt przyjemnie do snu kołysze.

I Chicot również, ukończywszy przygotowanie do obrony, zasnął rozkosznie, bo też w istocie miał łóżko miękko usłane i zabezpieczające człowieka od wszelkich nieprzyjemności tak ze strony ludzi jako i rzeczy.

Chicot ukrył się pomiędzy szerokie zielone firanki i miękką puchową pierzynę, która miłym ciepłem ogrzała strudzone jego członki.

Wieczerzał podług przepisów Hipokratesa, to jest skromnie, a wypił tylko jedną butelkę wina. Żołądek jego w przyzwoitej mierze napełniony, całemu ciału udzielał wrażenia dobrego bytu, jakiego udziela nieomylnie ów grzeczny organ, który u wielu ludzi, pocziwami zwanych, miejsce serca zastępuje.

W pokoju świeciła lampa umieszczona na stole tuż przy łóżku Chicota, gdyż Chicot, aby prędzej usnął, czytał jakąś bardzo ciekawą i nową książkę, dzieło mera z Bordeaux, zwanego Montagne czy też Montaigne.

Książka ta była drukowana w Bordeaux w r. 1581, a zawierała dwie pierwsze części dzieła później dosyć zna-

nego pod tytułem *Essais*. Była to książka tak zajmująca, że można ją było dwa razy jednego dnia przeczytać, ale zarazem ten miała przymiot, iż bynajmniej nie przerywała snu człowiekowi, który konno przebył piętnaście mil, a przy wieczery wypił butelkę wspaniałomyślnego wina.

Chicot wielce tę książkę szacował, bo osobiście znał jej autora, dla tego wychodząc z Paryża zabrał ją z sobą do kieszeni. Kardynał du Perron przezwiał ją brewiarzem uczciwych ludzi, a Chicot pod każdym względem umiejący ocenić gust i dowcip kardynała, chętnie książkę mera z Bordeaux za brewiarz uważał.

Mimo to jednak przy ósmym rozdziale usnął głęboko.

Lampa ciągle gorzała; drzwi zaparte szafą i stołem, ciągle były zamknięte, a szpada i talary ciągle pod poduszką leżały. Ś-ty Michał archanioł, śpiąc na miejscu Chicota nie byłby pomyślał o szatanie, choćby nawet słyszał lwa ryczącego po tamtej stronie drzwi mocno zaryglowanych.

Wspomnieliśmy, że na dworzu wiał wiatr gwałtowny: syczenie tego olbrzymiego węża z przerażającą melodią przeciskało się przez szczeliny drzwi i dziwnie deskami wstrząsało. Wiatr najdoskonalej naśladuje, a raczej najwyraźniej szczydzi z ludzkiego głosu: już to piszczy jak kwilące dziecię, już silnemi podmuchy naśladuje gniew męża spierającego się z żoną.

Chicot znał się na burzach, a w przeciągu godziny cały ten łoskot stał się dla niego żywiołem spokojności. Walczył on przeciw wszelkiemu niepomiarkowaniu pory roku, gdyż od zimna broniła go kotara, a od wiatru chrapanie; lecz przez sen Chicot mniemał, że się burza po-

większa, a mianowicie dziwnym jakimś sposobem przybliża.

Nagle wicher z niepojętą siłą wstrząsa drzwiami, wyrywa zamek i zasuwę, popycha szafę, która tracąc równowagę upada na stół, obala go wraz z lampą, a ta tłucze się i gaśnie.

Chicot, umiał szybko przebudzić się z twardego snu i odzyskać przytomność, ta przytomność doradziła mu, że lepiej będzie zsunąć się za łóżko, aniżeli stanąć przed niem i gdy to czynił, jego zwinne ręce szybko sięgły na lewo po worek z pieniędzmi, a na prawo po szpadę.

Chicot otworzył oczy, ale ujrzał tylko noc głęboką, otworzył uszy i zdało mu się, że wśród tej nocy najswobodniej walczą z sobą cztery wiatry, pragnąc jeden drugiemu wydrzeć całą izbę, począwszy od szafy coraz mocniej stół gniotącej, aż do krzesel posuwających się i uderzających o inne sprzęty.

Ale w pośród tego hałasu, zdaje się Chicotowi, że cztery wiatry przybyły do niego pełne ciała i kości, i że ma do czynienia z Eurusem, Notusem, Akwilonem i Boreuszem we własnych ich osobach, z ich wzdętymi policzkami i grubemi nogami.

Pojąwszy, że trudna sprawa z bogami Olimpu, Chicot, skurczył się między łóżkiem a ścianą jak syn Oilei na widok srogiego jej gniewu, jak mówi Homer, lecz wymierza ostrze swojej szpady w stronę wiatru, a raczej wiatrów, tak, aby mitologiczne osoby, skoro się nieznacznie ku niemu zbliżą, same się poprzebijały, nie dbając o to czyli im nie zada rany podobnie jak Diomed Wenerze.

Lecz po kilku chwilach szalonego hałasu, jakiego

nigdy ucho ludzkie nie słyszało, Chicot korzystając z krótkiej spokojności usiłuje zagłuszyć rozpasane żywioły i zbyt głośno rozmawiające sprzęty, wołając:—Gwałtu na pomoc!

Nakoniec sam przez się tyle hałasuje, iż żywioły cichną, jakby usłyszały sławnego Neptuna, a po sześciu lub ośmiu minutach, w ciągu których Eurus, Notus, Boreusz i Akwilo niby swój odwrót odbywają, gospodarz wchodzi z latarnią i oświetla widownię.

Scena, na której powyższy dramat odegrano, opłakania godny widok przedstawia, bo mocno podobną jest do pola bitwy. Ogromna szafa, leżąc na zgniecionym stole, odsłania drzwi z zawiasów, wysadzone, a trzymające się na jednym tylko ryglu i jak żagiel okrętowy powiewające; kilka krzeseł leży wywróconych do góry nogami; nakoniec fajans, którym stół ozdobiono, świeci niby gwiazdy po podłodze rozsypane.

— Ja tu chyba w piekle jestem! woła Chicot, poznając gospodarza przy świetle jego latarni.

— O! panie — woła gospodarz, postrzegając tak okropne spustoszenie—o! panie, cóż się tu stało?

I wznosił w niebo ręce wraz z latarnią.

— Ilu u ciebie szatanów mieszka, przyjacielu? — ryknął Chicot.

— O! Chryste Jezu, co za pogoda!—równie patetycznym tonem odpowiedział gospodarz.

— Ależ czy tu u ciebie zamki wytrzymać nie mogą? czy twój dom z płótna? wolę raczej wyjść ztąd i pod gołem niebem nocować.

I Chicot podniósł się i ze szpadą w ręku stanął za łóżkiem.

— O! biedne moje meble!—westchnął gospodarz.

— A gdzie są moje suknie, co tu na krześle leżały?—zawołał Chicot.

— Pańskie suknie, kochany panie, naiwnie odparł gospodarz—jeżeli tu były to i dotąd być muszą.

— Jakto, jeżeli były; czy nie myślisz przypadkiem, że wczoraj przyszedłem w ubiorze w jakim mię teraz widzisz?—rzekł Chicot.

I nadaremnie usiłował okryć się swą lekką kołdrą.

— Dla Boga! panie—odparł gospodarz, nie wiedząc jak odpowiedzieć na ten argument, przecież wiem dobrze, że pan byłeś ubrany.

— Twoje szczęście, że to pamiętasz.

— Ale...

— Ale co?..

— Wiatr wszystko porwał, wszystko rozproszył.

— Ah! to mi racya!

— Przecież pan sam widzisz—rzekł gospodarz.

— Jednak mój kochany, posłuchaj mię, uważaj dobrze co ci powiem — dodał Chicot. — Jeżeli wiatr dokąd wchodzi, a tutaj wejść musiał, prawda? aby narobić tego nieporządku...

— Bez wątpienia.

— Otóż! jeżeli wiatr dokąd wchodzi, to wchodzi z zewnątrz?

— Niezawodnie, panie.

— Nie zaprzeczasz temu?

— Nie, chyba byłbym głupim.

— Otóż! wiatr wchodząc tutaj, musiał przyprowadzić

do mojego pokoju czyjeś insze suknie i zostawić je tutaj w miejscu moich, które niewiem gdzie poniósł.

— Zapewne, tak się przynajmniej zdaje. Ale tu istnieją widoczne dowody, że się inaczej stało.

— Słuchajno, kmotrze — powiedział Chicot, badawczem okiem zmierzywszy podłogę — a którędy tu wiatr dostał się do mnie?

— Co pan mówi?

— Pytam, zkaąd się wiatr tutaj dostał?

— Z północy panie, z północy.

— No, to widać, że po błocie chodził, bo oto zostały na podłodze ślady jego trzewików.

I w rzeczy samej, Chicot pokazał gospodarzowi świeże ślady zabłoconego obuwia.

Gospodarz zbladł.

— Teraz, mój kochany — rzekł Chicot — muszę ci poradzić, abyś miał na oku tego rodzaju wiatry, przybywające do twojej oberży, które wysadzając drzwi, dostają się do pokojów i unoszą z sobą odzież podróżnych.

Gospodarz cofnął się o parę kroków, aby mu poobalane sprzęty nie zawadzały i aby znalazł czempredzej drogę na korytarz, a gdy się przekonał, że już odwrót zabezpieczony, rzekł:

— Dla czegoż mię pan złodziejem nazywasz?

— Cóż to się z twoją poczciwą twarzą zrobiło? — spytał Chicot — czemu zmieniłeś się nagle?

— Zmieniłem się, bo mnie pan znieważasz.

— Ja?

— Zapewne, pan mię złodziejem nazywasz — daleko głośniej, a nawet groźnie odparł gospodarz.

— Nazywam cię złodziejem, bo zdaje mi się, żeś odpowiedzialny za moje rzeczy, a nie możesz zaprzeczyć, iż mi te rzeczy tutaj skradziono?

I teraz Chicot, jak fehmistrz próbujący siły swojego przeciwnika, pogroził gospodarzowi.

— Hola! — zawołał gospodarz — hej! chodźcie no tu do mnie!

Na ten głos czterej ludzie zbrojni w kije pokazali się na schodach.

— Ah! otóż Eurus, Notus, Aquilo i Boreasz — rzekł Chicot. — Do pioruna! skoro się sposobność nastęcza, ogołoce ziemię z północnego wiatru; wyświadczę ludzkości prawdziwą przysługę, bo wówczas wieczna wiosna panować będzie.

I długą swoją szpadą tak silnie pchnął ku najbliższemu napastnikowi, iż byłby go na wylot przeszył, gdyby ten nie skoczył wstecz z prawdziwą lekkością Eolowego syna.

Nieszczęściem, odskakując patrzył na Chicota, a tem samem nie mógł patrzeć po za siebie, upadł więc jak długi na schody i z wielkim łoskotem stoczył się na dół.

Ten wypadek dał znak do odwrotu trzem innym, którzy natychmiast znikli jak widma w otwierającej się za nimi przepaści.

Jednak ostatni z nich miał czas coś szepnąć gospodarzowi do ucha.

— Dobrze już, dobrze! — mruknął tenże — pańskie suknie znajdują się.

— I owszem! ja też nic więcej nie żądam.

— Już je tu panu przyniosę.

— Bardzo proszę, bo zdaje mi się, że mam rację, jeżeli nie życzę sobie chodzić nago.

Rzeczywiście przyniesiono odzież, ale mocno zniszczoną.

— O! ho!—rzekł Chicot—w twoich schodach musi być wiele ówieków. Niech dyabli wezmą te wiatry. Ale wracam ci honor, mój gospodarzu, bo i jakże cię mogłem mieć w podejrzeniu? tak uczciwie wyglądasz!

Gospodarz uśmiechnął się przyjemnie.

— A teraz—rzekł—zapewne pan znowu zaśniesz?

— Nie, dziękuję, już dosyć spałem.

— Cóż pan zatem czynić zamýślasz?

— Będziesz łaskaw pożyczyć mi swojej latarni, a ja przy niej czytać będę—równie przyjaźnie odparł Chicot.

Gospodarz nic nie mówiąc podał latarnię Chicotowi i wyszedł.

Chicot znowu drzwi zastawił szafą i położył się na łóżku.

Noc była spokojna, a wiatr ucichł, jakby szpada Chicota dosięgła naczynia, które go przechowywało.

O świcie, ambasador zażądał swojego konia, uiścił należność i wyjechał, mówiąc:

— Obaczymy, co będzie dzisiaj wieczorem.

IV.

Dalszy ciąg podróży i przypadków Chicota.

Chicot przez cały poranek winszował sobie, że w ciągu zeszłej nocy, pełnej doświadczeń, zimną krew zachować umiał.

— Ale—pomyślał—starego wilka nie złapiesz dwa razy w te same sidła; możesz się zatem na pewno spodziewać, że dla mnie wymyślą jakie nowe dyabelstwo; miejmyż się więc na baczności.

W skutku tak roztropnego rozumowania, Chicot przez cały dzień odbył marsz, jakimby nawet Xenofont w swoim odwrocie z dziesięciu tysiącami, unieśmiertelnić się był pragnął.

Każde drzewo, każde wzniesienie, każdy mur służył mu za punkt obserwacyjny, lub za naturalną fortyfikację.

A nawet w drodze pozawierał przymierza, jeżeli nie zaczepne, to przynajmniej odporne.

W rzeczy samej, czterej pulchni kupcy z Paryża, który jechali do Orleanu dla zamówienia konfitur Colignac'a i do Limoges po suszone owoce, raczyli przyjąć towarzystwo Chicot'a, który oświadczył, że jest szewcem z Bordeaux, wracającym do domu po załatwieniu interesów. A ponieważ Chicot, jako rodowity gaskończyk, wtedy tylko zapominał właściwego sobie akcentu, gdy mu brak jego koniecznie był potrzebnym, nie wzbudzał więc w swoich współpodróżnikach żadnej nieufności.

Całe ich grono składało się z pięciu panów i czterech komisantów, a równie z powodu ducha jak i z powodu liczby nie zasługiwało na wzgardę, gdyż od czasu Ligi obyczaj paryzkich kupców przesiąkły były wojowniczą wonią.

Nie powiemy, że Chicot wielce szacował odwagę swoich towarzyszy, ale wyznamy, że przysłowie: iż trzech tchórzów razem nie tyle boją się, niż jeden odważny, wielką mówi prawdę.

Chicot więc przestał bać się, skoro ujrzał obok siebie czterech tchórzów, a nawet odtąd wcale się nie oglądał, chociaż czynił to pierwaj dla przekonania się, kto za nim zdąża.

Takim sposobem, nasi podróżni w pośród rozmów o polityce i mnóstwa przechwałek przybyli do miasta, oznaczonego na wieczerzę i nocleg.

Najedli się, napili i rozeszli po swoich stancyach.

Podczas wieczerzy Chicot nie szczędził ani żartów któremi bawił towarzyszy, ani też muszkatu i burgunda, które mu ciągle ducha dodawały. To też dostało się tam wszystkim kupcom, to jest wolnym ludziom, bądź do króla Francyi, bądź do królów Lotaryngii, Flandryi, Nawarry i innych należącym.

Poczem Chicot udał się na spoczynek, przyrzekłszy czterem kupcom, że im nazajutrz w dalszej podróży towarzyszyć będzie, gdy go w tryumfie wszyscy do sypialni odprowadzali.

Pan Chicot wypoczywał sobie spokojnie, strzeżony jak księżę przez czterech podróżnych, których stancye

poprzedzały jego stancyą, znajdującą się na korytarzu, a tem samem od wszelkiej napaści bronioną.

Że zaś w owym czasie drogi naprawdę nie były bezpieczne, nawet dla osób jedynie we własnych interesach podróżujących, każdy przeto zapewnił sobie pomoc sąsiada na przypadek nieszczęścia. Rozumie się, że Chicot, chociaż nie opowiadał swoich przygód z wczorajszej nocy, pierwszy jednak podał wniosek do zredagowania tego artykułu przymierza, co też jednogodnie przyjęto.

Nie uchybiając więc wrodzonej roztropności, mógł położyć się i usnąć, tem bardziej, że przez ostrożność, pierwiej starannie obejrzał cały pokój, zamknął drzwi na klucz, zamknął okiennicę u jedynego okna, a niepotrzebujemy wspominać, że nawet pukał w ściany, które wszędzie wydały dźwięk zadawalniający.

Wszakże zaraz w pierwszym śnie wydarzył mu się przypadek, którego by nawet sam sfinx mimo całej przenikliwości swojej, nie mógł być przewidzieć; bo też wyraźnie szatan postanowił wdać się w interesa Chicot'a, a szatan przebieglejszy, niż wszystkie sfinxy na świecie.

Około pół do dziesiątej, ktoś bojaźliwie zapukał do drzwi komisantów, którzy wszyscy czterej spali razem w izdebce, położonej nad korytarzem ich pryncypałów. Jeden z nich dosyć zagniewany otworzył i spotkał się oko w oko z gospodarzem.

— Moi panowie — rzekł tenże — z radością widzę, żeście się pokładli zupełnie ubrani; pragnę wyświadczyć wam wielką przysługę. Wasi pryncypałowie przy wieczery zanadto zapalczywie rozmawiali o polityce. Zdaje się, że któryś z urzędników miejskich słyszał tę rozmowę

i wszystko merowi opowiedział. Otóż, nasze miasto pragnie uchodzić za bardzo wierne, dla tego mer przysłał tu straż, która zabrała waszych patronów i zaprowadziła ich do ratusza dla wytlómaczenia się. Więzienie leży tuż przy ratuszu, a więc moi chłopcy, siadajcie na wasze muły i dalej w nogi, pryncypałowie was dopędzą.

Czterej komisanci podskoczyli jak kozły, zbiegli czempredzej ze schodów, przerażeni posiadli na muły i ruszyli ku Paryżowi, poprzednio zobowiązawszy gospodarza, aby uwiadomił pryncypałów, skoro wrócą do oberży, iż odjechali i w którą stronę udali się.

Gdy się to działo i gdy gospodarz przekonał się, iż komisanci już znikli na rogu ulicy, poszedł dalej i z równą ostrożnością zapukał do pierwszych drzwi na korytarzu.

Ale tak dobrze zapukał, iż pierwszy kupiec głosem stentora spytał:

— Kto tam?

— Cicho! nieszcześliwy! — odparł gospodarz — chodź do drzwi, ale na palcach.

Kupiec usłuchał, ale, że był człowiekiem roztropnym, przyłożył ucho do drzwi i nie otwierając, spytał znowu:

— Kto jesteś?

— Alboż nie poznajesz głosu twojego gospodarza?

— Prawda, poznaję; ale cóż tam nowego, dla Boga?

— Oto przy wieczerzy za nadto swobodnie rozmawialiście o królu i ktoś o tem doniósł merowi, który tu przysłał po was straż. Na szczęście wskazałem jej pokój waszych komisantów, których uwięziono zamiast was.

— O! ho! czegoż to ja się dowiaduję — rzekł kupiec.

— Najczystszej i najrzetelniejszej prawdy! Spiesz się zatem i zmykaj, póki jeszcze schody wolne...

— A moi towarzysze?

— O! już nie czas uprzedzać ich.

— Biedni ludzie!

I kupiec ubrał się czempredzej.

Tymczasem gospodarz, niby nagle dobrą myślą przejęty, zapukał w przepierzenie, oddzielające drugiego kupca od pierwszego.

Drugi obudzony temi samemi słowy i tą samą bajką, z lekka otworzył drzwi, trzeci obudzony podobnie jak drugi, zawołał na czwartego, poczem wszyscy czterej lekcy jak stado jaskółek, znikli wznosząc ręce w niebo i idąc na palcach.

— Biedny szewc — mówili sobie — wszystko się na nim skrupi; ale prawda, że on najwięcej wygadywał. Na honor! niech się strzeże, bo gospodarz nie miał czasu uprzedzić go, podobnie jak nas!

W rzeczy samej, pan Chicot, jak łatwo domyśleć się, o niczem nie wiedział i podczas gdy kupcy umykali, polecając go Bogu, spał jak najsmaczniej.

Gospodarz przekonał się o tem słuchając poddrzwiami; następnie zszedł do dolnej izby, której drzwi starannie zamknięte za danym przezeń znakiem otworzyły się.

Zdjął czapkę i wszedł.

W sali znajdowało się sześciu zbrojnych, którym jeden z nich zdawał się przewodzić.

— I cóż? — zapytał tenże.

— Panie oficerze! punktualnie wykonałem dany mi rozkaz.

— I w oberży twojej już nie ma nikogo?

— Zupełnie nikogo.

— A wskazana ci osoba ani ostrzeżona ani przebudzona?

— Ani jedno ani drugie.

— Panie gospodarzu, wiadomo ci w czyjem imieniu działamy; wiadomo jakiej sprawie służymy, bo sam jesteś obrońcą tej sprawy.

— Tak, bez wątpienia, panie oficerze, to też widzisz pan, że dla dochowania przysięgi poświęciłem pieniądze, które byłbym od gości zarobił, ale w tej przysiędze powiedziano: „Poświęcę moje dobro dla obrony świętej katolickiej wiary.“

— I moje życie!.. zapomniałeś o tym wyrazie—wyniosłe rzekł oficer.

— Dla Boga!—zawołał gospodarz, załamując ręce—alboż i mojego życia żądacie? Ja mam żonę i dzieci!

— Wtenczas tylko zażądamy twojego życia, jeżeli nie zechcesz być ślepo posłusznym temu, co ci rozkażemy.

— O! o to możesz pan być spokojny.

— Skoro tak, idź spać; zamknij drzwi, a cokolwiek byś słyszał lub widział, nie wychodź, choćby twój dom miał gorzeć i walić się na twoją głowę. Widzisz, że masz łatwą rolę.

— Biada mi! biada! jestem zrujnowany — mruknął gospodarz.

— Polecono mi, abym cię wynagrodził — rzekł oficer—weź te trzydzieści talarów.

— Mój dom na trzydzieści talarów oszacowany! ach! ja nieszczęśliwy!—jęknął gospodarz.

— Dla Boga! ty płakso nieznośny, nawet ci żadnej szyby nie wybijemy... Pfe, jakże nędznych obrońców ma święta Liga!

Gospodarz wyszedł i zamknął się jak parlamentarz, uprzedzony o mającym nastąpić rabunku miasta.

Wtedy oficer rozkazał dwóm najlepiej uzbrojonym żołnierzom, aby stanęli pod oknem Chicota, sam zaś z trzema pozostałymi żołnierzami poszedł do izby biednego szewca, jak go nazywali towarzysze podróży, daleko już za miastem będący.

— Wiecie jaki mamy rozkaz?—rzekł oficer.—Jeżeli otworzy, pozwoli zrewidować się, a znajdziemy przy nim to czego szukamy, nie trzeba mu czynić żadnej przykrości; lecz, w przeciwnym razie, będzie potrzebne dzielne pchnięcie sztyletem, sztyletem, rozumiecie? broń Boże użyć pistoletu lub muszkietu. Zresztą, jest nas czterech przeciw jednemu.

Przyszli podedrzwi.

Oficer zapukał.

— Kto tam?—spytał nagle przebudzony Chicot.

— Do licha! trzeba tu mądrze postąpić—rzekł oficer do swoich ludzi. — To my, kupcy — powiedział—pańscy przyjaciele, mamy panu coś ważnego oznajmić.

— O! ho! — odparł Chicot — widać, żeście pochrypli po wczorajszym winie, moi panowie.

Oficer złagodził głos i rzekł najprzyjaźniej:

— Ale otwórzno, przyjacielu.

— Do pioruna! was coś zdaleka czuć żołnierstwem, moi panowie kupcy!—rzekł Chicot.

— Ah! nie chcesz otwierać!—zawołał zniecierpliwiony oficer—dalej, wybić drzwi.

Chicot pobiegł do okna, otworzył je i ujrzał na dole dwa gołe pałasze.

— Jestem pojmany—zawołał.

— Ah! ha! kmotrze — powiedział oficer, słysząc łoskot otwierającego się okna — boisz się niebezpiecznego skoku, słusznie, bardzo słusznie; a więc otwórz!

— Na honor nie otworzę!—odparł Chicot.—Drzwi mocne, a jak narobicie hałasu, to mi ktoś w pomoc przybędzie.

Oficer na głos roześmiał się i rozkazał żołnierzom, aby wyrwali zawiasy.

— Głupcze!—powiedział—sądzisz, żeśmy ci pomoc zostawili? Nie uwodź się tą nadzieją, jesteś sam, a zatem zgubionyś! No, już nic nie pomoże... Dalej, wy, do roboty!

I Chicot usłyszał jak po trzykroć kolbami muszkietów we drzwi ugodzono.

— Tutaj—rzekł—są trzy muszkiety i jeden oficer; na dole zaś, tylko dwa pałasze a piętnaście stóp skoku to drobnostka. Wolę pałasze jak muszkiety.

Przywiązał worek do pasa i bez namysłu wszedł na framugę okna, trzymając szpadę w ręku.

Dwaj żołnierze na dole stojący nadstawili ostrza swoich pałaszy.

Lecz Chicot dobrze wszystko przewidział. Człowiek, chociażby nawet był Goliatem, nie będzie nigdy czekał, aż

spadnie na niego drugi, chociażby nawet pigmejczyk, i spadając albo jego albo siebie zabije.

Żołnierze zatem zmienili swą taktykę i cofnęli się, postanowiwszy uderzyć na Chicot'a skoro upadnie.

Tego się właśnie gaskończyk spodziewał. Skoczył zręcznie na palce i przysiadł, natychmiast jeden żołnierz wymierzył mu tak silne pchnięcie, że mógłby niem mur przebić.

Ale Chicot nie raczył nawet odeprzeć tego pchnięcia, i owszem nadstawił swoje piersi, lecz dzięki jego żelaznej koszuli pałasz nieprzyjaciela skruszył się jak szkło.

— On w pancerzu! — rzekł żołnierz.

— Zgadłeś! — rzekł Chicot i za jednym zamachem rozplątał mu czaszkę.

Drugi żołnierz zaczął krzyczeć i wcale się nie opierał napaści Chicot'a.

Na nieszczęście, nie umiał nawet tyle bronić się co Jakób Clément. Chicot więc za drugim pchnięciem położył go obok towarzysza.

Tak więc, gdy wysadzono drzwi, oficer, wyrzawszy przez okno spostrzegł tylko swoich obu żołnierzy nurzających się we krwi.

O pięćdziesiąt kroków dalej, Chicot dosyć spokojnie uciekał.

— Do szatana! — zawołał oficer, on się żelaza nie boi.

— Prawda, ale ołowiem można mu dogodzić — powiedział jeden żołnierz celując.

— Waryacie! — zawołał oficer, wytrącając mu muskiet — nie rób hałasu! obudzisz całe miasto; my go jutro znajdziemy.

— Trzeba było czterech ludzi postawić na dole — filozoficznie powiedział drugi żołnierz — a dwóch tylko wziąć na górę.

— Głupis! — odparł oficer.

— Obaczemy, o kim to książę powie — na pociechę mruknął sobie żołnierz pod nosem.

I spuścił muszkiet do nogi.

V.

Trzeci dzień podróży.

Chicot dla tego tak niedbale uciekał, że był w Etampse, to jest w mieście, w pośród ludności, pod opieką pewnej liczby urzędników, którzy za najpierwszem jego żądaniem, byliby nadali bieg sprawiedliwości i samego nawet księcia de Guise uwięzili.

Przeciwnicy jego nawzajem poznali, że się znajdują w zbyt przykrem położeniu, a widzieliśmy, że oficer nie zważając na ucieczkę Chicot'a, zabronił żołnierzom użycia palnej broni.

Dla tej samej przyczyny wstrzymał się od ścigania Chicot'a, który w takim razie byłby swoim wrzaskiem całe miasto rozbudził.

Tak więc mały, o trzecią część zmniejszony hufiec, zniknął w ciemności, zostawiając dla mniejszego skompromitowania się, obu zabitych i nie odbierając im broni,

umyślnie, iżby mniemano, że poległ w pojedynczej z sobą walce.

Chicot w całej okolicy nadaremnie szukał swoich kupców i ich komisantów, a przypuszczając, że ci, z którymi miał do czynienia, po chybionym celu swoim, pewno w mieście nie pozostali, osądził, że dobra taktyka jemu przeciwnie nakazuje w niem pozostać.

Co większa, gdy obszedł znaczną część miasta i z rogu jednej ulicy usłyszał tentent oddalających się koni, ośmielił się wrócić do oberży.

Gospodarz jeszcze nie zdołał być odzyskać zimnej krwi, pozwolił mu zatem osiodłać konia, patrząc nań osłupiały jakby na jakie zjawisko.

Chicot korzystał z tak przychylnej osłupiałości i nie zapłacił wydatków, o które też gospodarz wcale nie myślał upominać się.

Potem Chicot poszedł dokończyć noc w głównej izbie innej oberży, w pośród pijaków, którzy nie domyślali się zgoła, że ten wielki nieznajomy z uśmiechającym się obliczem i uprzejmą miną, tylko co nie został zabity, a sam niedawno zabił dwóch ludzi.

O świcie, Chicot był już na głównym trakcie pełen co chwila wzrastającej niespokojności. Z dwóch napaści wybrnął szczęśliwie, ale trzecia mogła być zgubną dla niego.

W tej chwili byłby zawarł pokój ze wszystkimi Gwizyuszami, byłby im opowiadał wszystkie ramotki, które tak doskonale układać umiał.

Ale każdy krzak wzbudzał w nim nieopisaną trwogę,

każdy rów dreszczem przejmował całe jego ciało, a na widok każdego muru chciał się wracać.

Kiedy niekiedy postanawiał, że przybywszy do Orleanu, wyprawi do króla gońca z prośbą o wyznaczenie mu eskorty od miasta do miasta.

Lecz gdy aż do Orleanu droga była zupełnie pusta i bezpieczna, Chicot pomyślał, iż bezpotrzebnie uchodziłby za tchórza, że może stracić dobrą opinię u króla i że eskorta będzie dlań uciążliwą. Wreszcie, przeminał już sto rowów, pięćdziesiąt płotów, dwadzieścia murów i dziesięć krzaków, a ani pomiędzy gałęzmi, ani pod kamieniami nie dostrzegł nic niebezpiecznego.

Lecz za Orleanem uczuł Chicot, że go coraz większa trwoga ogarnia. Nadchodziła godzina czwarta z południa, a tem samem i wieczór. Po obu stronach idącej pod górę drogi wznosiły się gęste zarośla. Podróżny, odbijając się od siwawej drogi, wyglądał niby czarny punkt na tarczy, dla każdego, kto by zapragnął potraktować go kulą z muszkietu.

Nagle, Chicot usłyszał w dali jakiś łoskot, podobny do tętentu galopujących koni.

Obejrzał się i pod górą, na którą już do połowy wjechał, ujrzał cwałem pędzących ku niemu jeźdźców.

Porachował, było ich siedmiu. Cztorej mieli muszkiety, a przy zachodzącym słońcu lufa każdego wyglądała czerwona jak krew.

Konie tych jeźdźców coraz bardziej przybliżały się do konia Chicot'a, który zresztą nie myślał przyspieszać jego biegu, gdyż to w razie napaści mogłoby pozbawić go niektórych środków obrony.

Poprzestał więc na tem tylko, że konia w gzygzak prowadził, tak, aby przeciwnicy nigdy go dobrze na cel wzięść nie mogli.

Chicot uciekł się do tego wybiegu z całą znajomością muszkietów i muszkietarów, gdyż w chwili, gdy jeźdźcy znajdowali już tylko o pięćdziesiąt kroków od niego, przywitano go czterema strzałami, a z tych trzy w rozmaitym kierunku przeleciały mu nad głową.

Przewidując te strzały, Chicot z góry już był sobie pewien plan nakreślił. Usłyszawszy świst kul, puścił cugle i zsunął się z konia na ziemię, wszakże nie zapomniał dobyć szpady, a w lewej ręce trzymał sztylet jak brzytwę, szpiczasty jak igła.

Spadł więc z konia, powtarzamy, i tak, że na nogach przysiadł jak na sprężynach, na każde zawołanie wyteńczył się gotowych; głowę zaś zasłonił piersią swojego konia.

Grupa jezdnych wydała okrzyk radości, widząc, że Chicot upadł i sądząc, że poległ.

— A nie mówiłem ci niedołego — powiedział, galopem nadciągający i zamaskowany jeździec — dotąd wszystko ci się nie udawało, bo nie słuchałeś moich rozkazów; ale teraz widzisz go, że leży. Zabity czy żywy, zrewidować go natychmiast, a jeśli się rusza, pardonu nie dawać.

— Dobrze, panie — z uszanowaniem odpowiedział jeden z jeźdźców.

I wszyscy zsiadli z koni, oprócz jédnego żołnierza, który, zebrawszy wszystkie cugle, trzymał inne konie.

Chicot wcale nie był pobożnym; lecz, w podobnej chwili przypomniał sobie, że jest Pan Bóg na świecie, że

że ten Pan Bóg otwiera mu swoje ramiona, i że za pięć minut może grzesznik stanie przed sędzią.

Cicho i żarliwie odmówił modlitwę, której zapewne wysłuchano w niebie.

Dwaj żołnierze z dobytymi pałaszami przystąpili ku niemu, a z jego jęków wnieśli, że jeszcze żyje.

— Ale, że Chicot nie ruszał się i wcale do obrony nie zabierał, gorliwszy zatem nieostrożnie przystąpił ku niemu tak, że go Chicot lewą ręką mógł dosięgnąć; a natychmiast sztylet jakby sprężyną pchnięty wszedł mu w gardło aż po rękojesć. Jednocześnie połowa szpady, którą Chicot trzymał w prawej dłoni, znikła w żebrach drugiego jeźdźca, który chciał uciekać.

— Zdrada! — zawołał przywódca. — Nabić muszkiety, bo ten łotr jeszcze żyje.

— Zapewne, że jeszcze żyje — odparł Chicot, a błyskawice z oczu jego trysnęły.

I szybki jak myśl sama, wpadł na przywódcę, pragnąc mu zedrzyć maskę.

Ale wnet natarli nań dwaj żołnierze, od których uwolnił się, rozcinając jednemu nogę, dzielnym razem swojej szabli.

— Strzelać, dzieci! strzelać żywo! — zawołał przywódca.

— Wprzód nim broń nabijecie — odparł Chicot — rozpruję ci wnętrzności, zbójco, i obetnę taśmy twojej maski, ażebym wiedział kto jesteś.

— Broń się, mój panie, broń dobrze, a ja ci dopomogę — rzekł jakiś głos, który Chicot wziął za pochodzący z nieba.

Był to głos pięknego młodzieńca, jadącego na dziel-
nym karym koniu. W obu rękach trzymał on pistolety
i wołał na Chicot'a:

— Schyl się pan, schyl się, do pioruna! ależ
schyl się.

Chicot usłuchał.

Pistolet wystrzelił i jeden żołnierz padł rozciągnięty
u nóg Chicot'a, wypuszczając pałasz z ręki.

Tymczasem konie niepokoiły się. Trzej pozostali
przy życiu jeźdźcy chcieli wskoczyć na siodła, lecz na-
deremnie; młodzieniec strzelił pomiędzy nich i znowu
obalił jednego.

— Dwóch przeciwko dwóm—rzekł Chicot—wspa-
niałomyślny wybawco, bierz twójego, a oto mój.

I wpadł na zamaskowanego jeźdźca, który drżąc
z wściekłości lub trwogi, mimo to stawiał mu czoło jak
człowiek biegły w sztuce władania orężem.

Ze swojej strony młodzieniec schwycił swojego
przeciwnika za gardło i cisnął go o ziemię, nawet szpady
nie dobywając, ale dusił go jak owcę do zarznięcia przy-
gotowaną.

Chicot widząc się w obec jednego tylko przeciwnika,
odzyskał swą zimną krew, a tem samem i przewagę.

Dzielnie natarł na przeciwnika, człowieka dosyć peł-
nej budowy ciała, wparł go w rów i w oka mgnieniu bok
mu przeszył.

Przeciwnik upadł.

Chicot nastąpił nogą na szpadę zwyciężonego, nie
dopuszczając, aby ją znowu pochwycił, a sztyletem obci-
nając maskę, rzekł:

— Pan de Mayenne!.. Tego się właśnie spodziewałem.

Ksiązę nie odpowiedział: omdlał, już z powodu upływu krwi, już z powodu upadku.

Chicot potarł nos, co czynił zwykle, gdy miał przystąpić do czegoś ważnego, i po chwilowym namyśle zawiązał rękawy, wziął swój szeroki sztylet i przystąpił do księcia, pragnąc mu poprostu uciąć głowę.

Lecz natychmiast poczuł, że czyjaś żelazna dłoń ścisnęła mu rękę i usłyszał głos mówiący mu:

— Wstrzymaj się, panie, przeciwnika leżącego na ziemi nikt nie zabija.

— Młodzieńcze — oddał Chicot — prawda, że mi życie ocaliłeś i dziękuję ci za to z całego serca; lecz przyjmij odemnie małą nauczkę, wielce pożyteczną w obecnych czasach moralnego wyrodztwa. Skoro kto w ciągu trzech dni, wytrzyma trzy napaści, skoro trzy razy zostaje w niebezpieczeństwie; skoro nieostygła jeszcze na nim krew nieprzyjaciół, którzy doń strzelali bez żadnego wyzwania z jego strony, jakby do wściekłego wilka, wtedy młodzieńcze, pozwól niech ci to powiem, taki człowiek śmiało uczynić może to, co ja uczynić pragnę.

I znowu Chicot ujął swego nieprzyjaciela za gardło, pragnąc swego zamiaru dokonać.

Ale i teraz jeszcze młodzieniec wstrzymał go.

— Przynajmniej dopóki ja tu jestem pan tego nie uczynisz. Krwi płynącej już z rany jaką zadałeś, w ten sposób zupełnie wytaczać nie wolno.

— Bah! — rzekł zdziwiony Chicot — miałabyś pan znać tego nędznika.

— Tym nędznikiem jest książę de Mayenne, wielkością wyrównujący wielu królom.

— To go właśnie gorzej potępia — ponuro rzekł Chicot—ale pan kto jesteś?

— Jestem ten, który panu ocalił życie — zimno odparł młodzieniec.

— I który, jeżeli się nie mylę, przed trzema dniami przy Charenton, oddał mi list do króla.

— Tak jest.

— A więc pan służysz królowi?

— Mam ten zaszczyt — kłaniając się, odpowiedział młodzieniec.

— I służąc królowi oszczędzasz pana de Mayenne. Do licha! pozwól sobie powiedzieć, mój panie, że dobry sługa wcale tak nie postępuje.

— Owszem panie, ja sędzę, że właśnie w tej chwili najlepiej usługuję królowi.

— Być może — smutnie odparł Chicot — być może, ale tu nie czas filozofować. Jakże pana nazywają?

— Ernauton de Carmainges.

— No! Panie Ernauton, cóż teraz poczniemy z tym kłocem, bo co do mnie, uprzedzam, że ruszam dalej.

— Będę czuwał nad panem de Mayenne.

— A z towarzyszem, który tam słucha, co uczynisz?

— Zdaje mi się, że ten biedak nic nie słyszy, tak go dobrze zdusiłem, iż omdlał.

— No, panie de Carmainges, dzisiaj ocaliłeś mi życie, ale na przyszłość dyabelnie je kompromitujesz.

— Czynię co powinienem, a przyszłość od Boga zawisła.

— Niech się zatem stanie zadosyć pańskiemu żądaniu. Zresztą, nie chcę zabijać tego człowieka, gdy mi się bronić, nie może, chociaż jest to mój najzawziętszy nieprzyjaciel. Żegnaj cię więc, mój panie.

I Chicot ścisnął dłoń Ernautona.

— Może on ma słuszość — dodał, idąc po swojego konia.

Ale zatrzymał się i wróciwszy rzekł:

— Pan tu masz siedm dobrych koni; zdaje mi się, że na cztery zapracowałem; pomóż mi pan zatem wybrać jednego... Zapewne pan się znasz na koniach?

— Weź pan mojego — odpowiedział Ernauton — wiem co on potrafi.

— O! to za wielka wspaniałomyślność, zachowaj go pan dla siebie.

— Nie, ja nie potrzebuję tak prędko jechać jak pan.

Chicot nie dał się długo prosić, wsiadł na konia Ernautona i znikł.

VI.

Ernauton de Carmainges.

Ernauton, pozostawszy na polu bitwy, nie wiedział co począć z obu nieprzyjaciołmi, którzy w objęciach jego wnet przytomność odzyskać mieli.

Że jednak nie potrzebował obawiać się, aby mu nie zbiegli i gdy przypuszczać należało, iż pan Robert Briquet (pamiętajmy, że Ernauton znał Chicot'a pod tem nazwiskiem) nie wróci i nie dobije ich, młodzieniec zaczął szukać pomocy i znalazł ją wkrótce na drodze.

Wóz, który zapewne minął się z pędzącym Chicot'em, pokazał się wyraźnie na wierzchołku góry, odstając od czerwonego tła nieba, które rozogniły promienie zachodzącego słońca.

Dwa woły ciągnęły ten wóz, przy nich szedł wieśniak.

Ernauton zbliżył się ku niemu, a przerażony wieśniak miał ochotę porzucić wóz i uciec w krzaki, lecz Ernauton wstrzymał go, opowiedział o zaszłej niedawno potyczce między hugonotami i katolikami, w której czterech ludzi poległo, lecz dwóch jeszcze żyje.

Wieśniak, mocno zatrwożony odpowiedzialnością za dobry uczynek, ale daleko bardziej przerażony wojowniczą miną Ernautona, pomógł mu przenieść pana de Mayenne na wóz, a następnie i żołnierza, który niewiadomo czy naprawdę omdlały, czy nie, ciągle miał zamknięte oczy.

Zostawali już tylko czterej polegli.

— Panie—zapytał wieśniak—czy ci ludzie byli katolikami, czy hugonotami?

Ernauton uważał, że wieśniak, w pierwszym przystępie trwogi, był się przeżegnał.

— Hugonotami—odpowiedział.

— Skoro tak—rzekł znowu wieśniak—nie będę miał żadnego grzechu, gdy ich zrewiduję, nieprawdaz?

— Żadnego—odparł Ernauton, bo wolał, aby raczej

wieśniak, z którym miał do czynienia został ich dziedzi-
cem, aniżeli pierwszy lepszy przechodzień.

Wieśniak nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać
i obejrzał kieszenie poległych.

Widać, że za życia musieli dobry żołąd pobierać, bo
twarz wieśniaka wypogodziła się po skończonej rewizyi,
a w skutku zadowolenia jakiego doznały zarazem jego
ciało i dusza, zaciął swoje woły i spiesznie zdążył do domu.

Dopiero więc w stajni tego żarliwego katolika, na
łożu ze słomy usłanem, ksiązę de Mayenne odzyskał przy-
tomność. Ból jakiego doznawał na trzęsącym wozie, nie
zdołał go ożywić, lecz gdy nalano mu świeżej wody na
ranę, gdy z niej spłynęło kilka kropli krwi sinawej, ksiązę
otworzył oczy i z łatwem do pojęcia zdziwieniem spojrzął
na otaczające go osoby i rzeczy.

Ernauton natychmiast oddalił wieśniaka.

— Kto pan jesteś?— spytał Mayenne.

Ernauton uśmiechnął się.

— Alboż mię pan nie poznajesz?— odrzekł.

— Owszem, poznaję — mówił znowu ksiązę, zmar-
szywszy brwi — to pan przyszedłeś w pomoc mojemu
nieprzyjacielowi.

— Tak jest— odpowiedział Ernauton— ale i ja także
nie dopuściłem, aby ten nieprzyjaciel zabił pana.

— Widzę, że tak być musi w istocie— rzekł Mayen-
ne— skoro żyję, jednak on mię mógł wiaść za umarłego.

— Przeciwnie, oddalił się, wiedząc, że pan żyjesz.

— To przynajmniej sądził, że jestem śmiertelnie ra-
niony.

— Nie wiem, lecz w każdym razie, gdybym niebył

mu przeszkodził, niezawodnie byłby pana śmiertelnie zranił.

— Lecz dla czegoż dopomagałeś pan do zabicia moich ludzi, skoro później nie pozwoliłeś temu człowiekowi, aby zabił mnie samego?

— Rzecz bardzo naturalna, i dziwi mię mocno, że szlachcic—a pan nim być zdajesz się—nie pojmuje mojego postępowania. Przypadek wprowadził mię na drogę, którą pan dążyłeś, spostrzegłem, że kilku ludzi napadło jednego, bronilem więc tego jednego, lecz gdy później ten waleczny, któremu w pomoc przyszedłem, gdyż, któkolwiek on jest, panie, przyznać należy, że jest waleczny; później więc, gdy ten waleczny, walcząc z panem sam na sam, rozstrzygnął zwycięstwo ciosem, który pana obalił i chciał zabicie pana nadużyć tego zwycięstwa, szpada moja wdała się w pośrednictwo.

— Pan więc mię znasz?—spytał badawczo Mayenne, patrząc na Ernautona.

— Nie mam potrzeby znać pana. Wiem, żeś pan raniony i dosyć mi na tem.

— Bądź pan szczery — rzekł Mayenne — i wyznaj, że znasz mię.

— Dziwna rzecz, że pan mię rozumieć nie chcesz, bo co do mnie, uważam, że równie nieszlachetną jest rzeczą zabijać bezbronnego, jak w sześciu napadać na jednego.

— Przypuszczasz pan jednak zapewne—odparł Mayenne—że nic się bez przyczyny nie dzieje.

Ernauton uklonił się, lecz nie odpowiedział.

— Wszakże pan widziałeś, iż pojedynczo walczyłem z tym człowiekiem?—rzekł znowu Mayenne.

— Prawda, widziałem.

— Wreszcie ten człowiek jest moim śmiertelnym wrogiem.

— Wierzę, bo mi to samo oświadczył.

— A jeżeli żyć będę mimo mojej rany?..

— Uczynisz pan co się panu podoba, to już mnie zgoła obchodzić nie będzie.

— Czy jestem niebezpiecznie raniony, jak pan mniemasz?

— Oglądałem pańską ranę, i sędzę, że chociaż mocna, jednak śmierci nie sprowadzi. Szpada osunęła się po żebrach i piersi niedosięła. Westchnij pan, a mam nadzieję, że w płucach nie uczujesz bólu.

Mayenne odetchnął z trudnością, lecz bez wewnętrznych cierpień.

— Prawda — rzekł — ale ludzie, którzy przy mnie byli?

— Wyjąwszy jednego, wszyscy polegli.

— Zostawiono ich na drodze?— spytał Mayenne.

— Tak jest.

— I zrewidowano?

— Wieśniak, którego pan zapewno widziałeś otworzywszy oczy, a który jest tutejszym gospodarzem, sam tego dopełnił.

— Cóż przy nich znaleźli?

— Trochę pieniędzy.

— A papiery?

— O papierach nic nie wiem.

— Ah! — z widocznym zadowoleniem powiedział Mayenne.

— Wreszcie, żyjący towarzysz może pana w tym względzie objaśnić.

— Ale gdzie on jest?

— W stodole o parę kroków ztąd.

— Zanieś mię pan do niego, albo raczej przynieś go tutaj, i jeżeli jesteś człowiekiem honoru, jak się spodziewam, przysięgnij mi, że mu żadnych pytań zadawać nie będziesz.

— Wcale nie jestem ciekawy, a z całego interesu tego wiem tyle, ile wiedzieć powinienem.

Księżę jeszcze z niejaką obawą spojrzął na Ernautona, który dodał:

— Byłbym wielce szczęśliwy, gdybyś pan komu innemu raczył dać zlecenie, które mi poruczyłeś.

— Przebacz pan, wyznaję, że ci uchybił — rzekł Mayenne — ale chciej być tak łaskaw i wyświadczyć mi przysługę, o którą proszę.

W pięć minut później żołnierz wchodził do stajni.

Krzyknął głośno, gdy ujrzał księcia de Mayenne; lecz ten miał tyle siły, że położył palec na ustach, a żołnierz natychmiast umilkł.

— Panie — rzekł Mayenne do Ernautona — wiesz, iż ci do grobu wdzięczny będę i zapewne spotkamy się kiedyś wśród pomysłniejszych okoliczności; ale mogeż zapytać z kim mam honor mówić?

— Jestem wice hrabia Ernauton de Carmainges.

Mayenne spodziewał się dokładniejszych wiadomości, ale teraz młodzieniec z kolei stał się małomównym.

— Pan jechałeś do Beaugency? — spytał Mayenne.

— Tak jest.

— W takim razie przeszkodziłem panu zapewne, już pan dzisiejszej nocy nie pojedziesz dalej?

— Owszem, panie, i nawet zaraz dalej jechać zamysłam.

— Jakto, do Beaugency?

Ernauton spojrział na księcia jak człowieka, któremu nie podobają się podobne pytania.

— Nie, do Paryża—odpowiedział.

Księżę widocznie zdziwił się.

— Przepraszam pana—mówił dalej—ale dziwno mi, że pan chybiasz celu swojej podróży, dla tego, iż cię w drodze do Beaugency spotkała okoliczność wprawdzie niespodziana lecz prawie nic nie znacząca.

— Nie ma w tem nic dziwnego, panie—odpowiedział Ernauton—jechałem tam na umówione spotkanie się, ale że zatrzymany pańskim wypadkiem, chybiłem oznaczoną godzinę, przeto wracam.

Mayenne nadaremnie usiłował z obojętnej twarzy Ernautona wyczytać myśl inną, aniżeli tę, którą jego słowa objawiały.

— O! czemuż pan tu kilka dni ze mną pozostać nie chcesz! Posłałbym mojego żołnierza do Paryża po chirurga, bo pojmujesz pan zapewne, że tu sam pozostać nie mogę z nieznanymi wieśniakami.

— A dla czegoż żołnierz nie miałby zostać przy panu—odparł Ernauton—wszak ja panu chirurga przysłać mogę.

Mayenne wahał się.

— Czy wiesz pan, jak się mój wróg nazywa? — spytał.

— Nie wiem.

— Co! pan mu ocaliłeś życie, a on ci swojego nazwiska nie wyjawiał?

— Nie żądałem tego.

— Nie żądałeś pan?

— Wszak i panu również ocaliłem życie; a czyż pytam o pańskie nazwisko? Owszem, natomiast panowie obaj wiecie moje nazwisko. Nic na tem nie zależy, aby ocalony znał ocalonego, ale owszem ocalony powinien wiedzieć nazwisko ocalającego.

— Widzę, że od pana nic się nie można dowiedzieć — rzekł Mayenne — i żeś pan równie wyrozumiały jak mężny.

— Ja zaś widzę, że w tych słowach ukrywasz pan jakiś wyrzut, i boleję nad tem, gdyż na prawdę, to co pana trwoży, owszem uspokajać powinno, wyrozumiały dla jednego jest również wyrozumiały dla drugiego.

— Szusznie panie de Carmainges, proszę o rękę.

Ernauton podał mu rękę, lecz poruszeniem swoim bynajmniej nie okazał, że umie podać rękę księciu.

— Ganiłeś pan mój postępek—mówił znowu Mayenne — usprawiedliwiać się nie mogę, gdyż zdradziłbym wielkie tajemnice. Sądzę więc, iż lepiej będzie, skoro na tem zakończymy wzajemne zwierzania się.

— Racz pan uważać—odpowiedział Ernauton — że się bronisz, chociaż ja nie oskarżam, i wierz mi, że wolno ci jak najzupełniej albo mówić albo milczeć.

— Dziękuję panu i milczę. Chciej pan jednak wiedzieć, że jestem szlachcic dobrego rodu, i że mogę wyświadczyć panu grzeczności jakie mi się podoba.

— Skończmy na tem — odparł Ernauton — i wierz pan, że równie wyrozumiałym będę co do pańskiego zaufania jak i co do pańskiego nazwiska. Dzięki panu, któremu służę, niepotrzebuję nikogo.

— Panu — niespokojnie spytał Mayenne — a któż jest tym panem?

— O! wszak pan sam powiedziałaś, iż lepiej zakończyć wzajemne nasze zwierzenia się—odparł Ernauton.

— Prawda.

— A nadto rana pańska jątrzyć się zaczyna; a zatem, nie rozmawiajmy tyle, wierz mi pan.

— Słusznie. O! koniecznie mi potrzeba mojego chirurga.

— Miałem honor oświadczyć panu, że wracam do Paryża, proszę więc o adres tego chirurga.

Mayenne skinął na żołnierza, który przystąpił ku niemu: poczem obaj z sobą po cichu rozmawiali.

Ernauton wyrozumiały jak zwykle, odszedł na bok.

Nakoniec po krótkiej naradzie z żołnierzem księżę obrócił się do Ernautona i rzekł:

— Panie de Carmainges, zaręcz mi słowem honoru, że skoro ci powierzę list oddasz go wiernie podług adresu.

— Ręczę panu.

— Ufam pańskiemu słowu, a ufam ślepo, bo widzę żeś człowiek zacny.

Ernauton ukłonił się.

— Powierzę panu część mojej tajemnicy — mówił dalej Mayenne — należę do gwardyi księżnej de Montpensier.

— Ah!—naiwnie rzekł Ernauton—nie wiedziałem, że księżna de Montpensier ma gwardyę?

— Podczas teraźniejszych zamieszek — powiedział Mayenne—każdy ubezpiecza się jak może, a że dom Gwizuszów jest domem królewskim...

— Nie wymagam żadnych wyjaśnień, mój panie, dosyć mi na tem, że pan należysz do gwardyi księżnej Montpensier.

— Jechałem — mówił znowu książę — w pewnym interesie do Amboise, i w drodze spotkałem mojego wroga. Reszta panu wiadoma.

— Tak jest — rzekł Ernauton.

— Rana nie pozwala mi ukończyć tego interesu, powinienem więc zdać księżnej sprawę z powodu mojej zwłoki.

— Słusznie.

— Raczysz więc pan oddać jej do własnych rąk list, który będę miał zaszczyt napisać?

— Jeżeli tylko znajdziemy tutaj papier i atrament — odparł Ernauton, chcąc iść poszukać tego obojga.

— Nie trudź się pan napróżno; mój żołnierz powinien mieć przy sobie mój pugilares.

Żołnierz rzeczywiście wyjął pugilares z kieszeni. Mayenne obrócił się do ściany i otworzył sztuczny jego zameczek; napisał kilka wierszy i znowu zamknął tajemniczo, tak, że kto nie znał sposobu otwierania pugilaresu, musiałby odrywać zamek, chcąc przeczytać co w nim było napisano.

— Panie — rzekł młodzieniec — za trzy dni oddam ten pugilares.

— Do własnych rąk?..

— Księżnej de Montpensier.

Książę ścisnął dłoń uprzejmego towarzysza i strudzony rozmową oraz pisaniem, zlany potem, opadł na świeżą słomę.

— Panie — odezwał się żołnierz, słowy, które według Ernautona nie zdawały się być zgodnymi z jego ubiorem—związałeś mię pan jak barana, lecz, wierz lub nie wierz, te węzły uważam za łańcuch przyjaźni, i przekonam pana o tem w stosownym czasie i miejscu..

I podał mu rękę, której białość Ernauton już pierwej był dostrzegł.

— Zgoda — odpowiedział Ernauton — otóż mam dwóch przyjaciół więcej.

— Nie żartuj pan — rzekł żołnierz—przyjaciół nigdy nie mamy za nadto.

— Prawda kolego—odparł Ernauton i odjechał.

VII.

Dziedziniec.

Ernauton wyjechał natychmiast, a że wziął konia księcia zamiast swojego, którego dał Robertowi Briquet, jechał więc tak szybko, iż na trzeci dzień około południa przybył do Paryża.

Trzecia godzina wybiła, gdy się pokazał w Luwrze, w mieszkaniu Czterdziestu pięciu.

Zresztą powrót jego nie odznaczył się żadnym ważnym wypadkiem.

Na jego widok gaskończykowie krzyknęli zdziwieni. Ich krzyki sprowadziły pana de Loignac, który postrzegając pana Ernautona, przybrał jak najsurowszą minę, lecz Ernauton, bynajmniej tem nie przerażony, śmiało zbliżył się ku niemu.

Pan de Loignac skinął na młodzieńca, aby się z nim udał do gabinetu, leżącego obok sypialnej sali, a stanowiącego izbę posłuchalną, w której ten najwyższy sędzia wydawał swoje niecofnione wyroki.

— Cóż to za sprawowanie się, mości panie? — rzekł ostro; jeżeli dobrze policzyłem, pięć dni i nocy nie byłeś obecny, i to pan, pan, którego miałem za najrozsądnieszego, dajesz taki przykład niekarnośći?

— Panie — kłaniając się, odpowiedział Ernauton — uczyniłem to co mi kazano.

— A cóż panu uczynić kazano?

— Kazano mi śledzić pana de Mayenne, a więc śledziłem.

— Przez pięć dni i nocy?

— Tak jest, panie.

— Księżę więc wyjechał z Paryża?

— Tęgo samego wieczoru, i uważałem to za rzecz podejrzaną.

— Słusznie, ale cóż dalej?

Ernauton opowiedział krótko, ale z zapałem i energią wypadek na drodze i jego skutki, a w miarę opowia-

dania, wybijały się na ruchomej twarzy pana de Loignac, wszelkie wrażenia jakie opowiadający wzbudził w jego duszy.

— Lecz gdy wspomniał o liście, który mu pan de Mayenne powierzył, Loignac zawołał:

— I pan masz list?

— Mam panie.

— Do diabła! ta okoliczność zasługuje na uwagę, odparł kapitan, zaczekaj pan na mnie, albo raczej pójdź ze mną.

Ernauton udał się za panem de Loignac i przybył z nim na dziedziniec Luwru.

Czyniono tam właśnie przygotowania do wyjazdu króla; przyrządzano ekwipaże, a pan d'Epéron przypatrywał się przejeżdżaniu koni, które niedawno królowa Elżbieta angielska darowała Henrykowi III; tego dnia miano po raz pierwszy zaprządz do królewskiej karety wspomnianą parę koni najdoskonalej dobranych.

Loignac zostawił Ernautona przy wejściu na dziedziniec, sam zaś zbliżył się do pana d'Epéron i pociągnął go za poję płaszcz.

— Nowiny, mości księżu, rzekł, wielkie nowiny!

Księżu natychmiast opuścił otaczające go osoby, i przybliżył się do schodów, któremi król miał przybyć.

— Mów panie de Loignac, mów.

— Pan de Carmainges przybywa z za Orleanu, gdzie w jednej wsi zostawił pana de Mayenne niebezpiecznie ranionego.

Księżu krzyknął zdziwiony.

— Ranionego? powtórzył.

— Co większa, mówił znowu Loignac, pisał on do

pani de Montpensier, a ten list pan de Carmainges ma w swojej kieszeni.

— O! ho! rzekł d'Epéron. Przywołaj tu pana de Carmainges, sam z nim pomówię.

Loignac wziął za rękę pana de Carmainges, który jak powiedzieliśmy, przez uszanowanie stał na uboczu w ciągu rozmowy swoich zwierzchników.

— Oto jest, mości książę, nasz podróżny, rzekł.

— Zdaje się, że Pan masz list księcia de Mayenne? spytał d'Epéron.

— Mam, dostojny panie.

— Pisany z wioski pod Orleanem.

— Tak jest, dostojny Panie.

— I adresowany do pani de Montpensier?

— Tak jest, dostojny panie.

— Oddaj-że mi pan ten list z łaski swojej.

I książę wyciągnął rękę, obojętnie, spokojnie, jak każdy kto sądzi, że dosyć aby objawił swą wolę a ta wola natychmiast wykonaną będzie.

— Przepraszam waszą książęcą Mość — rzekł Carmainges, ale książę pan podobno żądasz odemnie listu pana de Mayenne do jego siostry?

— A tak.

— Książę pan nie wie zapewne, że ten list mnie powierzono?

— Cóż z tąd?

— Jest to zbyt ważna okoliczność, mości książę; bo dałem słowo honoru księciu de Mayenne, iż ten list oddam tylko do własnych rąk księżnej jego siostry.

— Czy pan służysz królowi, czy księciu de Mayenne?

— Służę królowi, dostojny panie.

— Otóż! król żąda tego listu.

— Dostojny panie, niech mi wolno będzie oświadczyć, że Wasza książęca Mość nie jesteś królem.

— Panie de Carmainges, zastanów się, zapominasz z kim mówisz! rzekł d'Epéron i pobladł z gniewu.

— Owszem, dostojny panie, pamiętam dobrze do kogo mówię i dla tego odmawiam.

— Odmawiasz, powiedziałeś, że odmawiasz, panie de Carmainges?

— Powiedziałem.

— Panie de Carmainges, łamiesz przysięgę wierności.

— Mości książę, dotąd przynajmniej wiem, że tylko jednej osobie wierność zaprzysiągłem, a mianowicie królowi. Jeżeli król zażąda odemnie tego listu, będzie go miał, bo król jest moim panem, ale go tutaj nie widzę.

— Panie de Carmainges, rzekł widocznie unoszący się książę, podczas gdy Ernauton przeciwnie w miarę oporu nabierał zimnej krwi; panie de Carmainges, jesteś jak wszyscy twoi ziomkowie, zaślepiony wśród pomyślności; twoje szczęście zaślepia cię mój szlachetko; a posiadanie tajemnicy stanu ogłusza cię jak raz maczugą zadany.

— Tylko niełaska waszej książęcej mości jaką niezawodnie ściągnie na siebie ogłusza mię; ale nigdy szczęście zbyt zapewne na przyszłość zmienne z powodu wypowiedzenia posłuszeństwa Księżciu panu; atoli mniejsza o to, czynię co powinienem i zawsze to czynić będę, a nikt prócz samego króla, nie otrzyma odemnie listu, o jakim się

wasza książęca Mość dopominasz, chyba osoba, do której jest adresowany.

Pan d' Epernon porwał się i w straszliwym gniewie zawołał:

— Loignac, prowadź natychmiast pana de Carmainges do więzienia.

— Prawda, z uśmiechem odpowiedział de Carmainges, że tym sposobem nie będę mógł doręczyć, księżnej Montpensier listu, który posiadam, przynajmniej przez czas mojego pobytu w więzieniu, lecz skoro z niego wyjdę...

— Tak, jeżeli tylko wyjdiesz, rzekł d'Epernen.

— Wyjdę, chyba że mię tam książę zamordować każe, z coraz obojętniejszem i straszliwszem postanowieniem odparł Ernauton; tak jest, wyjdę; mury nie oprą się woli mojej. Skoro więc wyjdę dostojny panie...

— To co?

— To będę mówił z królem, a król odpowie mi.

— Do więzienia! do więzienia! ryknął d'Epernon zupełnie zapominając się, i odebrać mu list.

— Nikt go nie dotknie, zawołał Ernauton w tył odskakując i wydobywając z zanadru pugilares księcia de Mayenne, raczej podreż ten list w kawałki skoro go ocalić nie mogę, a książę de Mayenne pochwali mi ten postępek, król zaś przebaczyć raczy.

I rzeczywiście młodzieniec, w pośród prawego oporu, chciał rozedrzeć kosztowną kopertę, gdy w tem wstrzymała go czyjaś ręka lekko na jego ramieniu oparta.

Gdyby ciśnienie było gwałtowniejsze, nie ma wątpliwości, iż młodzieniec ten usilniej byłby się starał o zni-

szczenie listu; lecz widząc, iż wyrozumiale przystępowano do rzeczy, wstrzymał się i obejrzał.

— Król! — rzekł.

W rzeczy samej król wyszedł na schody i usłyszał koniec sporu, i swą królewską ręką wstrzymał rękę pana de Carmainges.

— Co to jest, mości panowie? — spytał głosem, któremu umiał nadać najwyższą potęgę, ilekroć tego zapragnął.

— Oto, Najjaśniejszy Panie — nie ukrywając gniewu swojego, zawołał d'Epéron — ten człowiek, jeden z Czterdziestu Pięciu, który jednak przestanie należeć do ich liczby, ten człowiek, mówię, któremu imieniem Waszej Królewskiej Mości poleciłem czuwać nad panem de Mayenne w ciągu jego pobytu w Paryżu, udał się za nim aż do Orleanu i tam przyjął od niego list, adresowany do pani de Montpensier.

— Przyjąłeś od pana de Mayenne list do pani de Montpensier? — spytał król.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Ernauton — lecz księżę d'Epéron nie powiada Waszej Królewskiej Mości w jakich okolicznościach.

— A gdzie jest ten list? — spytał znowu monarcha.

— To właśnie stanowiło przyczynę sporu, Najjaśniejszy Panie; pan de Carmainges oświadcza wyraźnie, iż mi go nie odda, lecz podług adresu doręczy, a taką odprawą dowodzi, podług mnie, że jest złym sługą.

Król spojrział na Ernautona, a ten ukląkł, mówiąc:

— Jestem tylko biednym szlachcicem, Najjaśniejszy Panie, i człowiekiem honoru. Ocaliłem życie posłowi Wa-

szej Królewskiej Mości, którego pan de Mayenne wraz z pięciu swoimi pomocnikami chciał zamordować, gdyż w sam czas przybywając, los walki na stronę posła przechyliłem.

— A panu de Mayenne nic się nie stało w pośród tej walki—spytał król.

— Owszem, Najjaśniejszy, został raniony, a nawet ciężko.

— Dobrze! — odparł król — cóż więcej?

— Potem, poseł waszej Królewskiej Mości, który jak widać musi mieć szczególniejsze powody nienawiści przeciw panu de Mayenne...

Król uśmiechnął się.

— Poseł, mówię, chciał dobić swojego nieprzyjaciela, i miał może do tego prawo; lecz mniemałem, że w mojej obecności, to jest w obecności człowieka, który należy do ciebie, Najjaśniejszy Panie, taka zemsta przybierze postać politycznego morderstwa, i...

Ernauton wahał się.

— Dokończ — rzekł król.

— I obroniłem pana de Mayenne od posła, podobnie jak pierwej posła od pana de Mayenne.

D'Epéron ramionami, Loignac przygryzł długiego wąsa, a król rzekł obojętnie:

— Mów dalej.

— Pan de Mayenne, pozostawszy już tylko z jednym towarzyszem, bo czterej inni polegli, nie chcąc się z nim rozłączać, nie wiedząc, że jestem sługą Waszej Królewskiej Mości, oddał się w moją opiekę i prosił abym przyjął list do jego siostry. Ten list, oto jest, racz nim

Najjaśniejszy Panie rozrządzać zarówno jak i mną samym. Honor drogi mi jest, Najjaśniejszy Panie, lecz skoro sumienie moje uspokaja rękojmią woli Waszej Królewskiej Mości, wyrzekam się mojego honoru, gdyż go w dobre ręce powierzam.

I ciągle klęczący Ernauton podał królowi pugilares. Król z lekka odtrącił go ręką.

— Cóżś mówił, panie d'Epéron? Pan de Carmainges jest człowiekiem honoru i wiernym sługą.

— Pytasz Najjaśniejszy Panie, co mówiłem?— rzekł d'Epéron.

— Tak jest, wszak schodząc po schodach słyszałem wyraz więzienie? Dla Boga! przeciwnie, kto spotyka człowieka podobnego panu de Carmainges, powinienby jako niegdyś rzymianie mówić o wieńcach i nagrodach. List, mój książę, należy zawsze do osoby, która go posiada lub do której winien być doręczony.

D'Epéron ukłonił się, mrużąc.

— List ten oddasz komu należy, panie de Carmainges— podał monarcha.

— Lecz racz pomyśleć, Najjaśniejszy panie o tem, co ten list może w sobie zawierać — rzekł d'Epéron. — Nieuwodźmy się delikatnością, skoro idzie o życie Waszej Królewskiej Mości.

— Oddasz list komu należy, panie de Carmainges— powtórzył król, nie odpowiadając ulubieńcowi.

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie — rzekł Carmainges, odchodząc.

— A gdzie go zanieziesz?

— Do księżnej de Montpensier, zdaje mi się, że miałem już zaszczyt oznajmić to Waszej Królew. Mości.

— Źle się wyraziłem, chciałem raczej spytać, czy go odniesiesz do pałacu Gwizyuszów, czy do hotelu Saint-Denis, czy też do Bel...?

Spojrzenie księcia d'Epéron wstrzymało króla.

— Pan de Mayenne nie udzielił mi żadnej instrukcji w tym względzie, Najjaśniejszy Panie; zaniosę list do pałacu Gwizyuszów i tam dowiem się, gdzie mam szukać pani de Montpensier.

— A więc będziesz jej szukał.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— A gdy znajdziesz?

— Oddam jej list.

— Dobrze. A teraz panie de Carmainges... — i król bacznie nań spojrział.

— Co, Najjaśniejszy Panie?

— Czy oprócz doręczenia tego listu siostrze pana de Mayenne, przyrzekłeś mu lub poprzysiągłeś jeszcze co innego?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Nie przyrzekłeś, na przykład — nalegał król — zachować w tajemnicy miejsce, w którym zastaniesz księżnę?

— Nie, nie przyrzekałem nic podobnego, Najjaśniejszy Panie.

— Zastrzegę ci więc jeden warunek.

— Jestem twoim niewolnikiem, Najjaśniejszy Panie.

— Natychmiast po oddaniu tego listu pani de Montpensier, pośpieszysz za mną do Vincennes, gdzie dzisiaj wieczór przepędzę.

— Rozumiem, Najjaśniejszy Panie.

— I tam opowiesz mi wiernie, gdzie znalazłeś księżnę.

— Wasza Królewska Mość najzupełniej liczyć na to może.

— Rozumie się, że unikniesz wszelkich dalszych wyjaśnień i zwierzeń.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie.

— O! co za nieroztropność, Najjaśniejszy Panie! — rzekł d'Epéron.

— Nie znasz się na ludziach, mój książę, a przynajmniej na niektórych ludziach. Ten, prawym jest względem pana de Mayenne, będzie i prawym względem mnie.

— Względem Waszej Królewskiej Mości, będę więcej niż prawym, bo gotowym na wszelkie poświęcenia — zawołał Ernauton.

— Teraz, d'Epéron — rzekł król — zaniechaj wszelkich sporów, i natychmiast przebacz temu dzielnemu słudze to, co uważałeś za brak poświęcenia się, a co ja uważam za dowód prawości.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział Carmainges — książę d'Epéron jako człowiek, zapatrujący się na rzeczy z wyższego stanowiska, umiał zapewne dostrzedz ile go poważam i kocham, mimo, że okazał nieposłuszeństwo względem jego rozkazów, nieposłuszeństwo, którego mocno żałuję; jednak wyznać muszę, że przedewszystkiem czynię to, co za powinność moją uważam.

— Krwi bozka! — rzekł książę, zmieniając wyraz twarzy równie szybko jak człowiek, który wkłada lub zdejmuję maskę — ta próba zaszczyt ci przynosi, mój kochany Carmainges, i naprawdę dzielny z ciebie młodzie-

niec: nieprawdaż Loignac? Jednak niezłeśmy go nastraszyli.

I ksiązę na głos się roześmiał.

Loignac wykręcił się na jednej nodze, unikając odpowiedzi, bo mimo, że był gaskończykiem, nie czuł w sobie jednak siły do równie bezczelnego kłamania jak jego dostojny zwierzchnik.

— A więc to tylko była próba? — powątpiewając, rzekł król. — Tem lepiej jednak, nie radzę ci d'Epéron, abyś wszystkich miał na takie próby narażać, bo wieluby w nich uległo.

— Tem lepiej — powtórzył Carmainges — tem lepiej, mości ksiązę, że te tylko próba, gdyż w takim razie pewien jestem, iż nie postradałem względów księcia pana.

Lecz mimo, że to mówił, widocznie nie ufał księciu, podobnie jak i król.

— No — rzekł Henryk — skoro wszystko skończone możemy jechać.

D'Epéron ukłonił się.

— Czy jedziesz ze mną, ksiązę?

— Stosownie do rozkazu, konno Waszej Królewskiej Mości towarzyszę.

— Dobrze, a któż jechać będzie z drugiej strony powozu? — spytał Henryk.

— Pan de Sainte-Maline, wierny sługa Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział d'Epéron i uważał jakie wrażenie to nazwisko sprawi na Ernautonie.

Lecz Ernauton stał obojętny jakby nic nie słyszał.

— Loignac — dodał ksiązę — przywołaj pana de Sainte-Maline.

— Panie de Carmainges — rzekł król, pojmując zamiar księcia d'Epéron — zapewne zaraz dopełnisz twój zlecenia i niezwłocznie przybędziesz do Vincennes?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie?

I mimo całej swojej filozofii, Ernauton odszedł dosyć zadowolony, że nie będzie patrzył na tryumf, który miał tak mocno rozradować ambitne serce Sainte-Malina.

VIII.

Siedm grzechów Magdaleny.

Król rzucił okiem na konie, a widząc, że tak dzielne i niecierpliwe, wahał się wsiąść sam do powozu; dla tego, przyznawszy słusność Ernautonowi, jak wyżej powiedzieliśmy, skinął na księcia, aby zajął przy nim miejsce w karecie.

Loignac i Sainte-Maline jechali po obu jej stronach, a jeden jeździec poprzedał.

Książę siedział sam na przodzie tej ciężkiej maszyny, a król ze wszystkimi psami swojemi umieścił się na poduszkach w głębi.

Pomiędzy temi psami znajdował się jeden szczególnie ulubiony, ten sam, któregośmy widzieli na królewskim ręku w ratuszowej łoży, miał on osobną poduszkę, na której drzemał milutko.

Z prawej strony króla stał stolik nogami przymocowany do dna karety; stół ten pokryty był iluminowanymi rycinami, które Jego Królewska Mość mimo kołysania się powozu, z dziwną zręcznością wycinał.

Ryciny te wyobrażały po większej części przedmioty z historii świętej, lecz gdy w owej epoce pod religią podciągano wiele pogańskich pojęć, to też i w rycinach króla mitologia znaczną grała rolę.

Na ten raz, zawsze metodyczny Henryk uczynił wybór pomiędzy temi rycinami, i zajął się wycinaniem życia Magdaleny grzesznicy.

Przedmiot już sam przez się był malowniczy, ale wyobraźnia malarza jeszcze go bardziej podwyższyła, widziano tam piękną, młodą i fetowaną Magdalene, oraz okazałe kąpiele, bale i wszelkiego rodzaju uciechy.

Rycina, której wycinaniem zajmował się król, gdy przebywano bramę Ś-go Antoniego, przedstawiała Magdalene ulegającą grzechowi gniewu.

Piękna grzesznica, spoczywając na poduszkach, okryta jedynie przepysznyim złotym włosom, który później ocierać miał okryte pyłem nogi Zbawiciela, z prawej strony kazała wrzucać w sadzawkę napelnioną rybami, których głowy nakształt węzowych pysków wystawały z wody, niewolnika co stłukł kosztowne naczynie, a tym czasem z lewej kazała biczować kobietę, jeszcze mniej, niż ona sama odzianą, za to, że nosiła warkocz z włosów, które strojąc swą panią mimowolnie wyrwała, z owych przepysznych włosów, których obfitość powinna była uczynić Magdalene pobłażliwszą dla tego rodzaju uchybienia.

Tło obrazu przedstawiało psów bitych za bezkarne

przepuszczanie żebraków, błagających o jałmużnę, oraz kogutów zarzynanych za zbyt donośne i ranne pianie.

Przybywszy pod krzyż Faubin, król wyciął już był wszystkie figury tej ryciny i przechodził do drugiej p. t.:

Magdalena ulegająca grzechowi obżarstwa.

Ta rycina przedstawiała piękną grzesznicę rozciągniętą na łożu z purpury i złota, jakie zwykle starożytnym służyło w czasie brania posiłku. Stół przed nią stojący ozdobiło wszystko co tylko rzymscy gastronomowie znali najwyszukańszego w mięsiwie, rybach i owocach, bo począwszy od myszek w miodzie smażonych i rybek najprzedniejszych, aż do raków ze Stromboli i granatów Sycylijskich. Na ziemi psy wydierały sobie bazanta, a zaś górną przestrzeń ómiły tysiącno-kolorowe ptaki, porywające z tego błogosławionego stołu figi, truskawki i wiśnie, które niekiedy spadały na mnóstwo szcurków, co w górę podniósłszy nosy, oczekiwały na tę mannę z nieba im sypaną.

Magdalena trzymała w ręku, napelniony jasnym jak topaz płynem, kielich dziwaczego kształtu, jakie według Petroniusza na ucztach Trimalcyona używane były.

Król cały zajęty tak ważnem dziełem, za ledwie rączył w przejeździe rzucić okiem na klasztor Jakobinów, gdzie właśnie dzwoniło na wieczerzę.

Wszystkie drzwi i okna klasztoru tego były tak szczelnie zamknięte, iż zdawałoby się, że w nim nikt nie mieszka, gdyby po jego wnętrzu nie rozlegał się odgłos brzęczącego dzwonu.

Po tak przelotnem spojrzeniu, król znowu czynnie zabrał się do wycinania.

Lecz o sto kroków dalej, uważny dostrzegacz byłby widział zapewne, że król ciekawszy aniżeli poprzednio rzucił wzrok na pięknie wyglądający dom po lewej stronie drogi, który sam zbudowany w pośród ogrodu, otwierał swoją żelazną z złoconemi strzały bramę tuż na samą drogę.

Ten wiejski dom nosił nazwę Bel-Esbat.

Jak w klasztorze Jakobinów wszystkie okna były zamknięte, tak przeciwnie w Bel-Esbat wszystkie były otwarte, wyjąwszy jedno, w którym spuszczone żaluzję.

W chwili przejazdu króla, ta żaluzya nieznacznie zadrgała.

Król nagle spojrział na księcia d'Epemon, uśmiechnął się, potem znowu zaczął wycinać inny grzech główny.

Był to grzech lubieżności.

Artysta przedstawił go w tak przerażających barwach, napiętnował go taką odwagą i wytrwałością, że za ledwie jeden tylko rys jego przytoczyć tu możemy, rys zbyt epizodyczny.

Przerażony anioł stróż Magdaleny ulatywał w niebo, w obu dłoniach ukrywając oczy.

Rycina ta, pełna drobiazgowych szczegółów, tak dalece zajmowała uwagę króla, że jechał dalej nie uważając, iż przy lewych drzwiczkach jego karety okazała się niejaka próżnia.

Wielka to była szkoda, bo Sainte-Maline wyglądał na swoim koniu bardzo dumny i bardzo szczęśliwy.

On, tak blisko króla, on młodszy syn Gaskonii, mógł słyszeć jak Jego arcy-chrześcijańska Królewska Mość mówił do swojego psa:

— Bardzo dobrze! master Love, ale już mię nudzisz. Lub do księcia d'Epéron, jeneralnego dowódcy piechoty.

— Książę, zdaje się, że te konie karku mi nakreca. Od czasu do czasu jednak, Sainte-Maline poskramiając niejako swą dumę, poglądał na Loignaca jadącego z drugiej strony karety, który przyzwyczajony do honorów obojętnie je przyjmował, a widząc, że ten szlachcic ze swoją spokojną miną i skromną wojskową postawą daleko piękniej wyglądał anizeli on sam, Sainte-Maline usiłował o ile mógł hamować się, lecz wkrótce pewne myśli na nowo rozwinęły całą jego dziką próżność.

— Widzą mię, patrzą na mnie — mówił sam do siebie—i pytając: kto jest ten szczęśliwy, który towarzyszy królowi?

Sądząc po szybkości jazdy, która bynajmniej nie usprawiedliwiała obawy króla, szczęście Sainte-Malina długo trwać musiało, bo konie Elżbiety obciążone szorami srebrem i pessamonicką robotą ozdobnemi, i uwięzione w pasy podobne do pasów arki Dawida, dosyć wolno postępowały ku drodze do Vincennes.

Lecz właśnie w pośród najwyższej dumy, jakaś niby z góry pochodząca przestroga powstrzymała radość Sainte-Malina, jakaś okoliczność co go bardziej niż wszystkie inne martwiła, usłyszał, że król wymówił nazwisko Ernau-ton'a, a nawet kilka razy w ciągu kilku minut.

Sainte-Maline za każdą razą pochylał się, pragnąc pochwycić w przelocie tę interesującą zagadkę.

Ale jakiś wypadek przerwał tę zagadkę, równie jak wszystko co prawdziwie interesuje.

Król krzyknął zmartwiony, że w jednym miejscu z nadto ryzykownie przeciął rycinę; albo może dla tego, iż z jak największą łagodnością nakazywał milczenie swemu Love, który choć mały, czekał zajadle, pragnąc naśladować brytana.

Dosyć jednak, że król w przejeździe z Paryża do Vincennes przynajmniej sześć razy wymówił imię Ernautona.

Księżę zaś przynajmniej razy cztery, a Sainte-Maline żadną miarą zgadnąć nie mógł dla czego się tym człowiekiem tyle zajmowano.

Ale ponieważ każdy wszystko na swoją korzyść tłumaczy, Sainte-Maline mniemał, że król pyta o przyczynę nagłego zniknięcia Ernauton'a, a księżę d'Epemon wyjaśnia mu takową na domysł lub na prawdę.

Nakoniec, stanęli w Vincennes.

Król miał jeszcze trzy grzechy do wycinania, pod pozorem więc wyłącznego oddania się tak ważnemu zatrudnieniu, zaledwie wysiadł z powozu, zaraz zamknął się w swoim pokoju.

Czas był mglisty i nadzwyczaj chłodny; to też Sainte-Maline zasiadł wygodnie przy wielkim kominie, gdzie zamyslał ogrzać się i usnąć, wtem Loignac położył mu rękę na ramieniu.

— Dzisiaj jesteś na służbie — rzekł mu krótko, tonem człowieka, który przywykły oddawna do posłuszeństwa, lubił aby i jego słuchano; wyśpisz się więc inną ręką; a teraz na nogi, panie de Sainte-Maline.

— Jeżeli potrzeba, panie, dwa tygodnie wciąż czuwać będę — odpowiedział tenże.

— Przykro mi, że nie mam nikogo pod ręką—rzekł Loignac, niby kogoś szukając.

— Panie—przerwał Sainte-Maline — nie potrzebujesz udawać się do kogo innego; jeżeli potrzeba i cały miesiąc spać nie będę.

— O! tak wiele wymagać nie będziemy; możesz pan być spokojny.

— Cóż więc mam uczynić?

— Siadać na koń i wracać do Paryża.

— Jestem gotów; koń mój czeka w stajni osiodłany.

— Dobrze, udasz się wprost do kwatery Czterdziestu pięciu.

— Rozumiem, panie.

— Obudzisz wszystkich; ale tak, aby oprócz trzech przywódców, których ci nie wymienię, nikt nie wiedział dokąd się ma udać i co czynić.

— Wykonam punktualnie pańskie zlecenie.

— Teraz słuchaj dalej: czternastu zostawisz przy bramie Świętego Antoniego; piętnastu w połowie drogi, a czternastu pozostałych przyprowadzisz tutaj.

— Chciej pan to uważać za wykonane, panie Loignac, ale o którejże godzinie mamy wyruszyć z Paryża?

— Skoro noc zapadnie.

— Konno czy pieszo?

— Konno.

— Z jaką bronią?

— Ze wszystką: przy pałaszach, szpadach i pistoletach.

— Czy w zbroi?

— Tak jest.

— A co więcej?

— Masz tu trzy listy: jeden do pana de Chalabre, drugi do pana de Biron, a trzeci do ciebie samego. Pan de Chalabre będzie dowodził pierwszym oddziałem, pan de Biron drugim, a ty trzecim.

— Dobrze panie.

— Te listy otworzycie dopiero w drodze, skoro wybijie szósta godzina. Pan de Chalabre otworzy swój przy bramie Świętego Antoniego, pan de Biron przy krzyżu Faubin, a pan tu, przy zamkowej bramie.

— Czy prędko jechać mamy?

— Jak tylko wasze konie wydadzą, ale nie ściągając na siebie uwagi ani żadnych podejrzeń. Każdy z was wyruszy z Paryża inną bramą, pan de Chalabre bramą Bourdelle; pan de Biron bramą Temple; a pan jako mający największą przestrzeń do przebycia, udasz się prostą drogą, to jost przaz bramę Świętego Antoniego.

— Dobrze, panie.

— Resztę instrukcyi znajdziesz w tych trzech listach.

A teraz ruszaj.

Sainte-Maline uklonił się i zabierał do wyjścia.

— Ale, ale—rzekł Loignac—ztań do krzyża Faubin pojedziesz według upodobania, prędko lub powoli; ale od krzyża do rogatek, pojedziesz stępa. Noc zapadnie dopiero za dwie godziny, masz więc aż nadto czasu.

— Rozumiem.

— Czy pamiętasz wszystko, czy też mam ci jeszcze raz powtórzyć rozkaz?

— Nie potrzeba, panie.

— A więc szczęśliwej podróży, panie de Sainte-Maline.

I Loignac brzęcząc ostrogami wszedł do apartamentów.

— Czternastu w pierwszym oddziale, piętnastu w drugim i piętnastu w trzecim, widocznie nie liczą na Ernautona, i że już nie należy do Czterdziestu pięciu.

Sainte-Maline, cały pychą nadęty, wypełnił swoje zlocenie jako osoba ważna, a więc punktualna.

W pół godziny po wyjeździe z Vincennes, wykonawszy co do litery wszelkie zlecenie pana de Loignac, przebywał rogatki.

W kwadrans później, był już na kwaterze Czterdziestu pięciu.

Większa część tych panów już się nasycala zapachem wieszczy przyrządzanej w kuchniach ich małżonek.

I tak, szanowna Sardilla de Chaventrade przyrządziła półmisek baraniny z marchwią, z mnóstwem korzeni, podług gaskońskiej mody; Militor pilnował go ze swojej strony i kilka razy żelaznym widelcem próbował czy mięso i jarzyna już się dobrze ugotowały.

Pertinax de Monterabeau przy pomocy swojego sługi, któremu nigdy nie mówił ty, a który nawzajem sawsze używał tego wyrażenia, przemawiając do pana wspólnym kosztem dla kilku kolegów, rozwijał swój kuchenny talent. Około półmiska, który kupił ten biegły administrator, zgromadzało się ośmiu stowarzyszonych, z których każdy wnosił do składki sześć soldów.

Pan de Chalabre nie jadał nigdy widocznie, można było mniemać, że jest istotą mitologiczną, którą przyro-

dzenie uczyniło wyższą nad wszelkie potrzeby; atoli nadzwyczajna chudość kazała wątpić o jego bożkiej naturze.

Patrzył jak jego towarzysze śniadali, obiadowali i wieczerali, patrzył jak dumny kot, co choć głodny zebrzeć nie chce, ale dla nasycenia głodu wasy oblizuje. Wszakże sprawiedliwie przyznać należy, iż gdy go zapraszano, co się bardzo rzadko zdarzało, odmawiał, oświadczając, iż właśnie ma ostatnie kęsy w ustach, a te kęsy były to zawsze kuropatwy, bażanty, pasztety i najprędniejsze ryby.

Wszystko to zaś zwykle obficie skrapiał winem hiszpańskiem lub wyspowem, jak np. Malagą, cypryjskiem albo syrakuzańskiem.

Widzimy więc, że całe towarzystwo według upodobania rozporządzało pieniędzmi Jego Królewskiej Mości, Henryka III.

Wreszcie, z powierzchowności mieszkań można było sądzić o charakterze każdego. Jedni lubili kwiaty i pielęgnowali w doniczkach na oknach ustawionych, albo mały krzaczek róży, albo też żółtawą skabiozę. Inni na wzór króla, kochali się w rycinach, chociaż nie umieli wycinać ich tak zręcznie jak on; inni nakoniec, jako bezzenni mieli w swoich mieszkaniach gospodynie lub siostrzenice.

Pan d'Epéron cichaczem oświadczył panu Loignac, że gdy Czterdziestu pięciu nie zamieszkują Luwru, może więc na to zamknąć oczy, Loignac też zamknął.

Mimo to jednak, skoro zatrąbiono, każdy z nich natychmiast przemieniał się w żołnierza i niewolnika surowej karności, siadał na koń i gotów był na wszystko.

W zimie wszyscy udawali się na spoczynek o godzi-

nie ósmej; w lecie zaś o godzinie dziesiątej; ale piętnastu tylko spało na prawdę, piętnastu drugich spało tylko jednym okiem, a piętnastu trzecich nie spało zgoła.

Że zaś w owej chwili było dopiero pół do szóstej wieczorem, przeto Sainte-Maline zastał jeszcze wszystkich na nogach, i w jak najgastronomiczniejsem usposobieniu, ale jedno słowo wytrąciło im z rąk łyżki.

— Na koń, mości panowie!—zawołał.

I zmieszawszy wszystkich takim manewrem wytłomaczył rozkaz panom de Biron i de Chalabre.

Jedni, zapinając pasy i wdzierając pancerze, włożyli co mogli w usta i skropili to porządną porcją wina; inni, którzy nie tak dalece jeszcze postąpili w wieczery, uzbroili się w rezygnacją.

Sam tylko pan de Chalabre nieco ściślej zaciągając pas od pałasza, oświadczył, iż już od godziny zjadł wieczere.

Nastąpił apel, na który odpowiedziało tylko czterdziestu czterech, licząc w to i pana de Sainte-Maline.

— Brakuje pana Ernautona de Carmainges — rzekł pan de Chalebre, jako z kolei pełniący obowiązki furyera.

Głęboka radość napełniła serce Sainte-Maline i wybiła się na uśmiechniętych ustach jego, rzecz rzadka u człowieka ponurego i zazdrośnego.

Bo Sainte-Maline mniemał w istocie, że ta nieobecność bez przyczyny i w chwili tak ważnej wyprawy, niezawodnie zgubi Ernautona.

Tak więc nasi Czterdziestu pięciu, a raczej Czterdziestu czterech ruszyli plutonami wskazaną sobie drogą, to jest pan de Chalabre z trzynastu ludźmi przez bramę

Bourdelle; pan de Biran z czternastu, przez bramę Temple; a nakoniec Sainte-Maline również z czternastu przez bramę Świętego Antoniego.

IX.

B e l - E s b a t.

Nie potrzebujemy wspominać, że Ernauton, którego Sainte-Maline miał za straconego, owszem dążył niespodziewaną drogą wzrastającego szczęścia swojego.

Wyrachował najprzód bardzo naturalnie, że księżna de Montpensier, z którą polecono mu widzieć się, musi przebywać w pałacu Gwizyuszów, od czasu swojego przybycia do Paryża.

Udał się zatem wprost do wspomnionego pałacu.

Zapukał do głównych drzwi, które mu jak najostrożniej otworzono i prosił o zaszczyt rozmówienia się z księżną de Montpensier, ale z razu jak najokropniej go wysmiano.

Lecz gdy się tem nie zraził, oświadczone mu, iż powinien wiedzieć, że księżna mieszka w Soissons, ale nie w Paryżu.

Ernauton spodziewał się takiego przyjęcia, więc bynajmniej się nie zmięszął.

— Bardzo mi przykro, że nie zastaję księżnej pani— rzekł—bo mam do niej bardzo ważne zlecenie od księcia de Mayenne.

— Od księcia de Mayenne? — powtórzył odźwierny — a któż to panu poruczył to zlecenie?

— Sam ksiązę de Mayenne.

— Książę! — zawołał odźwierny, doskonale udając zdziwionego — a w jakimże to miejscu otrzymałeś pan owe zlecenie? bo ksiązę podobnie jak i księżna nie jest obecny w Paryżu.

— Wiem o tem — odparł Ernauton — ale i ja mogłem nie być w Paryżu, i mogłem spotkać księcia, gdzie indziej a naprzykład na drodze do Blois.

— Na drodze do Blois? — nieco uważniej powtórzył odźwierny.

— Tak jest, ksiązę mógł mię spotkać na tej drodze i dać mi zlecenie do księżnej de Montpensier.

Na twarzy odźwiernego odbiła się lekka niespokojność, ale mimo to lękając się gwałtu ze strony Ernautona, trzymał on ciągle drzwi przymknięte.

— A więc pan masz list?..

— Mam.

— Przy sobie?

— Tu — odpowiedział Ernauton — uderzając się po kaftanie.

Wierny sługa badawczy wzrok wpoił w Ernautona.

— Mówisz pan, że masz ten list przy sobie? — rzekł.

— Tak jest.

— I list ten jest ważny.

— Jak może być najważniejszy.

— A możesz mi pan przynajmniej pokazać go?

— Chętnie.

I Ernauton wyjął z zanadrza list pana de Mayenne.

te y te pomyli

— O! ho! co za dziwny atrament! — zawołał odzwierny.

— To krew—zimno odparł Ernauton.

Wierny sługa zbladł na te słowa, a raczej na myśl, że pan de Mayenne pisał zapewne własną krwią.

W owym czasie wielce zbywało na atramencie, ale za to krwi przelanej nie brakowało; ztąd więc kochankowie do kochanek, krewni do krewnych, często pisywali płynem najpospoliciej rozlewany.

— Panie — spiesźnie rzekł sługa — nie wiem czy w Paryżu lub jego okolicach znajdziesz pan księżnę de Montpensier; ale w każdym razie chciej pan udać się jak najprędzej do domu na przedmieście Świętego Antoniego, który ma nazwę Bel-Esbat i należy do księżnej de Montpensier; poznasz go pan łatwo, gdyż stoi najpierwszy po lewej stronie drogi do Vincennes, za klasztorem Jakobiaków; znajdziesz pan tam niezawodnie kogós z służby księżnej, kto potrafi wskazać panu gdzie się w tej chwili znajduje księżna pani.

— Bardzo dobrze, dziękuje — rzekł Ernauton, pojmując, że sługa nie może albo nie chce mu nic więcej powiedzieć.

— Na przedmieściu Świętego Antoniego — mówił dalej sługa — każdy zna i każdy panu wskaże Bel-Esbat, choć może nie wszyscy wiedzą, iż ten dom należy do księżnej de Montpensier, ponieważ księżna kupiła go niedawno, aby w nim żyć mogła odosobniona.

Ernauton kiwnął głową i ruszył na przedmieście Świętego Antoniego.

Bez trudu i nie pytając nikogo, znalazł dom Bel-Esbat przyległy klasztorowi Jakobistów.

Zadzwoił i drzwi otworzyły się.

— Można wejść—powiedziano mu,

Wszedł, a drzwi się za nim zamknęły.

Gdy wszedł, oczekiwano aż wymieni hasło, lecz gdy milcząc spoglądał w koło siebie, zapytano czego żąda.

— Pragnę mówić z księżną panią—rzekł.

— I dla czegoż szukasz pan księżnej w Bel-Esbat?—zapytał lokaj.

— Bo mię tu przysłał odźwierny z pałacu Gwizyuszów -- odparł Ernauton.

— Księżnej pani nie ma ani tutaj, ani w Paryżu—powiedział lokaj.

— W takim razie -- rzekł Ernauton—oczekiwać będę przyjaźniejszej chwili do wywiązania się z zlecenia, jakie mi poruczył książę de Mayenne.

— Pan masz zlecenie do księżnej.

— Tak jest, do księżnej.

— Od księcia de Mayenne?

— Tak jest.

Sługa namyślał się przez chwilę.

— Sam panu nie mogę udzielić żadnej odpowiedzi—rzekł—ale mam tu zwierzchnika, którego się pierwiej poradzić muszę. Chciej pan zaczekać.

— To mi dopiero dobrze ułożeni ludzie — zawołał Ernauton. — Co za porządek! jaka karność, jaka akuratność, zaiste muszą to być ludzie bardzo niebezpieczni, skoro się tak dobrze pilnować każą. Do panów Gwizyuszów nie można tak łatwo wejść jak do Luwru; dla tego

zaczynam mniemać, że nie służę prawdziwemu królowi Francji.

I spojrzął w koło siebie: na podwórzu było pusto, lecz wszystkie drzwi od stajen stały otworem, jakby oczekiwano na wojsko, mające nadejść i zająć kwatery.

Ten przegląd przerwał Ernautonowi służący, który wrócił w towarzystwie drugiego.

— Powierz mi pan swojego konia i sam udaj się za moim kolegą — rzekł — zaprowadzi on pana do osoby, która panu odpowie daleko lepiej aniżeli ja.

Ernauton poszedł za służącym, czekał chwilę w przedpokoju, i wkrótce w skutek danego służącemu rozkazu, wprowadzony został do sąsiedniego saloniku, gdzie haftowała jakaś kobieta, ubrana bez pretensyi, chociaż wytwornie.

Siedziała odwrócona plecami do Ernautona.

— Oto jest pan, który przybywa od księcia de Mayenne — rzekł służący.

Kobieta odwróciła się.

Ernauton krzyknął zdziwiony.

— To ty pani! — zawołał, poznając w tej trzeciej przemianie; zarazem i swojego pazia i damę z lektyki.

— To pan! — zawołała nawzajem kobieta, wypuszczając z rąk robotę i patrząc na Ernautona.

Wreszcie dawszy znak lokajowi, wyjść mu kazała.

— Pani należysz do dworu księżnej de Montpensier? — spytał zdziwiony Ernauton.

— Tak jest — odpowiedziała nieznajoma — ale jak się to dzieje, że pan przybywasz tu ze zleceniem od księcia de Mayenne?

— Jest to zbieg okoliczności, których przewidzieć nie mogłem i które zbyt długo musiałbym pani opowiadać — rzekł Ernauton z nadzwyczajną ostrożnością.

— O! jesteś pan ostrożny — z uśmiechem dodała dama.

— O ile tego potrzeba.

— Ale ja tutaj nie widzę tak wielkiej potrzeby, bo jeżeli pan rzeczywiście przybywasz ze zleceniem, o którym wspominasz...

Ernauton obruszył się.

— O! nie gniewajmy się, jeżeli pan rzeczywiście przybywasz ze zleceniem od osoby, którą wymieniłeś, rzecz jest dosyć interesująca, i przez pamięć na stosunki nasze, jakkolwiek one były krótkie, zechcesz nam pan objawić to zlecenie.

Dama wyrzekła te słowa z jak najułudniejszem przymleniem, jakim tylko ładna kobieta swe żądanie popierać umie.

— Pani — odparł Ernauton — nie zdołasz mię zmusić, abym powiedział to, czego nie wiem.

— A tem bardziej to, czego pan powiedzieć nie chcesz.

— Na to nic odpowiedzieć nie mogę — kłaniając się, rzekł Ernauton.

— Co do słownych zleceń czyń pan co mu się podoba.

— Słownych zleceń, nie mam żadnych; winienem tylko oddać list Jej Księżęcej Mości.

— A więc, gdzież jest ten list? — rzekła nieznajoma, wyciągając rękę.

— Ten list?—powtórzył Ernauton.

— Proszę o niego.

— Sądzę—odparł Ernauton — że już miałem honor oświadczyć pani, iż ten list adresowany jest do księżnej de Montpensier.

— Ale w nieobecności księżnej, ja ją tutaj reprezentuję, niecierpliwie mówiła nieznajoma, a zatem pan możesz...

— Nie mogę.

— Pan mi nie wierzysz?

— Takbym powinien—odparł młodzieniec, rzucając bynajmniej nie zwodnicze spojrzenie—lecz mimo tajemnicy jaką się pani otaczasz, wyznaję, iż wzbudziłaś we mnie uczucia zupełnie obce tym, o których wspominasz.

— W istocie! — zawołała nieznajoma, płonąć na widok ognistych spojrzeń Ernautona.

Ernauton ukłonił się.

— Uważaj, panie pośle, że mi czynisz miłosne oświadczenie.

— Tak jest—odparł Ernauton—nie wiem czy kiedy los dozwoli mi znowu ujrzeć panią, i zaiste tak korzystnej sposobności napróżno tracić nie powinienem.

— Skoro tak, pojmuje teraz.

— Pojmujesz pani, że cię kocham; ależ rzeczywiście to bardzo łatwo.

— Owszem, pojmuje jakim sposobem pan się tu dostałeś.

— Ah! przebac pani—rzekł Ernauton—ale ja znowu teraz nic nie pojmuje.

— Tak jest, pojmuję, że aby mię widzieć, chwyciłeś się pan podstępny i wszedłeś tutaj.

— Ja podstępny! Ah! źle pani o mnie sądzisz; nie wiedziałem, że panią kiedykolwiek jeszcze ujrzę, spościłem się jedynie na los, który już po dwakroć rzucił mię na twoją drogę, pani; lecz nigdy nie chwytalem się podstępny. Dziwny jestem, i nie we wszystkim podzielam zdania drugich.

— Oh! ho! powiadasz pan, żeś zakochany, a miałbyś skrupuły względem sposobu ujrzenia osoby, którą kochasz? A to pięknie! — z nieco szyderczą dumą rzekła dama— otóż jam wcale nie wątpię, że pan masz skrupuły.

— Cóż panią o tem przekonało, jeżeli wiedzieć wolno?— spytał Ernauton.

— Nie dawno spotkałeś mię pan w lektyce, poznałeś mię, a jednak nie udałeś się za mną.

— Miej się pani na baczności — rzekł Ernauton, bo wyznajesz, żeś na mnie zwróciła uwagę.

— Ah! piękne mi wyznanie! Alboż nie spotykaliśmy się w okolicznościach, które mnie szczególniejsz dozwolają wyjrzeć przez drzwiczki, skoro pan przejeżdżasz? ale nie, pan oddaliłeś się galopem, krzyknawszy pierwej ah! tak, że aż cała zadrżałam w głębi mojej lektyki.

— Musiałem oddalić się, pani.

— Z powodu skrupułów?

— Nie, pani, z powodu obowiązku.

— No, no, widzę, że z pana roztropny i ostrożny kochanek, z uśmiechem mówiła nieznajoma, i że nade wszystko obawiasz się pan kompromitacyi.

— I cóż byłoby dziwnego, gdybyś mię pani prze-

mowała nawet niejaką obawą — odpowiedział Ernauton? — Racz pani przyznać sama, że to rzecz wcale niezwykczajna, skoro kobieta przebiera się po mężku, chytrze i gwałtem wciska się przez roгатki miasta i przypatruje się na placu Greve traceniu nieszczęśliwego, czyniąc przytem jakies niepojęte poruszenia?

Dama lekko zbladła, lecz wnet, że tak powiemy, bledość swą uśmiechem pokryła.

Ernauton mówił dalej:

— Czyż naturalna, wreszcie, aby owa dama, doznawszy tak dziwnej przyjemności, z obawy, aby jej nie przytrzymano, ucieka jak złodziejka, niepomna, że zostaje w służbie u księżnej de Montpensier, pani wielowładnej, chociaż u dworu nie najlepiej położonej?

Dama znowu się uśmiechnęła, lecz już z widoczniejszą ironią.

— Jakkolwiek chcesz pan uchodzić za dostrzegacza, niezbyt jednak jesteś przebiegłym — rzekła nieznajoma — bo zaprawdę zdrowy rozsądek natychmiast powinien był wyjaśnić ci to wszystko, co za ciemne uważasz. A najprzód, czyliż to rzecz nienaturalna, iż księżnę de Montpensier obchodził los Salceda i jego prawdziwe lub fałszywe zeznania, mogące wielce szkodzić całemu domowi Lotaryngii? a w takim razie, mój panie, czyż nie naturalna, iż ta księżna wysłała osobę pewną, zasługującą na całe jej zaufanie, dla znajdowania się na egzekucyi i uocznego przekonania się o najdrobniejszych jej szczegółach? Otóż! tą osobą, mój panie, byłam ja, powiernica Jej Księżęcej Mości. A teraz, czy pan mniemasz, że mogłam dostać się do Paryża, gdy wszystkie jego roгатki

były zamknięte? czy mniemasz, że w kobiecych sukniach mogłam iść na plac Greve? Nakoniec kiedy już znasz pan moje stanowisko przy księżnej, czy mniemasz, że mogłam obojętnie patrzeć na cierpienia nieszczęśliwego i opór w udzieleniu wyjaśnień.

— Masz pani zupełną słuszność — z ukłonem odrzekł Ernauton — i zaiste zarówno obecnie podziwiam dowcip i logikę pani, jak poprzednio podziwiałem piękność jej osoby.

— Wielce panu dziękuję. Otóż kiedy się znamy już oboje, i wszystko się między nami wyjaśniło, dajże mi pan ten list, ponieważ list istnieje i nie jest bynajmniej prostym pretekstem.

— Niepodobna, pani.

Nieznajoma gwałtem wstrzymała się od wybuchu.

— Niepodobna? — powtórzyła.

— Tak jest, bo przysięgłem księciu de Mayenne, iż list ten wręcę samej tylko księżnej de Montpensier.

— Powiedz pan raczej — zawołała dama, ulegając rozdrażnieniu — powiedz pan raczej, iż list ten nie istnieje, że mimo mniemanych skrupułów twoich, list ten służył ci jedynie za pretekst do wejścia tutaj; powiedz, że pragnąłeś mnie widzieć i nic więcej. Otóż, stało się według twojej woli, panie, nie tylko wszedłeś tutaj, nie tylko widziałeś mię, lecz nadto powiedziałeś, iż mię uwielbiasz.

— W tem równie jak i we wszystkim innym, powiedziałam czystą prawdę.

— A zatem dobrze, pan mię uwielbiasz, pan mię widzieć chciałeś i widziałeś, ja zaś wzamian za przysługę

sprawiłam panu przyjemność. Jesteśmy więc pokwitowani, żegnaj pana.

— Jestem posłuszny — rzekł Ernauton — i skoro mię pani z niczem odprawiasz, odchodzę.

Tą razą dama naprawdę się rozgniewała.

— Ha — rzekła — jednak jakkolwiek pan znasz mnie, ja nie znam pana wcale, wreszcie sam pan zapewne przyznasz, iż zbyt wielką masz nademną przewagę? Ah! a zatem mniemasz pan, iż dosyć jest, pod jakimkolwiek pozorem wejść do domu księżnej, bo pan tu jesteś w domu księżnej de Montpensier i powiedzieć: podstęp mój udał się, więc odchodzę. O! mój panie, człowiek honoru tak nie postępuje.

— Zdaje mi się — odparł Ernauton — iż pani zbyt cierpką nadajesz nazwę temu, co możnaby nazwać największą przebiegiem miłości, gdyby, jak miałem honor oświadczyć pani, nie chodziło tu o interes najwyższej wagi i najczystszej prawdy. Nie chcę powtarzać cierpkich wyrażen pani, i zupełnie zapominam o wszystkim, co pani tkliwego i przyjaźnego powiedziałem, ponieważ pani tak źle jesteś względem mnie usposobiona. Lecz nie wyjdę ztąd z ciężarem dotkliwych zarzutów, jakie mi pani poczyniłaś. Mam rzeczywiście wręczyć księżnej de Montpensier list od pana de Mayenne, a list ten, oto jest; adres przekonać panią może, że pisał go książę własną swoją ręką.

Ernauton pokazał list, lecz go z rąk nie puścił.

Nieznajoma spojrzała nań i zawołała:

— Jego pismo! krew!

Ernauton nic nieodpowiadając schował list do kieszeni, ze zwykłą sobie dworskością ukłonił się po raz

ostatni, i blady, ze śmiercią w sercu, skierował się ku głównemu wyjściu z salonu.

Tą razą nieznajoma pobiegła za nim i jak Józefa za krój szaty pochwyciła.

— Co pani rozkaże — spytał Ernauton.

— Przez litość, przebacz pan — zawołała dama — przebacz, miałożby się księciu wydarzyć jakie nieszczęście?

— Czy przebaczę lub nie — rzekł Ernauton — to rzecz obojętna co do listu, bo pani prosisz o przebaczenie dla tego tylko, abyś list przeczytać mogła, a oświadczam, iż go sama tylko księżna de Montpensier czytać będzie.

— Ależ nieszczęśliwy zapamiętałcze — w majestatycznym gniewie zawoła księżna — czyliż mię nie poznajesz, albo raczej czy nie domyślasz się, że jestem tu najwyższą panią, lub czy mniemasz że tu błyszczą oczy służącej? Ja jestem księżna de Montpensier, i list oddaj mnie.

— Pani jesteś księżną! — cofając się, zawołał przerażony Ernauton.

— A tak, bez wątpienia. No, dawaj, dawaj; czyż nie widzisz jak mi pilno wiedzieć co się mojemu bratu przytrafiło?

Lecz młodzieniec, zamiast być posłusznym jak się tego księżna spodziewała, skoro wyszedł z zadziwienia, założył ręce na piersi i rzekł:

— Jak pani żądać możesz, abym słowom twoim wierzył, kiedy usta twoje już mi po dwakroć skłamały?

Spojrzenie, które księżna przywołała dla poparcia słów swoich, cisnęło dwie śmiertelne błyskawice; lecz Ernauton mężnie ten ogień wytrzymał.

— Jeszcze wątpisz, jeszcze żądasz dowodów skoro

ja o czem zapewniam?—zawołała dumna kobieta, szarpiąc swoje koronkowe zarękawki.

— Tak jest pani, wątpię — zimno odparł Ernauton.

Nieznajoma rzuciła się na dzwonek i tak gwałtownie nim wstrząsnęła, iż mało co go nie ukruszyła. Po wszystkich apartamentach rozległ się natychmiast donośny jego odgłos i za nim ucichł, na progu sali stanął lokaj.

— Co pani rozkaże?—spytał.

Nieznajoma wściekle nogą tupnęła.

— Mayneville—rzekła—Mayneville niech tu zaraz przyjdzie!

Służący wybiegł i w tej chwili prawie spieszenie przybył Mayneville.

— Jestem na rozkazy pani—rzekł.

— Pani! i od kiedyż to nazywają mię po prostu panią, mości Mayneville?—w rozpaczę zawołała księżna.

— Jestem na rozkazy Waszej Księżęcej Wysokości—powtórzył Mayneville pochylony i zdumiony.

— Teraz to co innego! — powiedział Ernauton — mam przed sobą szlachcica, a jeżeli ten skłamię, klnę się na niebo! że będę przynajmniej wiedział kogo się mam trzymać.

— Wierzysz więc nakoniec?—spytała księżna.

— Tak jest, pani, wierzę, i na dowód, oto list.

A skłoniwszy się, wręczył księżnie de Montpensier ów list tak dawno pożądanym.

X.

List pana de Mayenne.

Księżna pochwyciła list, otworzyła go i czytała chciwie nie ukrywając bynajmniej wrażeń przebiegających kolejno po jej twarzy, jak chmury po tle nieba burzą brzemiennego.

Skończywszy, podała list Mainevillovi równie jak ona sama niespokojnemu. List ten brzmiał następnie.

„Moja siostrze, pragnąłem osobiście spełnić obowiązek dowódcy lub fehmistrza; lecz Bóg mię za to skarał.

„Człowiek, którego znasz i z którym oddawna mam rachunki, dzielnie przeszył mię szpadą. Co gorsza, zabił mi pięciu ludzi, pomiędzy nimi zaś dwóch najlepszych Bouaron i Desnoiseda i sam umknął.

„Wyznać należy, że do zwycięstwa wielce dopomógł oddawca niniejszego pisma, młody przyjemny człowiek, jak się sama o tem przekonasz; polecam ci go, jako pełnego wyrozumiałości.

„Mniemam jednak, najukochańsza siostrze, że mu to za zasługę poczytasz, że nie dozwolił mojemu zwycięzcy aby mi uciął głowę, mimo, iż wspomniony zwycięzca wielką miał chęć po temu, bo kiedy leżałem bezprzytomny, zerwał mi maskę i poznał mię.

„Zalecam ci siostrze, abyś wykryła nazwisko i powołanie tego tak wyrozumiałego młodzieńca, chociaż bowiem mocno mię interesuje, mam go jednak za podejrzanego.

Wszelkie oflary przyjęcia służby u mnie, odrzucał, twierdząc, iż u pana, któremu służy, na niczem mu nie zbywa.

„Więcej nic ci o niem donieść nie mogę, ale mówię tyle ile sam wiem; utrzymuje, iż mię nie zna. Miej tę okoliczność na uwadze.

„Cierpię bardzo, lecz mniemam, że życie moje wolne od niebezpieczeństwa. Przysyłaj mi jak najprędzej mojego chirurga; leżę jak koń, na słomie. Oddawca powie ci gdzie.

„Twój przywiązany brat.

„Mayenne“.

Przeczytawszy ten list, księżna i Mayneville spojrzeli po sobie oboje zdziwieni.

Księżna pierwsza przerwała milczenie, które zapewne Ernauton źle byłby sobie wytłumaczył.

— Komuż — spytała księżna — winniśmy znakomitą przysługę, jaką nam pan wyświadczyłeś?

— Człowiekowi, mościa księżno, który ilekroć może, zawsze broni słabszego przeciw mocniejszemu.

— Chciejże mi pan udzielić niejakich szczegółów w tym względzie?—nalegała księżna de Montpensier.

Ernauton opowiedział wszystkie szczegóły wypadku i wskazał schronienie księcia. Pani de Montpensier i Mayneville słuchali go z nadzwyczajnem zajęciem.

Gdy skończył, księżna spytała znowu.

— Mamże tuszyć w sobie, iż pan zechcesz prowadzić dalej tak pięknie zaczęte dzieło, i przyłączysz się do naszego dworu.

Po wyznaniu jakie Ernauton niedawno uczynił damie

honorowej pani de Montpensier, te słowa miały bardzo pochlebne znaczenie, zwłaszcza, że je księżna wymówiła tonem pełnym uprzejmości, jaki w razie potrzeby bez trudu przybrać umiała. Lecz młodzieniec, zostawując miłość własną na stronie, słowom tym przypisał tylko prostą ciekawość.

Przewidywał, że wyjawiając księżnej swój stan i nazwisko, otworzy jej oczy na następstwa tego wypadku, domyślał się również, iż król, kładąc mu za warunek wykrycie miejsca pobytu księżnej, nie tylko prostą wiadomość miał na celu.

Dwa więc interesa w nim walczyły: jako człowiek zakochany mógł poświęcić jeden; jako człowiek honoru nie mógł zaniedbywać drugiego.

Pokusa zaś tem była większa, iż wyjawiając stanowisko swoje przy królu wielce zyskałby na ważności w umyśle księżnej, a ważność ta nie małe zapewniałaby korzyści młodzieńcowi przybyłemu wprost z Gaskonii.

Sainte-Maline nie byłby się wahał ani chwili.

Wszystkie te uwagi naraz zajęły pana de Carmainges, i sprawiły go dumniejszym, a tem samem silniejszym.

W owej chwili nie pomału radował się z tej ważności, zwłaszcza, że go bez wątpienia uważano niejako za igraszkę.

Księżna więc czekała odpowiedzi na pytanie:

— Czyś pan gotów przyłączyć się do dworu?

— Pani — rzekł Ernauton — już miałem zaszczyt oświadczyć panu de Mayenne, że pan mój jest dobrym panem, i że sposób w jaki się ze mną obchodzi, uwalnia mię od szukania lepszej służby.

— Brat mój nadmienia w swoim liście, iż pan udawałeś, że go nie znasz. Lecz, skądże pochodzi, że pan, który go tam nie znałeś, tutaj, dla dostania się do mnie, użyłeś jego nazwiska?

— Zdawało mi się, mościa księżno, że pan de Mayenne pragnął tam zachować incognito; mniemałem więc, że nie powinienem go poznawać, i w istocie niestosowną byłoby rzeczą, aby wieśniacy, u których mieszka widzieli, jak dostojnemu gościowi użyczyli miejsca. Tutaj zaś, niestosowność ta niknie; przekonany zatem, że to nazwisko otworzy mi drogę do pani, przyzwałem je na pomoc, i sądzę, że w jednym i drugim razie postąpiłem jak człowiek prawy.

Mayneville spojrział na księżnę, jakby chciał powiedzieć:

— Nie w ciemię bity, mościa księżno.

Księżna zrozumiała to spojrzenie i z uśmiechem mówiła do Ernautona.

— Nikt nie zdołałby trafniej odpowiedzieć na drażliwe pytanie, i wyznać winnam, że pan masz wiele dowcipu.

— Nie widzę nic dowcipnego w tem, co miałem zaszczyt oświadczyć księżnej pani—odparł Ernauton.

— Słowem—rzekła nieco zniecierpliwiona księżna—wszystko mię najwyraźniej przekonywa, że pan nic powiedzieć nie chcesz. Może niezbyt dobrze rozważyłeś pan, iż dla osoby moje nazwisko noszącej, wdzięczność jest zanadto uciążliwą: może pan nie rozważyłeś, iż jestem kobietą, której po dwakroć wyświadczyłeś przysługę i że

gdybym chciała wiedzieć pańskie nazwisko, a raczej kto pan jesteś...

— O tem wszystkiem księżna pani bardzo łatwo umiałabyś się dowiedzieć; lecz dowiesz się pani od kogo innego nie odemnie: bylebym ja sam nic nie powiedział.

— Zawsze ma słuszość — rzekła księżna, wpajając w Ernautona spojrzenie, które jeżeli młodzieniec należy — cie zrozumiał, pewno daleko większej doznał rozkoszy, niż wobec każdego innego spojrzenia.

Ale tego właśnie pragnął; i nakształt żarłoka, który wstaje od stołu, skoro już napił się najlepszego wina, Ernauton ukłonił się i prosił księżnę, aby mu wolno było pożegnać ją.

— A zatem, już pan nie masz nic więcej do powiedzenia mi — spytała księżna.

— Spełniłem dane mi polecenie — odparł młodzieniec — i teraz winienem tylko złożyć moje najuniżeńsze hołdy Waszej Książęcej Mości.

Księżna, nie oddawszy ukłonu Ernautonowi, odprowadziła go wzrokiem aż do drzwi, a gdy się za nim zamknęły, rzekła tupiąc nogą:

— Mayneville, każ śledzić tego chłopca.

— Niepodobna, księżno — odrzekł tenże — wszyscy na nogach; ja sam nawet oczekuję wiadomego wypadku; dzisiaj nie czas robić co innego nad to co zamierzaliśmy.

— Masz słuszość, Mayneville, doprawdy jam chyba szalona, ale później...

— O później to co innego; skoro taka wola pani.

— Tak jest, gdyż równie jak i mój brat mam tego człowieka w podejrzeniu!

— Podejrzany czy nie—przerwał Mayneville—zawsze jednak zuch, a takich teraz mało. Przyznać atoli wypada, że szczęście nam sprzyja; obcy, nieznany spada nam z nieba i wyświadcza przysługę.

— Nic nie szkodzi, mój Maynevillu, chociaż w tej chwili zaniedbać go musimy, jednak później winienesz go mieć na oku.

— Eh! mościa księżno—rzekł Mayneville—sądzę, że później nie będziemy potrzebowali zwracać baczności na nikogo.

— Ha, widać, że ja sama nie wiem co dzisiaj mówię; masz słusność, Mayneville; ja głowę tracę.

— Takiemu wodzowi jak pani, wolno być roztrągnionym w wigilię stanowczej bitwy.

— Prawda. Ale otóż i noc, a Walezyusz w nocy wraca z Vincennes.

— O! mamy dosyć czasu; ósma jeszcze nie wybiła i ludzi dotąd nie widać.

— Wszakże wszyscy znają hasło?

— Wszyscy.

— I są to ludzie pewni?

— Wyprobowani, mościa księżno.

— Jakże tu przybędą?

— Pojedynczo, jakby szli na przechadzkę.

— Iluż ich oczekujesz?

— Pięćdziesięciu; to więcej niż potrzeba; bo zważ pani, że oprócz nich, mamy dwustu mnichów, którzy starczą za tyłuż żołnierzy, a może nawet i za więcej.

— Skoro tylko przybędą nasi ludzie, każ mnichom uszykować się na drodze.

— Już ich o tem uprzedziłem, mościa księżno, prętną drogę, nasi wpędzą powóz, brama klasztorna będzie otwarta i zamknie się dopiero za powozem.

— Chodźmy teraz na wieczerzę, przynajmniej czas zabijemy. Tak jestem niecierpliwa, że chętnie bym posunęła skazówkę na zegarze.

— Cierpliwości, mościa księżno, cierpliwości.

— Ależ nasi ludzie, nasi ludzie?

— Będą tu za godzinę; ósma tylko co wybiła, dotąd więc niema żadnej straty czasu.

— Mayneville! Mayneville! brat mój żąda swojego chirurga; ale najlepszem lekarstwem na ranę pana de Mayenne, byłby kosmyk włosów Walezyusza i ręczę, że dobrze przyjąłby człowieka, któryby mu przyniósł taki podarek.

— Za dwie godziny ten człowiek uda się do schronienia księcia, który wprawdzie jak zbieg umknął z Paryża, ale z tryumfem doń powróci.

— Jeszcze słówko, Mayneville — rzekła księżna, zatrzymując się na progu.

— Słucham, mościa księżno.

— Czy nasi przyjaciele w Paryżu uwiadomieni?

— Jacy przyjaciele?

— Ligiści.

— Niech Bóg broni, mościa księżno! uprzedzić o czem mieszczanina, to jedno co uderzyć w dzwon na wieży Najświętszej Panny. Zważ pani tylko, że gdy dokażemy swego, wprzód nim się rzecz rozgłosi, wypada nam wyprawić pięćdziesięciu gońców, a wtedy więzien bezpiecznie siedzieć będzie w klasztorze, my zaś będziemy

się mogli oprzeć całej armii. A jeżeli tak wypadnie, nie więcej nie zaryzykujemy i będziemy mogli wołać z dachów klasztoru: „Walezyusz już w naszym ręku!”

— Mądry jesteś i przebiegły Maynevillu, a Bearneńczyk słusznie nazywa cię przywódcą ligi. Właśnie chciałam uczynić to co mówisz, ale się nie mogłam zdecydować. Czy wiesz, Maynevillu, że ciąży na mnie zbyt wielka odpowiedzialność, i że nigdy w żadnej epoce kobieta nie przedsięwzięła i nie dokonała dzieła podobnego temu o jakim marzę?

— Wiem pani, i dla tego doradzam truchlejąc.

— A więc raz jeszcze wszystko powtarzam — rozkazującą rzekła księżna — mnisi z bronią ukrytą pod habitami?

— Już gotowi.

— Ludzie zbrojni, na drodze?

— Już być muszą na swoich stanowiskach.

— Mieszczanie zawiadomieni po spełnieniu się wypadku?

— To będzie obowiązkiem trzech gońców w ciągu dziesięciu minut: Lachapell-Marteanu, Brigard i Bussy-Leclerc będą zawiadomieni, i sami znowu drugich zawiadomią.

— Najprzód każ zabić obu wielkich drabów, którzy przy powozie jechali: a potem potrafiemy opowiedzieć wypadek o ile można najkorzystniej dla naszego interesu.

— Zabić tych biedaków? — odparł Mayneville — i pani sądzisz, że tego koniecznie potrzeba?

— Loignac! Czyż jego szkoda?

— Waleczny to żołnierz, mościa księżno.

— Dziecię szczęścia, równie jak i ten drugi z pała-

jącem okiem, ogorzałą cerą, który jechał z drugiej strony powozu.

— Ah tego mniej bym żałowała, bo go nie znam, wreszcie podzielałam zdanie pani, gdyż mu coś bardzo źle z oczu patrzy.

— A więc odstępujesz mi go?—z uśmiechem spytała księżna.

— O! z całego serca.

— Dziękuję.

— Dla Boga! mościa księżno, wszakże ja się nie sprzecam, a cokolwiek mówię, mówię zawsze dla sławy Waszej Książęcej Mości i dla moralności stronnictwa, które reprezentujemy.

— Dobrze już, dobrze, mój Mayneville, wiemy żeś enotliwy człowiek i udzielimy ci stosowne świadectwo w razie potrzeby. Na cały ten interes wcale wpływać nie będziesz, oni zaś bronić będą Walezyusza i broniąc go polegną. Tobie zaś polecam wyłącznie tego młodego człowieka.

— Którego?

— Tego, który tylko co stąd wyszedł; obacz czy już naprawdę odjechał i czy to nie szpieg wyprawiony ku nam przez naszych nieprzyjaciół.

— Jestem na rozkazy księżnej pani — powiedział Mayneville.

Wyszedł na balkon, otworzył okiennice, wychylił głowę i chciał przejrzeć okolicę.

— O! jaka ciemna noc! — rzekł.

— Doskonała, wyborna noc — odparła księżna, o tyle lepsza o ile ciemniejsza, a więc odważnie kapitanie.

— Prawda, ale nic nie obaczemy, a dla pani wiedzieć teraz jest to rzecz bardzo ważna.

— Bóg, którego sprawy bronimy, widzi za nas, Mayneville.

Mayneville, który, jak się przynajmniej domyślać należy, nie tak silną jak księżna de Montpensier pokładał ufność w współuczestnictwie Boga w tego rodzaju sprawach, wrócił znowu do okna i stał nieruchomy, patrząc z wysileniem co się dzieje ciemności.

— Czy nie dostrzegasz przechodzących? — spytała księżna, dla ostrożności gasząc światło.

— Nie, ale słyszę tętent koni.

— No, no, to oni, Mayneville. Wszystko dobrze idzie.

I księżna spojrzała czy ma u paska sławne złote nożyczki, które tak ważną rolę grać miały w historii.

XI.

Jak Modest Gorenflot błogosławił króla, gdy ten przejeżdżał obok klasztoru Jakobistów.

Ernauton opuścił Bel-Esbat ze zboląłem sercem ale spokojnem sumieniem: szczególniejsze szczęście sprawiło, iż wyznał swą miłość księżnie, a skutkiem ważnej rozmowy, która zaraz po tem wyznaniu nastąpiła, zapomniano

o nim tak dalece, iż nie szkodziło terażniejszości, a korzystnie wpłynąć mogło na przyszłość.

Niedosyć na tem; szczęście chciało takżo, aby nie zdradził ani króla, ani pana de Mayenne ani siebie samego.

Był więc zadowolony, lecz czegoś więcej jeszcze pragnął, a mianowicie rychłego powrotu do Vincennes dla zdania raportu królowi, a następnie udania się na spoczynek i dumania, bo dumanie jest najwyższem szczęściem czynnych ludzi, jest jedynym ich spoczynkiem.

To też za ledwie wyjechał za bramę z Bel-Esbat zaraz puścił konia galopem; lecz za ledwie ten jego towarzysz tyle od kilku dni wypróbowany ubiegł galopem sto kroków, nagle zatrzymała go jakaś przeszkoda, której jego oczy olśnione światłem w Bel-Esbat i jeszcze do ciemności nie przywykłe, ani spostrzedz ani zmierzyć nie mogły.

Była to po prostu gromada jeźdźców, którzy z obu stron drogi na jej środek wypadłszy, otoczyli Ernauton'a i przyłożyli mu do piersi pół tuzina szpad, oraz tyle pistoletów i pałaszy.

Na jednego trochę za wiele.

— O! ho! — rzekł Ernauton — rozbijają na drodze o milę od Paryża; niech лихо porwie taki kraj! król ma złego przewota, poradzę mu, aby go zmienił.

— Milcz, mój panie—rzekł jakiś głos, który Ernauton zdawał się rozpoznawać — proszę o szpadę, o broń, i to żywo!

Jeden żołnierz wziął konia za uzdę, dwaj drudzy rozbili Ernautona.

— Do dyabła! jacy zręczni! — pomruknął Ernauton i odwracając się ku wstrzymującym go, rzekł: — Ale panowie raczycie przynajmniej uwiadomić mię...

— A wszakże to pan de Carmainges! — zawołał główny napastnik, ten właśnie, który młodzieńcowi odebrał szpadę i trzymał ją jeszcze.

— Pan de Pincorney! — zawołał również Ernauton! — O! jakże haniebnem rzemiosłem trudnicie się!

— Milczenie w szeregach! — powtórzył głos dowódcy, stojącego o kilka kroków dalej — zaprowadźcie tego człowieka do kordegardy.

— Ależ panie de Sainte-Maline — odparł Perducas de Pincorney — człowiekiem, któregośmy przytrzymali, jest...

— Kto taki?

— Nasz towarzyszesz, pan Ernauton de Carmainges.

— Ernauton tutaj! — zawołał blady od gniewu Sainte-Maline — a co on tu robi?

— Dobry wieczór, moi panowie — spokojnie mówił Carmainges — przyznam się, iż nie myślałem, że jestem w tak dobrem towarzystwie.

Sainte-Maline zamilkł.

— Zdaje się, że mię aresztujecie — mówił znowu Ernauton — bo nie sądzę, abyście mieli rabować mię.

— Niech dyabli porwą! — mruknął Sainte-Maline — wcale się tego nie spodziewałem.

— I ja również, przysięgam panu — śmiejąc się, odparł Carmainges.

— Przykra to rzecz, ale cóż pan robisz tu na tej drodze?

— Gdybym pana o to samo zapytał, czybyś mi odpowiedział, panie de Sainte-Maline.

— Nie.

— A więc pozwól niech uczynię jak pan.

— A zatem nie chcesz pan powiedzieć co robisz tu na drodze?

Ernauton uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

— Ani dokąd jechałeś?

To samo milczenie.

— Skoro się pan nie chcesz wytłumaczyć — powiedział Sainte-Maline — muszę postąpić z panem, jak ze zwyczajnym człowiekiem.

— Czyń pan co chcesz, ale uprzedzam, że za wszystko odpowiesz.

— Panu de Loignac?

— Komuś jeszcze wyższemu.

— Może panu d'Epéron?

— Jeszcze komu wyższemu!

— Dobrze! zgoda; mam pewne rozkazy i odeślę pana do Vincennes.

— Do Vincennes, i owszem, tam właśnie jechałem.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł Sainte-Maline — że ta mała podróż tak się zgadza z pańskimi zamiarami.

Dwaj ludzie, z pistoletami w dłoni natychmiast otoczyli jeńca i odprowadzili go do dwóch innych, stojących o pięćset kroków dalej. Ci znowu uczynili podobnie, tak, że Ernauton w towarzystwie swoich kolegów dostał się aż na zamkowy dziedziniec.

Tam, Carmainges ujrzał pięćdziesięciu rozbrojonych jeźdźców, którzy zwiesiwszy głowy, wybladli i otoczeni

stu pięćdziesięciu szwoleżerami przybyłemi z Nagent i Brie, opłakiwali swą nieszczęsną dolę, oczekując na haniebne rozwiązanie tak dobrze rozpoczętego planu.

Właśnie to nasi Czterdziestu pięciu, na wstępie do urzędowania swego, zajęli tych ludzi, bądź podstępem, bądź gwałtem, bądź łącząc się w dziesięciu przeciw dwom lub trzem, albo też grzecznie przystępując do jeźdźców, którzy groźnie wyglądali, i przykładając im pistolety do piersi mniemali, że się właśnie z kolegami spotykają.

Stąd poszło, że najmniejsza nawet potyczka nie miała miejsca, żadnego nie wydano krzyku i że w spotkaniu ósmiu ludzi z dwudziestoma, skoro który naczelnik związkowych, który sięgnął po sztylet dla obrony lub otworzył usta dla narobienia wrzawy, natychmiast został zakneblowany, prawie uduszony i dalej wyprawiony przez Czterdziestu pięciu, tak szybko jak beczka, którą załoga okrętowa z rąk do rąk przerzuca.

Otóż okoliczność ta byłaby mocno ucieszyła Ernautona, gdyby był o niej wiedział; lecz młodzieniec nas widział, a nie rozumiał, co go na kilka minut mocno zasmuciło.

Jednak, gdy poznał wszystkich jeńców, do których go liczono—rzekł do Sainte-Maline'a:

— Widzę, że uprzedzono pana o ważności mojego posłannictwa, i że jako uprzejmy kolega lękałeś się pan, abym nie spotkał kogo nieprzyjemnego, dla tego więc raczyłeś dodać mi eskortę; teraz mogę panu oświadczyć, że miałeś wielką słuszność: król czeka na mnie i mam mu donieść o ważnych rzeczach. Dodam nawet, że gdyby nie pańska pomoc zapewne nie byłbym się tutaj dostał, będę

więc miał zaszczyt zaraportować królowi ile dobrego wy-
rządziłeś pan dla jego służby.

Sainte-Maline dawniej blady, teraz zarumienił się,
lecz pełen rozsądku, skoro go nie unosiła żadna namię-
tność, pojął, że Ernauton mówi prawdę i że czekają na
niego. Z panami do Loignac i d'Epéron nie można było
żartować—odpowiedział więc:

— Jesteś wolny, panie Ernauton; cieszę się, że
mogłem ci wyświadczyć przyjemność.

Ernauton wystąpił z szeregów i pospieszył na wscho-
dy, wiodące do królewskich komnat.

Sainte-Maline wzrokiem go odprowadził i ujrzał jak
w połowie wschodów Loignac przywitał pana de Carmain-
ges i dał mu znak aby szedł dalej.

Loignac zaś zeszedł na dół i zabierał się do oblicze-
nia jeńców.

Przekonał się, iż dzięki przyaresztowaniu pięćdzie-
sięciu ludzi, oczyszczona droga wolna będzie aż do jutra,
ponieważ godzina, na którą ci ludzie zebrać się mieli
w Bel-Esbat już przeminęła.

A zatem królowi w powrocie do Paryża nie groziło
już żadne niebezpieczeństwo.

Ale Loignac nie liczył na klasztor Jakobinów, na
artylerję i muszkieterów tych poczciwych księży, o czem
znowu d'Epéron bardzo dobrze wiedział od Mikołaja
Poulain.

To też gdy oznajmił dowódcy swojemu, iż drogi już
są wolne, d'Epéron odpowiedział:

— Dobrze, lecz król pragnie, aby Czterdziestu pię-
ciu podzielili się na trzy plutony: jeden jechać będzie

z przodu, dwa zaś po bokach powozu, ale plutony mają być dosyć ścieśnione, tak, aby na przypadek ognia z ręcznej broni, żaden strzał nie dosięgnął karety.

— Bardzo dobrze — z prawdziwie zimną krwią odparł Loignac — lecz co do ognia, ponieważ nie widzę muszkietów, nie boję się zatem żadnej kuli.

— Przy kościele Jakobinów każesz ścieśnić szeregi — dodał d'Epéron.

Tę rozmowę przerwało poruszenie na wschodach.

Król właśnie schodził, gotów do odjazdu; towarzyszyło mu kilku panów, a między niemi Sainte-Maline z boleścią serca ujrzał Ernautona.

— Panowie — spytał król — czy moi Czterdziestu pięciu są tu obecni?

— Są, Najjaśniejszy Panie — odrzekł d'Epéron wskazując na grupę jeźdźców, rysującą się pod sklepieniem.

— A rozkazy czy wydane?

— Wydane, i będą wykonane, Najjaśniejszy Panie! Loignac kazał zatrąbić do wsiadania na koń.

Apel po cichu odbyty, przekonał, iż nie brakuje ani jednego z Czterdziestu pięciu.

Szwolężerom zalecono pilnowanie pojmanyh ludzi Maynevilla i księżnej, zabroniwszy pod karą śmierci wszelkiej z nimi rozmowy.

Król wsiadł do karety i umieścił obok siebie gołą szpadę.

Pan d'Epéron zaklął po swojemu *parfandions* i spróbował czy jego szpada także dobrze w pochwie chodzi.

Dziewiąta godzina wybiła na zamku gdy ruszono z miejsca.

W godzinę po wyjeździe Ernautona z Bel-Esbat, pan de Mayneville stał jeszcze w oknie, z kądem jak wiemy, napróżno dopatrywał po nocy, w którą stronę udał się młodzieniec; lecz po upływie tej godziny, zaczął niepokoić się, a nadewszystko ufać w boską pomoc, bo nabierał powoli przekonania, że tą razą pomoc ludzka zapewne mu słowa nie dotrzyma.

Ani jeden z jego żołnierzy nie pokazał się na milczącej i ciemnej drodze, odzywał się tylko kiedy niekiedy w oddaleniu, tętent kilku koni galopem ku Vincennes pędzących.

To słysząc, pan de Mayneville i księżna usiłowali zagłębić w ciemności swoje spojrzenia, pragnąc rozpoznać swoich ludzi, odgadnąć choć w części co się dzieje, i poznać przyczynę ich opóźniania się.

Lecz gdy tętent ucichł, wszystko znowu milczało.

Ten ciągły zgiełk bez żadnego skutku, takiej nabił niespokojności pana de Mayneville, iż kazał jednemu ze służących księżnej wsiąść na koń i zasięgnąć wiadomości u najpierwszego plutonu jazdy, któreby spotkał.

Lecz posłaniec ten nie powrócił.

To widząc, zniecierpliwiona księżna, wyprawiła drugiego posłańca, który nie wrócił równie jak pierwszy.

— Nasz oficer — rzekła wtedy księżna, zawsze rzeczy w dobrem świetle widząca — zapewne obawia się, aby nie za mało miał ludzi, i dla tego zatrzymuje naszych posłańców jest to rozsądnie, ale niepokojąco.

— Niepokojąco i bardzo niepokojąco — odpowiedział

Mayneville, nie spuszczać wzroku z głębokiego i ciemnego horyzontu.

— Cóżby się stać mogło, Mayneville?

— Sam wsiądę na koń, a zaraz się dowiemy, mościa księżno.

I to mówiąc chciał wyjść.

— Nie pozwalam na to—zawołała księżna, zatrzymując Maynevilla; któż przy mnie zostanie? któż pozna wszystkich naszych oficerów, wszystkich naszych przyjaciół, gdy nadejdzie chwila? Nie, nie Mayneville, pozostać; tworzymy sobie rozmaite i bardzo słuszne obawy, gdy idzie o tak ważną tajemnicę, ależ plan zaiste był bardzo dobrze skombinowany i nadewszystko wielce tajony, dlaczegóżby nie miał udać się.

— Dziewiąta godzina — rzekł Mayneville, odpowiadając raczej własnej niecierpliwości, niż słowom księżnej. Oh, otóż i jakobini wychodzą z klasztoru i szykują się wzdłuż muru opasującego dziedziniec; może oni o czem wiedzą.

— Cicho! — zawołała księżna, wyciągając ręce ku horyzontowi.

— Albo co?

— Cicho! słuchaj!

I wistocie zdała dał się słyszeć turkot podobny do grzmotu.

— To jazda — zawołała księżna — już go nam prowadzą, już.

I ulegając porywczoci charakteru, przeszła z największej obawy do najszałeńskiej radości, klaskała w dłonie, wołając: Już go mam! już go mam!

Mayneville słuchał ciągle.

— Prawda—rzekł wreszcie—jest tu turkot karety i tętent galopujących koni.

I na cały głos zakomenderował:

— Wyjdźcie z po za murów ojcowie! z po za murów.

Natychmiast, nagle otworzyła się ciężka klasztorna brama, i stu uzbrojonych mnichów wystąpiło w jak najlepszym porządku, mając na czele Boromeusza.

Wszyscy uszykowali się w poprzek drogi, wtedy dał się słyszeć głos Gorenflota wołającego:

— Poczekajcie na mnie! ależ poczekajcie. Wypada koniecznie, abym był na czele kapituły, dla godnego przyjęcia Najjaśniejszego Pana.

— Na balkon, księżę przeorze! na balkon—zawołał Boromeusz — wiesz, żeś powinien być wyżej, niż my wszyscy, bo Pismo Św. powiada: „Panować będziesz nad nimi jak cedr nad hizopem!“

— Prawda—odpowiedział Gorenflot—prawda; zapomniałem, żeś obrał sobie to stanowisko; szczęściem żeś mi to przypomniał bracie Boromeuszu.

Boromeusz wydał cichy rozkaz i czterech braci pod pozorem honorów i ceremonii, poszło pilnować zacnego przeora na balkonie.

Wkrótce pochodnie rozwidniły drogę, idącą w bok o kilka kroków od klasztoru, a księżna i Mayneville ujrzeli połysk kirysów i pałaszy.

Księżna nie mogąc powstrzymać się, zawołała:

— Zejdz Maynevillu i przyprowadź mi go pod strażą, związanego.

— Dobrze pani, dobrze—odpowiedział roztargniony dworzanin—ale jedna rzecz niepokoi mię...

— Jaka?

— Nie słyszę umówionego hasła.

— Na cóż hasło, kiedy go już mają.

— Ależ miano go przytrzymać dopiero tutaj, na przeciw klasztoru? —rzekł Mayneville.

— Zapewne tam dalej znaleźli ku temu lepszą sposobność.

— Nie widzę naszego oficera.

— A ja widzę go.

— Gdzie?

— A to czerwone pióro!

— Jakie pióro? To pan d'Epéron z pałaszem w ręku.

— Więc mu pałasz zostawiono.

— Niech zginę! wszakże on dowodzi.

— Naszemi ludźmi. Jesteśmy więc zdradzeni.

— Eh, mościa księżno, to nie nasi ludzie.

— Szalonyś, Maynevillu.

W tej chwili Loignac jadący na czele pierwszego plutonu Czterdziestu pięciu, wywinął długim pałaszem i zawołał:

— Niech żyje król!

Księżna zbladła i padła na poręcz okna, jakby omdleć miała.

Mayneville, ponury i gotów na wszystko, wziął pałasz do ręki, bo sądził, że ci ludzie, w przejeździe wpadną do pałacu.

Orszak coraz dalej posuwał się, dosięgnął Bel-Esbat i zmierzał ku przeorowi.

— Wtedy Boromeusz zrobił trzy kroki naprzód, ale Loignac posunął konia swojego wprost ku mnichowi, który mimo swej wełnianej sutanny zdawał się chcieć z nim walczyć.

Lecz przytomny Boromeusz postrzegł, że wszystko stracone i natychmiast wiedział co mu czynić wypada.

— Miejsca! miejsca dla króla! — ostro zawołał Loignac.

Boromeusz ukrył pod sutanną szpadę, którą już wydobywał.

Gorenflot ze swojej strony, zelektryzowany okrzykami i szczękiem oręża, oślepiiony blaskiem pochodni, wyciągnął szeroką prawicę i z wysokości swojego balkonu pobłogosławił króla.

Henryk wychylony przez drzwiczki, ujrzał go i z uśmiechem pozdrowił.

Ten uśmiech, widoczny dowód łaski jaką zacny przeor jakobistów posiadał u dworu, tak dalece wzruszył Gorenflota, iż ten głosem zdolnym wstrząsnąć posady katedry, zawołał także:

— Niech żyje król.

Lecz reszta konwentów milczała, bo rzeczywiście miała nadzieję, że inny skutek wezmą dwu miesięczne manewra i ćwiczenia z orężem. Dopiero, gdy Boromeusz jako szczwany lis, za jednym spojrzeniem obrachował ilość królewskich obrońców, gdy poznał ich wojenną postawę, i gdy nieobecność stronników księżnej przekonała go o nieszczęsnym losie przedsięwzięcia, poddał się bez wa-

hania i gdy pierś wierzchowca Loignaca dotknąć go już miała, zawołał:

— Niech żyje król! — głosem równie jak Gorenflot donośnym.

Wtedy dopiero cały konwent poruszając bronią, ryknął:

— Niech żyje król!

— Dziękuję, moi szanowni ojcowie, dziękuję! — donośnie odpowiedział Henryk III.

Potem przejechał obok klasztoru, który miał być kresem jego wycieczki, zostawiając za sobą w ciemnościach pogrążone Bel-Esbat.

Księżna na wysokości balkonu, ukryta za złoconą tarczą, padła na kolana i przypatrywała się, badała, poże-rała wzrokiem każdą twarz światłem gorejących pochodni rozwidnioną.

— Ah! — krzyknęła, wskazując na jednego z jadących przy karecie. Patrz! patrz, Mayneville!

— Młodzieniec, posłaniec księcia de Mayenne w służbie króla! — zawołał tenże.

— Jesteśmy zgubieni! — szepnęła księżna.

— Trzeba uciekać, mościa księżno, i to rychle — powiedział Mayneville — bo Walezysz dzisiaj zwycięzca, jutro zwycięztwa tego nadużyje.

— Zdradzono nas! — zawołała księżna — a mianowicie zdradził nas ten młodzieniec! On o wszystkim wiedział!

Król już był daleko i z całym swoim orszakiem znikł w bramie Świętego Antoniego, która się dla niego otworzyła i za nim zamknęła.

XII.

Jak Chicot błogosławił króla Ludwika XI, za wynalezienie poczty i jak postanowił skorzystać z tego wynalazku.

Chicot, do którego łaskawy czytelnik pozwoli nam wrócić, dopełniwszy ważnego odkrycia po zdjęciu maski panu de Mayenne, nie miał ani chwili czasu do stracenia, bo mu wypadło jak najprędzej oddalić się z miejsca przygody, dla uniknięcia jej rozgłosu.

Łatwo pojąć, że odtąd zaprzysięgli sobie z księciem walkę na śmierć.

Mayenne boleśniej teraz moralnie, aniżeli fizycznie raniony i pomny na dawne powody nienawiści, Mayenne mówimy, nie przebaczał nigdy.

— No! — zawołał dzielny Gaskończyk, spiesząc do Beaugency — teraz, albo nigdy, mam sposobność wydać na pocztowe konie, połączone pieniądze trzech dostojnych osób zwanych Henryk Walezyusz, dom modest Gorenflot i Sebastian Chicot.

Biegły nie tylko w zgłębieniu wszelkiego uczucia ale i wszelkiego położenia, Chicot natychmiast przybrał minę wielkiego pana, podobnie jak poprzednio w mniej przykrych okolicznościach przybierał minę poczciwego mieszczanina. To też nigdy żadnemu księciu nie usłużono gorliwiej jak panu Chicot, skoro sprzedał konia Ernautona i przez kwadrans pomówił z zawiadowcą poczty.

Gdy więc wsiadł na koń, postanowił nie zatrzymać się aż w bezpiecznym miejscu, pędził zatem tak szybko jak tylko wydażyć mogły konie na trzydziestu przepręgach. Sam zaś, niby z mosiądzu ulany, przebywszy sześćdziesiąt mil w ciągu dwudziestu godzin, nie okazywał najmniejszego znużenia.

Dzięki tej szybkości przybywszy w trzech dniach do Bordeaux, Chicot osądził, iż mu wolno nieco odpocząć.

Galopując można myśleć, a raczej nic więcej robić nie można.

Chicot zatem myślał wiele.

Poselstwo jego, nabierając coraz większej ważności w miarę jak się zbliżał do kresu swojej podróży, ukazało mu się w zupełnie innym świetle, w jakim jednak, dokładnie powiedzieć tego nie umiemy.

Jakiegoż monarchę znajdzie w dziwnym Henryku, którego nikt należycie pojąć nie umiał.

Ale Chicot nie podzielił powszechnej opinii, zwłaszcza, że od czasu pobytu w Nawarze, charakter Henryka zmienił się niejako na rodzinnej ziemi.

Bo też Henryk umiał ustanowić pewien przedział pomiędzy królewską władzą a tą kosztowną skórą, której zrzęcznie strzegąc od wszelkiego uszkodzenia, nie potrzebował lękać się żadnych napaści.

Atoli na zewnątrz trzymał się zawsze jednakiej polityki; gasł wśród powszechnego hałasu, gasząc sobą i dookoła siebie kilkanaście głośnych imion, które, ku wielkiemu zdumieniu francuzów, dodawały blasku bladej koronie Nawarry. W Paryżu kornie asystował swojej małżonce, której wpływ jednak zdawał się być bezużytecznym

o dwieście mil od Paryża. Krótko mówiąc, wegetował, rad, że żyje.

Dla tłumu, był to temat do złośliwych uwag.

Dla Chicota był to pretekst do głębokich rozmyślań.

On, Chicot, tak mały, jakim się wydawał, umiał oczywiście odgadnąć grunt cudzy pod zwierzchnią przykrywą. Henryk Nawarski dla Chicota nie był jeszcze zagadką odgadniętą, ale był zagadką.

Wiedzieć, że Henryk Nawarski był zagadką, nie zaś postacią jasną i wyraźną, to znaczyło już wiedzieć wiele. Chicot wiedział tedy więcej od innych, wiedząc, jak ów stary mędrzec grecki, że nic nie wiedział.

Tam, gdzie wszyscy chodzili z otwartem czołem, ze swobodą słowa, z sercem na ustach, Chicot czuł, że należało chodzić z sercem zamkniętem, z słowami obłudy, z czołem zmarszczonem, jak czoło aktora.

Tę konieczność uodrębnienia się natchnął w sobie, już przez naturalną przebiegłość, już przez widok miejsca, które przebywał.

Raz znalazłszy się w obrębie tego księstwka Nawarry, kraju, którego bieda była przysłowiową we Francyi, Chicot, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, przestał już dopatrywać się na każdej twarzy, na każdym domu, na każdym kamieniu, kostura tej okropnej nędzy, którą przed chwilą opuścił.

Wieśniak, który przechodził, wsparty o kark swego ulubionego wołu; dziewczka w krótkiej spódnicy, o ruchach lekkich, niosąca wodę na głowie, wzorem starożytnych bogiń sielanki; starzec nuący piosnkę o swej młodości przy ożywionym ruchu swej siwej głowy; ptak oswojony

skaczący po klatce, skubiąc pełną miseczkę ziarna; ogozrałe dziecko, szczupłe, ale zdrowe, igrające na kupie opadłych liści; wszystko przemawiało do Chicota językiem żyjącym, jasnym, zrozumiałym; wszystko wołało doń, na każdym kroku:

— Patrz, tu są szczęśliwi!

Niekiedy, na hałas kół, jadących po pustych gościńcach, Chicot doznawał nagłej trwogi. Przypominał sobie ciężkie artylerye, zalegające drogi Francyi. Ale wkrótce spostrzegał wóz winiarza z pustemi beczkami i dzieciakami o rumianych buziakach. Gdy zdaleka strzał z rusznicy zwracał jego uwagę, z po za figowego płotu lub z za krzaków wina, chwilami przychodziły na myśl trzy starcia, z których wyszedł tak pomyślnie. Atoli, był to tylko jaki myśliwy w towarzystwie dużych psów, przebiegający pole obfite w zające dla dotarcia do wzgórza, pełnego kuropatw i cietrzewi.

Chociaż jesień była już głęboka, a Chicot opuścił Paryż podczas mgły i śnieżycy, pogoda była piękną i ciepłą. Duże drzewa, które nie pozbyły się jeszcze liści, a których na Południu nie pozbywają się nigdy zupełnie, duże drzewa rzucały ze szczytu swych wierzchołków różowych, siwy cień na kredową ziemię. Niebo czyste, blade, wolne od chmur, połyskiwało w promieniach słońca, olśniewając wioski o białych chatach.

Wieśniak, w czapce zaciśniętej na uszy, popędzał na polu swe małe szkapy, które niezmezczone ciągnęły żelazne pługi, robiąc jednym tchem dwadzieścia mil, nigdy nie czyszczone, nigdy nie zakryte, otrząsające się tylko po przybyciu na miejsce, ażeby przystąpić w pierwszej le p-

szej kupie liści winnych do swej jedynej i wystarczającej uczy.

— Do kroćset!—mówił Chicot—nigdy jeszcze nie widział Gaskonii tak bogatej. Bearnńczyk żyje jak pączek w maśle. Ponieważ jest tak szczęśliwym, ma pełne prawo wierzyć, jak powiada jego brat król Francyi, że jest dobrym; chociaż sam tego pewno nie przyzna. Prawdę mówiąc, list krępuje mnie jeszcze, chociaż przetłumaczony na łacinę; mam prawie ochotę przełożyć go na grecki. Ale ba! nigdy jeszcze nie słyszał, ażeby Henryczek, jak go nazywał jego brat Karol IX znał łacinę. Zrobię mu z mego przekładu łacińskiego przekład francuski *expurgata*, jak mówią w Sarbonnie.

To myśląc Chicot, wypytywał się, gdzie jest król.

Król był w Nérac. Zrazu mniemano, że jest w Pau i dla tego posłannik nasz jechał aż do Mont-de-Marson, lecz gdy tam przybył, powziął dokładniejsze wiadomości i skierował się na lewo, dążąc na drogę do Nérac, którą znalazł napełnioną ludźmi, wracającymi z jarmarku w Condom.

Przypomnijmy sobie, że Chicot bardzo ostrożny w odpowiedziach, sam lubił bardzo wypytywać się drugich; dowiedział się więc, iż król Nawarry bardzo wesołe życie pędzi, i że ciągłym miłostkom oddany, zawsze szuka nowego dla nich przedmiotu.

W drodze, szczęście chciało, że Chicot napotkał młodego katolickiego księdza, kupca baranów i oficera, którzy w najlepszej harmonii jechali z Mont-de Marson i na każdym przystanku dobrze bankietowali.

Z powodu tak przypadkowego towarzystwa, zdało

mu się, że ci ludzie doskonale reprezentują Nawarrę oświeconą, handlową i wojskową. Ksiądz opowiadał mu sonety dotyczące miłostek króla z piękną Fosseuse, córką Renego Montmorency, barona de Fosseux.

— No, no, porozumiejmy się—rzekł Chicot—w Pa-ryżu utrzymują, że król Nawarry szaleje za panną le Re-bours.

— Oh! — powiedział oficer—to było w Pau.

— Tak, tak—wtrącił ksiądz—to było w Pau.

— Ah, to w Pau? — powtórzył kupiec, który jako prosty mieszczanin, zdawał się wiedzieć mniej, niż drudzy.

— Jak to! — spytał Chicot — to król ma w każdym miasteczku kochankę.

— Być może—rzekł znowu oficer—bo o ile wiem, kiedy stałem w Castelnaudary kochał się w pannie Dayelle.

— Czekajcie no, czekajcie — przrzwał Chicot—panna Dayelle, to podobno greczynka?

— Prawda—odparł ksiądz—to Cypryanka.

— Przepraszam—odezwał się kupiec, rad, że może wtrącić swoje zdanie, bo ja jestem z Agen.

— I cóż stąd?

— To, iż mogę ręczyć, że król znał w Agen pannę de Tignonville.

— Do pioruna!—zawołał Chicot—to mi galant! Ale wracając do panny Dayelle, której rodzinę znałem.

— Panna Dayelle była zazdrośna i ciągle groziła; miała piękny zakrzywiony sztylet, który zawsze kładła przy sobie na stoliku od roboty, a raz król odjeżdżając zabrał jej ten sztylet, mówiąc, iż nie chce narazić na nie-szczęście tego kto po nim nastąpi.

— A więc tym sposobem król teraz zupełnie należy do panny Rebours?—spytał Chicot.

— Przeciwnie, przeciwnie — rzekł ksiądz — już się posprzeczali; panna le Rebours jako córka prezydenta, znała się dobrze na procesach. Z natchnienia królowej matki, tyle mówiła przeciwko samej królowej, iż nakoniec zachorowała. Wtedy królowa Margo, kobieta wcale przebiegła, umiała korzystać z tej choroby i skłoniła króla, aby opuścił Pau i udał się do Nérac, a tym sposobem skończyła się owa miłość.

— A więc teraz król kocha się znowu w paninie la Fosseuse?—spytał Chicot.

— Ale tak, dla Boga! tem bardziej, że jest brzemienista; o! kocha ją do szaleństwa.

— A cóż na to królowa?—znowu zagadnął Chicot.

— Królowa?—powtórzył oficer.

— Tak, królowa.

— Oto składa swoje troski u stóp krucyfiksu — odpowiedział ksiądz.

— Wreszcie—dodał oficer—królowa nie wie o takich rzeczach.

— To być nie może!—odparł Chicot.

— Dla czego?—spytał oficer.

— Bo Nérac nie wielkie miasto i widać w niem wszystko jak w przezroczu.

— Już to mój panie, jest tam park, a w nim aleje na trzy tysiące kroków długie, wysadzone pysznymi cyprysami, jaworami i sykomorami; taki tam cień, że wśród białego dnia o dziesięć kroków jeden drugiego nie widzi. Pomyślcieź co się tam może dzieć w nocy.

— A przytem królowa, mój panie, zawsze bardzo zatrudniona—dodał ksiądz.

— Ba! zatrudniona?

— Tak jest.

— A czem?—jeżeli spytać wolno.

— Bogiem, panie—ponuro odpowiedział ksiądz.

— Bogiem?—zawołał Chicot.

— Dlaczegożby nie?

— Ah! królowa nabożna?

— I bardzo.

— Jednak, o ile mi wiadomo, w zamku msza się nigdy nie odprawia!—zarzucił Chicot.

— Żle panu wiadomo. Czyż pan nas za pogan bierzesz? Dowiedz się mój panie, że król ze swoimi dworzaczami bywa na kazaniach, królowa zaś każe sobie odprawiać mszę w prywatnej kaplicy.

— Królowa?

— Tak jest.

— Królowa Margaritta?

— Tak jest, królowa Margaritta. Tak dalece, iż ja sam niegodny ksiądz, dostałem dwa talary za dwie msze w tej kaplicy; miałem tam nawet bardzo ładne kazanie z tekstu: „Bóg oddzielił czyste ziarno od kłkolu.”

— W Ewanielii wprawdzie napisano: „Bóg oddzielił”, lecz ponieważ Ewanielią już bardzo dawno napisano, przypuściłem więc, iż rzecz już została dokonana.

— I król wiedział o tem kazaniu?—spytał Chicot.

— Nawet słyszał je.

— I nie gniewał się?

— Owszem, pochwalił je.

— Pan mię w zadziwienie wprawiasz — odpowiedział Chicot.

— Dodać winienem — wtrącił oficer — że w zamku nie tylko na słuchaniu mszy i kazań czas przepędzają; bywają tam biesiady, przechadzki, a sędzę, że nigdzie we Francyi nie napotkasz tyle wąsów, jak w alejach Nérac.

Chicot teraz już wiedział więcej niż było potrzeba do ułożenia sobie planu.

Znał Margaritę, bo wiedział że w Paryżu dworno żyła, i że jakkolwiek w miłosnych sprawach nie była jasnowidząca, to zapewne wtedy tylko, gdy miała powód do zamyślenia sobie oczu.

— Do licha! pomyślał, na honor te cyprysowe aleje i trzy tysiące kroków, bardzo mi nieprzyjemnie w głowie utkwily. W Nérac mam mówić prawdę ludziom mającym aleje na trzy tysiące kroków długie i sienie, w których żony nie widzą jak ich mężowie przechadzają się z kochankami. Bardzo mię tam źle przyjmą, jeżeli zechcą przeszkadzać tak przyjemnym przechadzkom. Szczęściem znam filozofią króla, i pokładam w niej nadzieję. Wreszcie jako poseł, jestem osobą nietykalną. Ha! dalej naprzód!

I Chicot jechał dalej.

Nad wieczorem przybył do Nérac, właśnie w chwili przechadzek tyle niepokojących króla Francyi i jego posła.

Zresztą po sposobie w jaki uzyskał posłuchanie, przekonał się, iż etykieta królewskiego dworu wcale nie była ścisłą.

Zwyczajny pokojowiec otworzył mu drzwi do wiejskiego salonu, którego przystęp ustrojony był kwiatami, obok zaś tego salonu znajdował się przedpokój i pokój, w którym król w dzień przebywał i tak hojnie udzielał nie nieznaczące posłuchania.

Oficer, a nawet tylko paź, zawiadamiał króla o przybyciu interesanta. Ten oficer czy paź biegał za królem szukając go gdzie się znajduje, a król wprost na to wezwanie przybywał i przyjmował interesanta.

Taka uprzejmość mocno wzruszyła Chicota. Wniósł więc, że król jest dobry, łagodny i mocno zakochany.

Mniemanie to utwierdziło się w nim tem mocniej, gdy w końcu alei, nie trzy tysiące lecz najwięcej dwa-naście lub piętnaście kroków długiej, po bokach kwitnącemi laurami wysadzonej, ujrzał króla Nawarry w lichym pilśniowym kapeluszu, w burym kaftanie, wytartych butach, ale bardzo wesołego i z zabawką w ręku.

Henryk miał czoło gładkie, żadnej trosce nieprzystępne, usta jego uśmiechały się a oko jaśniało obojętnością i zdrowiem.

Idąc, lewą ręką zrywał kwiaty.

— Któż to pragnie mówić ze mną? — zapytał paź.

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział paź — człowiek, który w połowie na znakomitego pana, a w połowie na wojskowego wygląda.

To słysząc Chicot zbliżył się jak najuprzejmiej.

— To ja Najjaśniejszy Panie — rzekł.

— Bravo! — zawołał król obie ręce wznosząc ku niebu — pan Chicot w Nawarze, pan Chicot u nas, ventre Saingris! Witajże mój panie Chicot:

— Tysiączne dzięki Najjaśniejszy Panie:

— Zdrówęś, dzięki Bogu?

— Tak przynajmniej sądzę, kochany Monarcho — rzekł uradowany Chicot.

— Ah kiedy tak — powiedział znowu Henryk — to wypijemy po szklance wina Limous i dasz mi o niem twoje zdanie. Ah! doprawdy bardzom ci rad... Siadajże, proszę.

I wskazał na ławkę trawnikiem wyłożoną.

— Nigdy — rzekł Chicot — wzbraniając się.

— Czyżes dla tego przybył dwieście mil, abym ci pozwolił stać przedemną? Nie, panie Cicot, siadaj, siadaj, siedzący tylko można dobrze rozmawiać.

— Ależ uszanowanie, Najjaśniejszy Panie...

— Uszanowanie, u nas w Nawarze? Szalonyś, mój biedny Chicot, któż tu o tem myśli?

— Nie, Najjaśniejszy panie, jam nie szalony — odparł Chicot — jam poseł.

Na czole króla powstała lekka zmarszczka znikła tak szybko, iż Chicot mimo całej swojej baczności, nawet jej śladu nie dostrzegł.

— Postem, z niby naiwnem zadziwieniem — rzekł Henryk — a czym?

— Postem króla Henryka III. Przybywam z Paryża i z Luwru Najjaśniejszy Panie.

— Ah! to co innego — odrzekł król wzdychając i podnosząc się. — Hej! paż, odejdz! przynieś wina na pierwsze piętro, do mojego pokoju, a raczej do mojego gabinetu. Pójdź mości Chicot, zaprowadzę cię.

Chicot udał się za królem Nawarry, który teraz szedł prędzej niż gdy z laurowej wracał alei.

— Smutna rzecz, pomyślał Chicot zakłócać spokojność i niewiadomość tego poczciwca! Ale!.. przyjmie wszystko jak filozof.

XIII.

Jak król Nawarry zgadł, że Turenus znaczy Turenniusz, a Margota Margo.

Każdy się domyśli, że gabinet króla Nawarry nie bardzo był okazały. Monarcha bearneński nie bogaty, oszczędzał swoje szczupłe mienie. Gabinet ten wraz z paradną sypialnią, ciągnęły się przez całe prawe skrzydło zamku; korytarz przyległy przedpokojowi albo izbie gwardyi oraz sypialni, prowadził do gabinetu.

Z tej komnaty obszernej i dosyć przyzwoicie umeblowanej, chociaż wcale nie z królewskim zbytkiem, widać było przepyszne łąki, rozciągające się nad brzegiem rzeki.

Wyniosłe topole i jawory zasłaniały koryto rzeki, pozwalając jednak oku zaślepiac się kiedy niekiedy, ilekroć rzeka, niby mitologiczny bożek występując z zarośli, w południowym słońcu złote, lub północnym księżycu srebrne swoje lica odbijała.

Okna więc z jednej strony wychodziły na tę czerwona panoramę, w dali zakończoną łańcuchem pagórków, w dzień nieco od słońca ogorzałych, lecz wieczorem zaokrąglających horyzont cudnie przezroczystą niebieskawą barwą. Z drugiej zaś strony okna te wychodziły na dziedziniec i budynki zamkowe: a tak sala od wschodu i zachodu z podwójnym rzędem okien przeciwległych sobie, tu pałacowych, tam niebieskich, przepyszny miała widok, ilekroć odbijały się w niej promienie wschodzącego słońca lub perłowy błękit wznoszącego się księżyca.

Atoli wyznać należy, iż te piękności przyrody mniej zajmowały Chicota, niż urządzenie wewnętrzne gabinetu, tego zwykłego mieszkania Henryka. Roztropny poseł rzeczywiście w każdym sprzeczniu usiłował upatrzeć jakieś znaczenie, i tem pilniej, iż razem zebrane wszystkie znaczenia miały dlań stanowić rozwiązanie zagadki oddawna, a szczególnie w ciągu drogi napróżno odgadywanej.

Król, ze zwykłą sobie dobroduszością i wiecznym uśmiechem, usiadł na wielkim fotelu z wyzłocanymi sztyftami, ale wełnianymi frandzlami, Chicot zaś, ulegając jego woli, zatoczył na przeciw niego równie ozdobne krzesło.

Henryk, jak powiedzieliśmy, zawsze uśmiechający się, bacznie spojrzał Chicotowi w oczy, co dworzaczynowi mogło wydać się utrudzającym.

— Pomyślisz, żem bardzo ciekawy, kochany panie Chicot — zaczął mówić król — lecz taki to mój nałóg: tak długo miałem cię za umarłego, iż mimo całej radości jaką mi sprawia twoje zmartwychpowstanie, nie mogę pojąć, iż żyjesz. Dla czegożeś nagle znikł z tego świata?

— Eh! Najjaśniejszy panie — ze zwykłą swobodą odparł Chicot — wszak sam także znikłeś z Vincennes. — Każdy ginie z widowni według swojego sposobu, a mianowicie według swej potrzeby.

— Zawsze widzę, dowcipniejszy jesteś od drugich, kochany panie Chicot — rzekł Henryk — i po tem właśnie poznaję, iż nie rozmawiam z twoim cieniem. Lecz — dodał poważnie — jeżeli pozwolisz, odłożmy dowcip na stronę, a pomówmy o interesach.

— Jeżeli to nie utrudzi zbyt znacznie Waszej Królewskiej Mości, jestem gotów na rozkazy.

Oko króla ogniem zabłysło.

— Ja miałbym się utrudzić? — rzekł, i wnet dodał łagodniej: — prawda, że ja tu trochę rdzewieję. Dzisiaj chociaż Henryk Nawarski już tu i owdzie włoczył swe ciało, jednak król umysłu swojego wcale jeszcze nie nadwreżył.

— Mocno mię to cieszy, Najjaśniejszy panie — odpowiedział Chicot — bo jako posłannik króla twojego krewnego i przyjaciela, mam bardzo drażliwe zlecenia do Waszej Królewskiej Mości.

— Mów więc żywo, bo zaostrasz ciekawość moją.

— Najjaśniejszy Panie...

— A naprzód okaż mi twoje listy wierzytelne: wiem że to formalność niepotrzebna gdy idzie o ciebie; ale pragnę ci okazać że jakkolwiek zakrawam na bearneńskiego wieśniaka, znam jednak obowiązki króla.

— Najmocniej przepraszam Waszą Królewską Mość — odpowiedział Chicot — ale wszystkie moje wierzytelne li-

sty zatopiłem w rzece, spaliłem w ogniu, rozproszyłem po powietrzu.

— I dla czegożeś to uczynił, kochany panie Chicot?

— Bo kto jedzie do Nawarry jako poseł, nie podróżuje jako kupujący sukno w Lionii i kto ma niebezpieczny zaszczyt wieść królewskiej listy, ten się naraża na zawieszenie ich do krainy umarłych.

— Prawda — z doskonale udaną dobroduszością odparł Henryk — drogi niepewne, a w Nawarze dla braku pieniędzy musimy polegać na uczciwości chłopów, choć to zresztą nie wielcy złodzieje.

— Co mówisz Najjaśniejszy panie! — zawołał Chicot — to są baranki, aniołki, ale tylko w Nawarze.

— Ah! ha! — mruknął Henryk.

— Tak jest, ale za Nawarrą można spotkać wilków i sępów czyhających na wszelką zdobycz, ja zaś Najjaśniejszy Panie, także byłem zdobywcą i miałem moje wilki i sępy.

— Które jednak, jak to z przyjemnością widzę, niezupełnie cię zjadły.

— *Ventre de biche!* Najjaśniejszy Panie, to nie ich wina; starali się oni o to jak mogli, ale za nadto byłem twardy i skóry mej ugryźć niezdolali. Ale, Najjaśniejszy panie, racz pozwolić abyśmy dali pokój szczegółom mojej podróży, bo to rzeczy zbyteczne, a wrócemy raczej do naszych listów wierzytelnych.

— Lecz skoro ich nie posiadasz, kochany panie Chicot — powiedział Henryk — sądzę, że niepotrzeba więcej o nich wspominać.

— Prawda, że teraz nie posiadam, ale posiadałem.

— No, to i owszem, dajże mi je. I to powiedziawszy Henryk wyciągnął rękę.

— Otóż to właśnie nieszczęście, Najjaśniejszy panie — mówił znowu Chicot — miałem list, jak to właśnie oznajmiłem Waszej Królewskiej Mości, a nawet list jakim mało kto mógłby się poszczycić.

— I zgubiłeś go?

— Nie, ale raczej czempredzej zniszczyłem go, Najjaśniejszy panie, bo pan de Mayenne pędził za mną i chciał mi go wydrzeć.

— Krewny Mayenne?

— On sam.

— Szczęściem, że on nie tego biega. Ale czy też zawsze tyje?

— *Ventre de biche!* sądzę, że przynajmniej nie w tej chwili.

— Dla czego?

— Bo, Najjaśniejszy panie, nieszczęście chciało, iż biegnąc za mną dopędził mię, i na honor, wtedy właśnie otrzymał doskonale pchnięcie szpadą.

— A list?

— Dzięki mojej ostrożności, znikł bez śladu.

— Brawo! źle bardzo, żeś mi nie chciał opowiedzieć swojej podróży panie Chicot, ale opowiedz mi to szczegółowo, bo mię to mocno zajmuje,

— Wasza Królewska Mość zbyt jesteś łaskaw.

— Jedna tylko okoliczność niepokoi mię.

— Jaka?

— Jeżeli list zniszczyłeś dla pana de Mayenne, zniszczyłeś go również dla mnie; skądże teraz dowiem się, co

mi pisał mój dobry brat Henryk, kiedy list jego już nie istnieje?

— Przepraszam, Najjaśniejszy panie, istnieje w mojej pamięci.

— A to jakim sposobem?

— Nim go podarłem, nauczyłem się go na pamięć.

— Wyborny pomysł, panie Chicot, wyborny. Po tem właśnie poznaję dowcip mojego współziomka. Wszak mi go powtórzysz, nieprawdaż?

— Chętnie, Najjaśniejszy panie.

— Tak jak brzmiał istotnie, bez żadnej zmiany?

— Najmniejszej rzeczy nie przekreślę.

— Jak to mam rozumieć?

— Oto wyrecytuję go jak najwierniej, gdyż choć nie znam języka, mam jednak dobrą pamięć.

— Jakiego języka?

— A przecież łacińskiego.

— Nie rozumiem cię — rzekł Henryk, wpajając jasny wzrok w Chicota. — mówisz o łacińskim języku, o liście..

— Bezwątpienia.

— Wytłomacz że się jaśniej? czy list mojego brata napisany był po łacinie?

— A tak, Najjaśniejszy panie.

— Dla czegoż po łacinie?

— Zapewne dla tego, Najjaśniejszy panie, że łaciński język jest śmiały, że wszystko nim wyrazić można, że tym językiem Persius i Juvenalis podali do potomności błędy i przewinienia królów.

— Królów?

— I królowych, Najjaśniejszy panie.

Król zmarszczył brwi.

— Chciałem raczej powiedzieć cesarzów i cesarzowych — dodał Chicot.

— A więc umiesz po łacinie, panie Chicot — zimno powiedział Henryk.

— I tak i nie, Najjaśniejszy panie.

— Szczęśliwszyś, jeśli umiesz, bo masz niezmierną przewagę nademną, który nie umiem: dla tego też, z powodu tej przeklętej łaciny, nigdy nie mogłem się do mszy przyzwyczaić. A więc tedy umiesz po łacinie?

— Uczono mię czytać po łacinie, równie jak i po grecku i po hebrajsku Najjaśniejszy panie.

— To bardzo wygodnie, mości Chicot, bo jesteś żyjącą książką.

— Wasza Królewska Mość trafnie się wyraziłeś, żyjącą książką. Drukują kilka kart w mojej pamięci, wyprowadzają mię dokąd chcą, przybywam, a czytają mię i rozumieją.

— Albo też nie rozumieją.

— Jak to nie rozumieją?

— Ba! a jeśli nie znają języka, w którym jesteś drukowany.

— O! Najjaśniejszy panie, królowie wszystko umieją.

— Tak to mówią ludowi, mości Chicot, i to pochlebcy powiadają królom.

A więc, Najjaśniejszy panie, nadaremnie recytowałbym Waszej Królewskiej Mości list, którego się na pamięć wyuczyłem, skoro żaden z nas go nie zrozumie.

— Wszak język łaciński ma wiele podobieństwa do włoskiego?

— Tak zapewniają, Najjaśniejszy panie.

— I do hiszpańskiego?

— Mówią, że bardzo podobny.

— No to spróbujmy; ja umiem trochę po włosku, a moje gaskońskie narzędzie bardzo podobne do hiszpańskiego języka, może więc zrozumieć i łaciński, choć go się nigdy nie uczyłem.

Chicot uklonił się.

— Rozkazujesz więc Najjaśniejszy panie?

— Owszem, tylko proszę kochany panie Chicot.

— Chicot zaczął od następującego okresu, który ubarwił rozmaitemi przygotowaniami:

„*Frater carissime.*

„*Sincerus amor quo te prosequabatur germanus noster Carolus nonus, functus nuper, colet usque regiam nostram et pectori meo pertinaciter adhoeret.* — “

Henryk ani mrugnął, lecz przy ostatnim wyrazie skinnieniem wstrzymał Chicota.

— Albo się bardzo mylę — rzekł — albo tu mowa o miłości, o uporczywości i o moim bracie Karolu IV?

— Nie powiem, że nie — odparł Chicot — język łaciński jest tak piękny, iż to wszystko zawierać się może w jednym peryodzie.

— Mów dalej — rzekł król.

Chicot mówił.

Bearneńczyk zawsze z zimną krwią słuchał wszystkich ustępów w których była mowa o jego żonie i o wicehrabi Turenniuszu; lecz wreszcie zapytał:

— *Turennius*, czy to nie znaczy *Turennius*?

— Tak sędzę, Najjaśniejszy panie.

— A *Margota*, nie jest to czasem pieszczotliwa nazwa, jaką moi bracia, Karol IX i Henryk III, dawali swojej siostrze, a mojej najukochańszej małżonce Margarycie?

— Nie widzę w tem żadnego niepodobieństwa, Najjaśniejszy panie — odparł Chicot.

I powtórzył list aż do końca, a twarz króla ani na chwilę niezmieniła swojego wyrazu.

— Czy już skończyłeś? — spytał Henryk.

— Tak jest, Najjaśniejszy panie.

— Hm, list ten musi być bardzo piękny.

— Nie prawdaż? Najjaśniejszy panie.

— Co za nieszczęście, że tylko dwa wyrazy *Turenniusz* i *Margota* zrozumiałem.

— Nieszczęście niepowetowane, chyba, że Wasza Królewska Mość rozkazujesz jakiemu duchownemu, aby ten list przetłumaczył.

— O! nie — żywo odpowiedział Henryk — bo wszakże i ty sam, panie Chicot, który przez ostrożność zniszczyłeś oryginalny antograf, nie radziłbyś mi, abym ten list w jakikolwiek sposób rozgłaszał?

— Ja tego nie mówię, Najjaśniejszy panie.

— Ale myślisz.

— Ja myślę, że list króla brata twego, Najjaśniejszy panie, tak usilnie mu polecany i wyprawiony do Waszej Królewskiej Mości przez nadzwyczajnego posłańca, może zawierać gdzieś tam rzeczy korzystne dla Waszej Królewskiej Mości.

— Prawda, ale abym te korzystne rzeczy mógł komuś powierzyć, potrzeba, abym mu zupełnie ufał.

— Niezawodnie.

— Wiesz-że, co robisz — rzekł Henryk, nagle myśl powziąwszy.

— Co?

— Idź poszukaj mojej żony Margoty; to kobieta uczona; powtórz jej ten list, a pewno zrozumie go, i rzecz naturalna, że mi go wytłumaczy.

— Ah! przewybornie! — zawołał Chicot — Wasza Królewska Mość mówisz złotemi wyrazy.

— Nie prawdaż? no, idź.

— Biegnę, Najjaśniejszy panie.

— Ale pamiętaj niezmienić ani jednego wyrazu w liście.

— To niepodobna, bo musiałbym umieć po łacinie, a nie umiem; mogę tylko dopuścić się jakiego barbaryzmu.

— Idź, idź, mój przyjacielu.

Chicot dowiedział się, gdzie znajdzie królowę i wyszedł, przekonany bardziej niż kiedykolwiek, iż król jest zagadką.

XIV.

Alea, mająca trzy tysiące kroków.

Królowa zamieszkiwała w drugim skrzydle zamku, prawie podobny mającem rozkład jak to, które Chicot tylko co opuścił.

W tej stronie zawsze słyhać było muzykę, zawsze widziano krążenie kapeluszy z piórami.

Sławna aleja na trzy tysiące kroków długa, a wyżej już wspomniona, zaczynała się tuż przy oknach Margarity, której okno padało zawsze na przedmioty przyjemne, jako to: kępy kwiatów, zielone trawniki i t. p.

Rzec można było, iż biedna królowa widokiem przyjemnych i miłych przedmiotów, usiłowała rozproszyc ponure myśli, które się w głębi jej duszy zagnieździły.

Pewien poeta z Perigore ułożył z tego powodu sonet; bo Margarita równie na prowincyi jak w Paryżu zawsze była gwiazdą poetów.

„Pragnie ona — mówił — troskliwem umieszczaniem załogi w swym umyśle rozproszyc smutne wspomnienia.“

Urodzona u stóp tronu, córka, siostra i małżonka króla, Margarita rzeczywiście wielce cierpiała. — Jej filozofia tchnąca większą fanfaronadą niż filozofia króla Nawarry, na słabszej opierała się podstawie, bo była tylko udana i powstała z nauki, kiedy tymczasem filozofia króla wyrodziła się w jego własnem sercu.

Tak więc, mimo że Margarita była, a raczej być chciała, filozofką, jednak czas i troski zdołały wyrzeźbić na jej twarzy wyraźne swoje ślady.

Zawsze wszakże była znakomicie piękna, a mianowicie pięknnością fizyonomii, która nie tyle uderza w osobach klasy pospolitej, lecz najbardziej się podoba w osobach znakomitych, którym każdy chętnie przyznaje przewagę pod względem fizycznej piękności. Margarita uśmiechała się wesoło i miło, oko miała wilgotne i błyszczące, ruch zwinny i ujmujący, słowem była zawsze miłości godną istotą.

Kobieta, miała chód królowej; królowa miała postawę ślicznej kobiety.

To też ubóstwiano ją w Nérac, gdzie przewodniczyła elegancyi, wesołości i życiu. — Paryżanka i księżniczka, cierpliwie znosiła pobyt na prowincyi, co samo już było cnotą, za którą prowincyonałisci najwyższą dla niej czuli wdzięczność.

Dwór jego nie tylko składali dworzanie i damy, lecz cały naród kochał ją zarazem jako królowę i jako kobietę; jakoż dźwięk jej fletów i skrzypców, dym i resztki jej uczt, spływały na każdego.

Czasu tak użyć umiała, iż każdy dzień coś jej w korzyści przynosił, a żaden nie był nigdy stracony dla otaczających ją osób.

Pełna żółci dla swych nieprzyjaciół, ale cierpliwa, aby się lepiej zemścić mogła, czując instyktownie iż pod pozorem obojętności i powolności Henryk Nawaryjski niechęć ku niej ukrywa, nieustannie przeświadczana o złem jego prowadzeniu się, pozbawiona krewnych, przyjaciół,

Margarita przywykła żyć miłością, przywykła poezją i dobrym bytem wynagradzać sobie brak rodziny, małżonka, przyjaciół i wszystkiego innego.

Tylko Katarzyna Medicis, tylko Chicot i kilka melancholicznych cieniów, które z ciemnej krainy śmierci przywołaćby należało, umieliby powiedzieć, dla czego lica Margarity były już tak blade, dla czego oczy jej mimowolnie tonęły w łzach nieznanego smutku, dla czego na ostatek to serce czułe nawet w tyle niegdyś wyrazistem spojrzeniu czczość swą odbijało.

Margarita nie miała powierników, bo biedna królowa mieć ich nie chciała, od czasu jak inne swą ufność i honor za pieniądze sprzedawać zaczęły.

Chodziła więc sama, a to właśnie może podwajało w oczach Nawarrejczyków, jakkolwiek się tego nie domyślali, majestatyczność jej postawy, tembardziej w oczy uderzającą, że wolną od wszelkiego orszaku.

Wreszcie niechęć, jaką Henrykowi przypisywała, była tylko domyslną, bo czerpaną raczej we własnem sumieniu i błędach, aniżeli w postępkach Bearnńczyka. Henryk szanował w niej córę Francyi; przemawiał do niej jak najgrzeczniej, albo z uprzejmą obojętnością; a w każdej okoliczności i z każdego względu postępował z nią zawsze jak mąż i przyjaciel.

To też dwór w Nérac, na wzór innych dworów, żyjąc bez przymusu, obfitował w moralną i fizyczną harmonię.

Takie to uwagi i dostrzeżenia poczynił Chicot, człowiek najdomyslniejszy, chociaż dotąd zasadał je tylko na błahych pozorach,

Stosownie do zleceń Henryka, najprzód pokazał się

w pałacu, lecz nie znalazł tam nikogo. Powiedziano mu że Margarita znajduje się w końcu pięknej alei idącej równoległe do rzeki, a zwanej aleą na trzy tysiące kroków długą, tam się udał.

Gdy przebył dwie trzecie części tej alei, dostrzegł pod krzakiem hiszpańskiego jaśminu, janowca, i przyszczeńca grupę zdobną we wstążki, pióra szpady i aksamity: cała ta tandeta odznaczała się gustem może nieco zużytym, modą nieco przestarzałą, lecz dla Nérac było to świetne, a nawet zaślepiające. Ten widok ucieszył Chicota, przybywającego wprost z Paryża.

Ponieważ paż króla poprzedzał Chicota, królowa zatem, której oczy z melancholiczną niespokojnością serca tu i owdzie błędziły, poznała barwy Nawarry i przywołała go.

— Co chcesz Aubiac? — spytała.

Młodzieniec, a raczej powiedzmy dziecię, bo zaledwie miał lat dwanaście, zarumienił się i zgiął kolano przed Margaritą.

— Pani, — rzekł po francuzku — bo królowa w interesach służbowych lub rządowych zabroniła używać krajowego narzecza—jakiś pan przybył z Paryża, przysłany z Luwru do Jego Wysokości Króla Nawarry i odesłany przez Jego Wysokość Króla Nawarry do Waszej Wysokości, pragnie z Nią mówić.

Nagły rumieniec wystąpił na piękną twarz Margarity, odwróciła się szybko z tem przykrem uczuciem, jakie przy każdej okazji rodzą się w sercach zgnębionych od dawna.

Chicot stał nieruchomo o dwadzieścia kroków od niej.

Jej przezorne oczy odgadły kogoś znajomego z postaci i sylwetki. Gaskończyk bowiem rysował się na tle zaczerwienionego nieba; opuściła towarzystwo, zamiast prosić przybyłego, ażeby się zbliżył.

Odwróciwszy się przytem, ażeby pożegnać kompanję, skinęła końcem palca na najbogaciej odzianego i na najpiękniejszego z dworzan.

Pożegnanie oddane wszystkim, było właściwie pożegnaniem dla jednego.

Wybraniec jednak, pomimo tego znaczącego ukłonu; zdawał się być zaniepokojonym, ponieważ oko kobiety wszystko widzi, Margarita rzekła:

— Panie de Turenne, racz pan powiedzieć tym paniom, że wrócę niebawem.

Piękny młodzieniec w stroju białym z niebieskiem, skłonił się z większą skwapliwością, niż byłby to uczynił obojętny dworak.

Królowa szybko zbliżyła się do Chicota, który nie ruszając się z miejsca, dobrze zauważył powyższą scenę, tak wybornie licującą ze słowami wiezionego przezeń listu.

— Panie Chicot! — zawołała Margarita zdziwiona.

— Padam do stópek Waszej Wysokości — odparł Chicot — Waszej Wysokości zawsze dobrej i zawsze pięknej i zawsze królowej w Nérac jak w Luwrze.

— To cud widzieć pana tak daleko od Paryża.

— Daruj mi pani, cud ten stał się jednak nie z winy biednego Chicota.

— Wierzę, toż byłeś pan przecie umarłym, jak mówiono.

— Udawałem umarłego,

— Czegóż pan od nas żądasz, panie Chicot? miałabym być tak szczęśliwą, żeby aż pamiętano we Francyi o królowej Nawarry?

— Oh, pani — odparł Chicot z uśmiechem — bądź pani spokojną, u nas o królowych nie zapominają, kiedy są w pani wieku i są równie piękne jak Ty, pani.

— Galanterja więc zawsze kwitnie w Paryżu?

— Król Francyi — rzekł Chicot, nie odpowiadając na ostatnie pytanie — pisał nawet o tem do króla Nawarry.

Margarita zarumieniała się.

— Pisał? — spytała.

— Tak, pani.

— I to pan list ten odwoziłeś?

— Odwoziłem, nie, z przyczyn, które król Nawarski wyjaśni pani, ale nauczyłem go się na pamięć i powiedziałem go z pamięci.

— Rozumiem. Był to list wielkiej wagi i pan się lękał, żebyś go nie zgubił, lub żeby ci go nie skradziono?

— Tak jest, w istocie; a teraz niech Wasza Wysockość daruje, ale list pisany był po łacinie.

— Oh, wybornie! — zwołała królowa: — pan wiesz, że ja umiem po łacinie.

— A król Nawarry — spytał Chicot — czy także umie?

— Drogi panie Chicot — odparła Małgorzata —

bardzo jest trudno wiedzieć, co umie król Nawarry, a czego nie umie.

— Ah, ah! — rzekł Chicot bardzo zadowolony, że nie sam jeden musi się błąkać wśród zagadek.

— Jeśli można wierzyć pozorom — ciągnęła Małgorzata — umie ale bardzo nie tego, nigdy bowiem nie rozumie, a przynajmniej zdaje się nie rozumieć, gdy ja kiedykolwiek tym językiem rozmawiam z kim na dworze.

Chicot zagryzł wargi.

— Do diabła! — rzekł.

— Powiedziałeś mu pan ten list? — spytała Margarita.

— Był do niego adresowany.

— I zdaje się panu, że go zrozumiał?

— Dwa wyrazy tylko.

— Jakie?

— *Turennius i Margota?*

— Tak jest; te dwa wyrazy znajdują się w liście.

— Cóż więc uczynił?

— Odesłał mię do Waszej Królewskiej Mości.

-- Do mnie?

— Tak jest, utrzymując, iż list ten zdaje się zawierać rzeczy tak ważne, iż nie można go poruczać do tłumaczenia obcej osobie, lepiej więc będzie skoro Najjaśniejsza pani, jako najpiękniejsza z uczonych i najuczeńsza z pięknych, sama go wytłumaczyć raczysz.

— Wysłucham cię, panie Chicot, ponieważ król rozkazuje, abym cię wysłuchała — rzekła nieco wzruszona Margarita.

— Dziękuję; gdzie Wasza Królewska Mość mówić mi rozkazujesz?

— Tutaj; ale nie, nie, raczej u mnie; pójdź pan proszę do mojego gabinetu.

Margarita pilnie spojrzała na Chicot'a, który może przez litość dla niej, z góry już dał jej poznać nieco prawdy.—Ale biedna kobieta, czując potrzebę pomocy, ostaniego już może powrotu do miłości, wprzód nim miała wytrzymać grożącą jej próbę.

— Wice hrabio — rzekła do Turenusza — odprowadź mię do zamku. Poprzedzaj nas, panie Chicot, proszę.

X.

Gabinet Margarity.

Radzibyśmy chętnie uniknąć zarzutu, że opisujemy same tylko ogrody i mieszkania; lecz jaki pan, taki kram, mówi przysłowie; a jeżeli pożyteczną było rzeczą opisywać aleę na trzy tysiące kroków długą i gabinet Henryka, może również zajmującym będzie opis gabinetu Margarity.

Równolegle położony od gabinetu Henryka, miał drzwi otwierające się na pokoje i korytarze, okna usłużne i milejące jak drzwi zamknięte na zazdrostki z zamkami,

w których klucze obracały się cicho. Tyle co do zewnętrznej strony gabinetu królowej.

Wewnątrz zaś, nowoczesne meble, obicia najnowsze-go gustu i mody, obrazy, emalie, fajanse, kosztowna broń, książki i rękopisma greckie, łacińskie i francuzkie, zalegały wszystkie stoły, ptaki w klatkach, psy na kobiercach, słowem cały świat roślinny i zwierzęcy wiódł tam wspólne życie z Margaritą.

Ludzie wyższym umysłem obdarzeni, albowiem oteż zbyt-kowne życie wiodący, sami istnieć nie mogą; każdemu ich zmysłowi, każdej skłonności, zwykle towarzyszą rzeczy z niemi harmonizujące, które siłą atrakcyjną tych ludzi pociąga za sobą w ich wir, tak, że zamiast żyć i uczuć jak ludzie zwyczajni, dziesięć kroć pomnażają swe uczucia i byt swój podwajają.

Epikur bez zaprzeczenia jest bohaterem ludzkości; poganie nawet nie rozumieli go; był to filozof surowy, lecz ponieważ pragnął aby ogół naszej siły i zasobów na niczem nie stracił, w nieugiętej ekonomii swojej, nastęrczał przy-jemności każdemu, czy rozsądnie czy zwierzęco postępują-cemu, chociaż sam doznawał tylko niedostatku i boieści.

Wiele przeciw Epikurovi mówiono nie znając go, wiele także chwalono, również ich nie znając, owych pobo-żnych mieszkańców Tubaidy, którzy niszczyli piękność ludzkiej przyrody, a neutralizowali brzydkość. Kto za-bija człowieka, ten bez wątpienia zabija i jego namiętno-ści, ale zawsze zabija, czego Bóg wszelkiemi siłami swoje-mi i wszelkiemi prawami zabrania.

Królowa była to kobieta rozumiejąca Epikura, miano-wicie po grecku, co stanowiło najmniejszą jej zasługę; ale

tak dobrze pojmowała życie, że z tysiąca boleści zawsze umiała wydobyć przyjemność, co jako chrześcijance, dozwalało jej błogosławić Boga częściej niż kogo innego, bądź się nazywał Bóg lub *Theos*, *Johwah* lub *Magog*.

Całe to zboczenie dowodzi jasno potrzeby dopełnionego przez nas opisu apartamentów Margarity.

Proszono Chicot'a aby usiadł na pięknym i wygodnym fotelu, na którego obiciu wyszyty był amerek obrywający kwiaty: paż, nie Aubiak, ale drugi przystojniejszy i bogaciej ubrany, podał posłowi chłodniki.

Chicot podziękował za nie i przygotował się do wyrecytowania z niezachwianą pamięcią, listu z Bożej łaski króla Francyi i Polski, skoro tylko vice-hrabia Turenniusz odejdzie.

Znamy ten list, bośmy go czytali wraz z Chicotem, nie widzimy więc potrzeby przytaczać go tutaj w łacińskim przekładzie.

Chicot powtarzał ten przykład, wymawiając wyrazy jak można najdziwaczniej, starając się tym sposobem, aby go królowa o ile możliwości jak najpóźniej zrozumiała, lecz mimo takiej biegłości w kaleczeniu własnego dzieła, Margarity chwyciła go na uczynku i nie ukrywała bynajmniej ani swojego gniewu, ani oburzenia.

W miarę jak Chicot dalej list powtarzał, brnął umyślnie w coraz większy kłopot; w kilku niebezpiecznych miejscach wstydliwie jak niewiniątka spuszczał oczy w ziemię; a ta gra fizynomii wielką korzyść mu przynosiła, bo nie widział jak błyszczały oczy królowej, jak się kurczyły jej nerwy ilekroć słyszała z taką pewnością przytaczane wszystkie swoje małżeńskie przewinienia.

B. J. J. J. J.

Margarita знаła bardzo dobrze wyrachowaną złośliwość swojego brata; przekonały ją o tem rozmaite okoliczności: widziała także, jako kobieta nic przed sobą nie ukrywająca, co ma sądzić o pozorach, jakich już dostarczyła i jakich jeszcze dostarczyć mogła; to też w miarę jak Chicot mówił, równo ważyła w duchu słuszny gniew swój i słuszną także obawę.

Okazać należyte oburzenie, nie dowierzać we właściwym czasie, uniknąć niebezpieczeństwa odpierając złe, dowieść niesprawiedliwości korzystając z przestrogi — takie to były zadania nad któremi pracował umysł Margarity, podczas gdy Chicot ciągnął dalej swoje listowne opowiadanie.

Nie trzeba mniemać, że Chicot ciągle spuszczał oczy, gdyż od czasu do czasu podnosił albo jedno albo drugie, i wtedy był spokojniejszy, widząc z pod przymrużonej powieki, iż królowa powoli coś postanawia.

Dosyć więc spokojnie powiedział pożegnalne wyrazy kończące list królewski.

— Na wieczerzę świętą! — rzekła królowa gdy Chicot skończył — mój brat bardzo pięknie pisze po łacinie: jaka gwałtowność, jaki styl! Nie sądziłam go tak silnym w tym języku.

Chicot mrugnął jednym okiem i otworzył ręce jak człowiek który przez grzeczność zdaje się potwierdzać, ale nie rozumie.

— Pan rozumiesz? — rzekła znowu królowa oswojona ze wszystkimi językami, a nawet i z mimicznym. Mniemałam jednak że z pana biegły łacinnik.

— Zapomniałem, Najjaśniejsza Pani; dzisiaj tyle tyl-

ko wiem; tyle tylko pamiętam z dawnej mojej nauki, że w łacińskim języku niema przedimków, że ma piąty przypadek i że głowa jest w nim rodzaju nijakiego.

— Doprawdy! — zawołała jakaś osoba wesoło i hałaśliwie wchodząca.

Chicot i królowa razem się obejrżeli.

Był to król Nawarry.

— Co! — spytał Henryk, przybliżając się — głowa w łacińskim języku jest rodzaju nijakiego, a czemuż nie męskiego, mości Chicot?

— Alboż ja wiem, Najjaśniejszy panie, i mnie to dziwi podobnie jak Waszą Królewską Mość.

— I mnie także dziwi — wtrąciła marząca Margarita.

— Tak to zapewne być powinno — powiedział król — skoro raz mężczyzna, drugi raz kobieta są panami, a to według temperamentu mężczyzny lub kobiety.

Chicot uklonił się.

— I podług mnie, Najjaśniejszy panie, to jest najlepsza przyczyna.

— Tem lepiej, mocno mnie to cieszy żem większym filozofem niż sądziłem; ale wróćmy do listu; dowiedz się moja pani, że z największą niecierpliwością pragnę usłyszeć co się tam dzieje na francuzkiem dworze, a pocziwy pan Chicot przywozi mi te wiadomości w nieznanym języku; inaczej...

— Inaczej co? — powtórzyła Margarita.

— Inaczej byłbym się prędzej ucieszył; *ventre saint-gris*. Wszak ja lubię nowiny, a mianowicie gorszące,

które moj brat Henryk Walezyusz tak dobrze opowiadać umie.

I Henryk Nawaryjski usiadł zacierając ręce.

— No, panie Chicot — mówił dalej król, tonem człowieka zabierającego się do jak najlepszej zabawy — wszakżeś już powtórzył ten list mojej żonie?

— Tak jest, Najjaśniejszy panie.

— Powiedz-że mi moja kochana, co się w tym sławnym liście zawiera?

— I Wasza Królewska Mość — spytał Chicot rozochocony swobodą jakiej przykład dawali mu ukoronowani małżonkowie — aby to pismo nie zawierało jakiej złej przepowiedni?

— A to dla czego? — spytał król i obracając się do żony dodał:

— I cóż, pani?

Margarita nieco pomyślała, niby powtarzając i komentując w myśli każdy frazes wyszły z ust Chicot'a.

— Posłannik nasz ma słuszość — rzekła skończywszy swoje rozmyślanie i uczyniwszy pewne postanowienie — łacina to zły prognostyk.

— Co! — zawołał Henryk — ten kochany list miałby zawierać złe wyrazy? Strzeż się moja przyjaciółko, król, twój brat jest bardzo uczonym i ugrzecznionym człowiekiem.

— Nawet kiedy każe mnie znieważać w mojej lektyce, jakto miało miejsce w Sens gdy wracała z Paryża do ciebie Najjaśniejszy panie.

— Kiedy kto ma brata obyczajów surowych — powiedział Henryk tonem nieopisanym, środkującym mię-

dzy seryo a żartem, brata króla, brata lubiącego przycinki.

— To powinien dbać o prawdziwy honor swojej siostry i swojego domu, bo nie przypuszczam Najjaśniejszy panie, że gdyby Katarzyna d'Albert, twoja siostra, dopuściła się jakiej zgrozy, nie przypuszczam, mówię, iż kazałbyś kapitanowi twojej gwardyi aby tę zgrozę rozgłaszał.

— O! ja jestem sobie patryarchalny i dobroduszny obywatel — odparł Henryk — jam nie król, albo jeżeli nim jestem, to tylko dla śmiechu, i na honor! ja się śmieję; ależ na koniec ten list, skoro do mnie adresowany, nie dziw, że pragnę wiedzieć co w sobie zawiera.

— To zdradliwy list, Najjaśniejszy panie.

— Ba!

— Tak jest! zawiera mnóstwo potwarzy, mogących poróżnić nie tylko męża z żoną, ale przyjaciela ze wszystkimi jego przyjaciółmi.

— O! ho! — rzekł Henryk, prostując się i uzbrajając swą twarz zwykle szczerą i otwartą, w udane niedowierzanie — poróżnić męża z żoną, ciebie ze mną?

— Ciebie ze mną, Najjaśniejszy panie.

— A to jakim sposobem moja kochana?

Chicot czuł, że siedzi jak na cierniach i byłby wszystko oddał, aby chociaż głodny, mógł pójść spać bez wicherzy.

— Bomba zaraz pęknie — szeptał pod nosem — bomba zaraz pęknie.

— Najjaśniejszy Panie — powiedziała królowa — mocno żałuję, że zapomniałeś po łacinie, chociaż cię uczono.

— Ze wszystkiej łaciny której się uczyłem, pamiętam tylko ten frazes: *Deus et virtus aeterna*; szczególny zbieg rodzaju męskiego, żeńskiego i nijakiego, który mi mój nauczyciel za pomocą greckiego języka wykładał, choć ten jeszcze mniej rozumiałem.

— Gdybyś rozumiał Najjaśniejszy Panie, przekonałbyś się, że list zawiera mnóstwo rozmaitego rodzaju grzeczności dla mnie.

— Bardzo dobrze — rzekł król.

— *Optime* — powiedział Chicot.

— Ale dla czegoż, grzeczności ciebie dotyczące, mają nas różnić? Bo wreszcie, dopóki ci mój brat Henryk prawie będzie grzeczności, póty i ja podzielać będę jego zdanie; co innego gdyby w tym liście mówiono źle o pani, wówczas zrozumiałbyś politykę mojego brata.

— Ah! gdyby o mnie źle mówiono, rozumiałbyś politykę Henryka?

— Tak jest, Henryka Walezyusza, wiem jakie ma powody do poróżnienia nas.

— Skoro tak, dowiedz się Najjaśniejszy panie, że te grzeczności są tylko zwodniczym wstępem, wiodącym do potwarczych obmów przeciw twoim i moim przyjaciołom.

I po tych słowach tak śmiało rzuconych Margarita czekała aż jej król fałsz zada.

Chicot spuścił oczy. Henryk wzruszył ramionami.

— Obacz no moja droga — powiedział — czyś mimo to wszystko nie zanadto dobrze zrozumiała tę łacinę i czy list mojego brata technie istotnie tak złemi zamiarami.

Chociaż Henryk łagodnie i czule wymówił te sło-

wa, jednak królowa Nawarry niedowierzając nań spojrziała.

— Chciej mię dostatecznie zrozumieć, Najjaśniejszy panie — rzekła.

— Tego tylko pragnę, moja pani, Bóg mi świadkiem — odpowiedział Henryk.

— Czy potrzebujesz sług twoich lub nie?

— Czy ich potrzebuję moja droga? Dobrze pytanie! Cóżbym dla Boga począł bez nich i o własnych siłach?

— Otóż, Najjaśniejszy panie, król Francyi chce pozbawić cię najlepszych sług.

— Ja się tego nie boję.

— Bravo, Najjaśniejszy panie! — szepnęła Chicot.

— Bez wątpienia nie boję się — dodał Henryk z zadziwiającą i jemu tylko właściwą dobroduszością, którą aż do ostatniej chwili życia wszystkich uwodził — bo słu-dzy moi przywiązani są do mnie sercem, nie zaś dla interesu. Wszakże ja im nic dać nie mogę.

— Dajesz im całe twoje serce, całe zaufanie, a ze strony króla to najlepsza zapłata dla przyjaciół.

— Tak moja droga, ale cóż stąd.

— Oto, Najjaśniejszy panie, odtąd już im ufać nie powinienes.

— *Ventre Saint-gris*, tego nie uczynię aż mię zmuszą, to jest aż na to zasłużą.

— Dobrze — odparła Margarita — skoro tak, dowiedę ci, iż nie zasługują i na tem koniec.

— Ah! ha! — rzekł król — a dla czego?

Chicot znowu zwiesił głowę, jak to zwykł zawsze czynić w przykrych położeniach.

— Nie mogę ci tego powiedzieć Najjaśniejszy panie — odpowiedziała Margarita — bez skompromitowania...

I spojrzała w koło.

Chicot zrozumiał że przeszkadza i cofnął się.

— Szanowny pośle — rzekł król do niego — chciej poczekać na mnie w moim gabinecie: królowa ma mi coś szczególnego powiedzieć, coś jak uważam bardzo pożytecznego dla mojej służby.

Margarita stała nieruchoma, zdało się jednak Chicotowi iż dostrzedł jak lekko skinęła głową. Widząc więc, iż uczyni przyjemność obu małżonkom skoro odejdzie, wstał i wyszedł z pokoju, obojgu jeden ukłon oddawszy.

XI.

Tekst i Przekład.

Oddalenie świadka, któremu Margarita przypisywała większą znajomość języka, aniżeli sam przyznawał, było to dla niej jakimkolwiek tryumfem, a przynajmniej rękojmią bezpieczeństwa; bo jak powiedzieliśmy, Margarita nie wierzyła iż Chicot jest tak mało naukowym jak to okazuje, kiedy przeciwnie sam na sam z małżonkiem mogła nadać każdemu łacińskiemu wyrazowi daleko większą rozciągłość i lepiej wyjaśnić aniżeli wszyscy scholastycy wyjaśnili

Plauta lub Persiusa, te dwie zagadki wielkiego świata łacińskiej poezji.

A tak Henryk i jego małżonka mieli przyjemność pozostania się sam na sam.

Twarz króla nie objawiała najmniejszej niespokojności, ani żadnej groźby. Król niezawodnie nieumiał po łacinie.

— Czekam aż mi pan zadasz pytanie — rzekła Margarita.

— Widzę, że cię ten list mocno obchodzi, moja droga; pocóż się tak niepokoisz.

— Bo, Najjaśniejszy panie, ten list albo jest albo powinien być wypadkiem: królowie nigdy bez zbyt ważnych przyczyn nie wyprawiają do siebie takich posłańców.

— Otóż tedy, moja droga — rzekł Henryk — dajmy pokój i posłanictwu i posłańcowi, a powiedz mi raczej czy nie wyprawiasz dzisiaj wieczorem balu lub innej jakiej zabawy?

— Miałam podobny zamiar Najjaśniejszy panie — odparła zdziwiona Margarita — ale to nic nadzwyczajnego, bo wiesz że prawie co wieczór tańczujemy.

— Ja zaś jutro mam polowanie; a nawet wielkie.

— Ah!

— Tak jest, polowanie na wilka.

— Co kto lubi, Najjaśniejszy panie: ty lubisz polowanie — ja bale; ty strzelasz, ja tańczę.

— Tak, moja droga — wzdychając powiedział Henryk — i prawdę mówiąc niema w tem nic złego.

— Zapewne, ale Wasza Królewska Mość mówisz to wzdychając.

— Posłuchaj mię pani.

Margarita słuchała z całą pilnością.

— Jestem mocno niespokojny.

— Z jakiego powodu, Najjaśniejszy panie:

— Z powodu pewnej wieści.

— Wieści? Wasza Królewska Mość niepokoisz się jedną wieścią?

— Nic naturalniejszego moja droga, skoro ta wieść dolegliwą być może dla ciebie.

— Dla mnie?

— Tak jest, dla ciebie.

— Nie rozumiem cię Najjaśniejszy panie.

— Czyżes nie słyszała? — tym samym tonem spytał Henryk.

Margarita naprawdę struchlała, obawiając się czyli tym sposobem mąż nie zamysła jej atakować.

— Jestem jak można najmniej ciekawą kobietą, Najjaśniejszy panie — odparła — i nie słucham nigdy tego co mi w uszy kładą. Wreszcie tak mało cenię te tak zwane wieści, że mogę je słyszeć prawie nie słuchając, dla tego właśnie zatykam uszy na wszelkie wieści.

— A zatem pani utrzymujesz, iż takimi wieściami pogardzać należy?

— Najzupełniej, Najjaśniejszy panie, a mianowicie my królowe tak czynić winniśmy.

— Dla czegoż to my?

— Ponieważ będąc przedmiotem wszelkiej rozmowy,

zanadto mielibyśmy do czynienia, gdybyśmy się każdą zajmowali.

— Dobrze, sędzę że masz słusność moja droga, i nastroję ci doskonałą sposobność do zastosowania twojej filozofii.

Margaritta mniemała; iż nadeszła stanowcza chwila, przywoławszy więc na pomoc całą odwagę, rzekła dosyć pewnym tonem.

— Zgoda Najjaśniejszy panie, z całego serca.

Henryk odezwał się tonem grzesznika, mającego wyznać bardzo ciężką winę.

— Wiadomo pani, jak mocno obchodzi mię moja córka Fosseuse?

— Ah! ha! — zawołała Margarita, widząc że mu o nią idzie, a przybrawszy trymfującą minę dodała:

— Tak, tak, mała Fosseuse, twoja przyjaciółka?

— Tak pani — zawsze jednym tonem odpowiedział Henryk — mała Fousseuse.

— Moja dama honorowa?

— Tak jest.

— Przedmiot twojego szaleństwa, twojej miłości?

— Ah! moja droga, mówisz jak jedna z wieści, przeciw którym dopiero co tyle powstawałaś.

— Prawda Najjaśniejszy panie — z uśmiechem rzekła Margarita — i najpokorniej przepraszam cię za to.

— Masz słusność, moja droga, głos publiczny częstokroć kłamie a nam królom wiele zależy na zmianie tego teorematu na aksjomat; *Ventre Saint-gris*, moja kochana, zdaje mi się że mówię po grecku!

I Henryk wybuchnął głośnym śmiechem.

Margarita dostrzegła szyderstwo w tym głośnym śmiechu a mianowicie w towarzyszącem mu spojrzeniu i znowu nieco niespokojna, spytała:

— A więc Fosseuse?

— Fosseuse chora, moja droga; a lekarze choroby jej nie pojmują.

— Dziwna rzecz, Najjaśniejszy panie, Fosseuse, która, jak sam utrzymujesz, zawsze była przyzwoita, która, jak głosiłeś byłaby się nawet królowi oparła, gdyby jej był mówił o miłości; Fosseuse, ten kwiat czystości, ten kryształ przezroczysty, powinna dozwoić oku nauki, aby przeniknęła aż do głębi jej uciech i bolesti.

— Niestety! tak nie jest — smutnie powiedział Henryk.

— Co! — zawołała królowa, powodowana gwałtowną złościwością, jaką nawet najbardziej wykształcona kobieta ciska niby grót na inną kobietę; — co, Fosseuse nie jest kwiatem czystości?

— Ja tego nie mówię — sucho odparł Henryk — niech mię Bóg broni abym oskarżał kogo. — Powiadam tylko, że moja córka Fosseuse cierpi i rodzaj swych bolesti uporczywie przed lekarzami ukrywa.

— Przed lekarzami, rozumiem; ale dla czegoż ukrywa przed tobą, swoim powiernikiem, swoim ojcem... to mi się strasznie dziwnem wydaje.

— Nie wiem — odrzekł Henryk, przybierając znowu miły uśmiech — a jeśli wiem, to uważam za rzecz stosowną nic więcej nie mówić.

— Skoro tak, Najjaśniejszy panie — rzekła Margarita, wnosząc z toku rozmowy iż przewaga na jej stronie

i że ona raczej sama udzieli przebaczenie, nie zaś jak zrazu mniemała prosić o nie będzie — skoro tak, nie wiem co Wasza Królewska Mość żądasz i czekam aż się jasniej wytłomaczysz.

— Dobrze, moja droga, ponieważ czekasz, więc ci opowiem.

Margarita poruszeniem wskazała że gotowa wysłuchać wszystko.

— Wypadałoby moja kochana — mówił dalej Henryk — ale wymagać tego po tobie, byłoby za wiele...

— Nie nie szkodzi, mów Najjaśniejszy panie.

— Wypadałoby abys była tak łaskawa i odwiedziła moją córkę Fosseuse.

— Ja mam odwiedzać dziewczynę, o której mówią, że ma zaszczyt być twoją kochanką! zaszczyt, którego zaprzeczasz.

— Zwolna, zwolna, moja droga — rzekł król. — Słowo daję, że twoje krzyki mogą wywołać zgorzenie, a prawdę mówiąc możeby to zgorzenie wielce uradowało dwór francuzki, bo w liście króla, mojego szwagra, który mi Chicot powtarzał, było: *Quotidie scandalum*, to jest, jak mi się zdaje, *codzienne zgorzenie*.

Margarita poruszyła się.

— Dla zrozumienia tego nie potrzeba umieć po łacinie — mówił znowu Henryk — bo to prawie po francuzku.

— Lecz do kogóż, Najjaśniejszy panie, odnoszą się te słowa?

— Ah! otóż tego właśnie zrozumieć nie mogłem. Ale

ty moja droga, jako umiejąca po łacinie dopomożesz mi gdy do tego przyjdziemy.

Margarita zarumieniła się po same uszy, a tymczasem Henryk zwiesiwszy głowę, a wzniosłszy rękę, niby naiwnie szukał do której z osób jego dworu *codzienne zgorwienie* stosować się może.

— Chcesz Najjaśniejszy panie, w imię zgody skłonić mnie do upokarzającego kroku; a więc w imię zgody będę posłuszna.

— Dziękuję ci, moja droga — powiedział Henryk — bardzo dziękuję.

— Ale jakież cel będą miały te odwiedziny?

— Bardzo prosty.

— Zawsze wyjawić mi go potrzeba, bom tyle naiwna że się go nie domyślam.

— Otóż! znajdziesz Fosseuse w pośród honorowych panien, leżącą w ich pokoju. Tego rodzaju kobietki, jak ci wiadomo, są tak ciekawe i nie wyrozumiałe, iż nie wiadomo do jakiej ostateczności mogłyby doprowadzić biedną Fosseuse.

— A więc ona się czegoś obawia — z podwójnym gniewem i nienawiścią zawołała Margarita — a więc pragnie się ukrywać?

— Nie wiem — odpowiedział Henryk — dosyć, że potrzebuje wyprowadzić się z pokoju honorowych panien.

— Jeżeli pragnie ukrywać się, niech na mnie nie liczy. Mogę zamykać oczy na niektóre rzeczy, lecz nigdy współniczką ich nie będę.

To powiedziawszy Margarita oczekiwała na skutek swego ultimatum.

Lecz Henryk udał że nie nie słyszy; znowu zwiesił głowę i przybrał zamyśloną minę, która przed chwilą już uderzyła Margaritę.

— *Margota* — szeptał — *Margota cum Turenio*. Właśnie tych dwóch imion szukałem moja pani: *Margota cum Turenio*.

Twarz Margarity przybrała teraz pąsową barwę.

— Potwarze! Najjaśniejszy panie — zawołała — potwarze powtarzasz mi.

— Jakie potwarze? — najnaturalniej w świecie powiedział Henryk — czy pani w tem potwarz widzisz? Przypomniałem sobie właśnie ustęp z listu mojego brata: *Margota cum Turenio conveniunt in castello nomine Loignac*. Widzę, że będę musiał koniecznie kazać jakiemu księdzu aby mi ten list wytłumaczył.

— No, dajmy pokój tej grze, Najjaśniejszy panie — rzekła Margarita cała drżąca — a powiedz raczej wprost czego żądasz.

— Oto, moja kochana, pragnąłbym abyś oddzieliła Fousseuse od panien, i umieściwszy ją w osobnym pokoju, posyłała do niej tylko jednego lekarza, lekarza wyrozumiałego jak naprzykład twój.

— O! ho! teraz widzę co to jest, Fosseuse, co się chełpiła swoją cnotą, Fosseuse, która się popisывała fałszywym panięństwem, Fosseuse brzemienna, blizka porzucenia.

— Ja tego nie mówię, moja droga — rzekł Henryk — ja tego nie mówię; to ty tak utrzymujesz.

— Widzę że tak jest, mój panie — zawołała Margarity — twój pochlebny ton, twoja fałszywa pokora tego mi dowodzą. Ale są pewne ofiary, których nawet król, po swojej żonie wymagać nie powinien. — Napraw sam Najjaśniejszy panie, błędy panny de Fosseuse, jesteś jej współnikiem, a więc to do ciebie należy; kara dla winnego, nie zaś dla niewinnego.

— Dla winnego, dobrze, to mi właśnie przypomina inne jeszcze wyrazy tego ohydneho listu.

— Jakto.

— Wszak winny po łacinie *nocens*?

— Tak panie, *nocens*.

— Otóż w liście napisano: *Margota cum Turenio, ambo nocentes: conveniunt in castello nomine Loignac*. Da-libóg żałuję że nie mam umysłu równie wykształconego jak pamięć!

— *Ambo nocentes* — z cicha powtórzyła Margarity bledsza niż jej koronkowy kołnierzyk — zrozumiał, zrozumiał.

— *Margota cum Turenio, ambo nocentes*. Co u diabła chciał powiedzieć mój brat przez *ambo*? — nielitościwie mówił znowu Henryk Nawaryjski, — *Ventre saint-gris* moja droga, dziwna rzecz, iż tak dobrze umiejąc po łacinie jeszcześ mi nie wytłomaczyła tego wyrazu tyle mnie kłopotującego.

— Najjaśniejszy panie, już miałam zaszczyt oświadczyć...

— Ah! — przerwał król — otóż właśnie *Turenio* przechadza się pod twojemi oknami i patrzy biedak w górę jakby czekał na ciebie. Zawolałam go tutaj; to uczony

człowiek, od niego więc dowiem się tego co wiedzieć pragnę.

— Najjaśniejszy panie! — zawołała Margarita wstając z krzesła i załamując ręce, bądź wyższym nad wszystkich francuzkich wicherzycieli i potworców!

— Eh! moja droga, zdaje mi się że nie jesteśmy pobłażliwi w Nawarze jak we Francyi, bo przed chwilą ty sama byłaś bardzo surowa względem biednej Fosseuse.

— Ja surowa? — zawołała Margarita.

— Ba! przypomnij tylko sobie; tu jednak powinniśmy być pobłażliwi; wszak tak miłe pędzimy życie, ty na twoich ulubionych balach, a ja na ulubionych mi łowach.

— Tak, tak Najjaśniejszy panie — rzekła Margarita — masz słusność, bądźmy pobłażliwi.

— Byłem pewny twojego serca moja droga.

— Bo znasz mię dobrze Najjaśniejszy panie.

— Prawda, a więc odwiedzisz Fosseuse nieprawdaż?

— Odwiedzę Najjaśniejszy panie.

— Odłączysz ją od innych Panien.

— Odłączę, Najjaśniejszy panie.

— Poślesz do niej swojego lekarza?

— Poślę, Najjaśniejszy panie.

— Ale nie trzeba żadnej dozorczyni, lekarze z powołania są wyrozumiali, a dozorczyńnię z nałogu gadatliwe.

— Prawda, Najjaśniejszy panie.

— I jeżeli nieszczęście zechce, aby to co mówią było prawdą i aby ta biedna dziewczyna była słaba i upadła?..

Henryk wznosił oczy w niebo.

— Co bardzo być może — mówił dalej — bo kobie-

ta rzecz bardzo ułomna, *res fragilis mulier*, jak mówi Ewangelia.

— Otóż! Najjaśniejszy panie jestem kobietą i wiem iż dla drugich pobłażliwą być winnam.

— Ah! moja droga; ty wszystko potrafisz, ty jesteś wzorem doskonałości i...

— I?..

— I całuję twoje rączki.

— Ale bądź przekonany Najjaśniejszy panie — rzekła Margarita — że tylko przez miłość dla ciebie robię podobną ofiarę.

— O! ho! — odpowiedział Henryk — znam ja cię dobrze moja pani, i mój brat również, bo tyle dobrego mówi o tobie w swym liście i dodaje: *Fiat sanum exemplum statim, alque res certior eveniet*. A ty zaiste, dajesz mi ten dobry przykład.

Tu Henryk pocałował prawie zlodowaciałą rękę Margarity, a zatrzymując się w progu dodał:

— Pozdrów odemnie Fosseuse; zajmij się nią tak jak mi przyrzekłaś; ja wyjeżdżam na polowanie; może obaczę cię dopiero po powrocie, a może już nigdy... bo wilki to złe zwierzęta; pozwól więc niech cię uściskam moja droga.

I prawie czule pocałował Margarity, poczem wyszedł, zostawiając ją zdumioną wszystkiem co słyszała.

XII.

Poseł Hiszpański.

Król, powróciwszy do swojego gabinetu, zastał Chicot'a jeszcze pod wrażeniem silnej obawy o przekład listu.

— I cóż Chicot — spytał Henryk — czy wiesz co królowa utrzymuje?

— Nie wiem.

— Oto, że twoja przeklęta łacina zakłóci naszą małżeńską spokojność.

— Eh! dla Boga! Najjaśniejszy panie, zapomnijmy o tej łacinie i wszystko się skończy. Zupełnie co innego jest rzecz powiedziana, a zupełnie co innego napisana, słowa wiatrem ulatują, a pisma czasem i ogień nawet strawić nie może.

— Niech mię dyabli wezmą, jeżeli jeszcze o tem myśle! — powiedział Henryk.

— Wybornie.

— Na honor mam zupełnie co innego do czynienia.

— Zapewne Wasza Królewska Mość woli zabawę?

— Tak, synu — rzekł Henryk, nie bardzo zadowolony z tonu jakim Chicot te kilka słów wymówił — tak jest, moja Królewska Mość woli raczej zabawę.

— Przepraszam, ale może przeszkadzam Waszej Królewskiej Mości?

— Eh! mój synu — wzruszając ramionami odparł Henryk — jużem ci powiedział, że tu inne zwyczaje, aniżeli w Luwrze. — Tu wszystko się jawnie odbywa: miłość, wojna i polityka.

Król to mówiąc tak łagodnie spoglądał, tak mile uśmiechał się, iż Chicot, nabrawszy śmiałości, rzekł:

— Jednak wojna i polityka mniej jawnie niż miłość, nieprawdaż Najjaśniejszy panie?

— Prawda, kochany przyjacielu; bo też kraj tutejszy tak piękny, wina Langwedocyi tak smaczne, a kobiety Nawaryjskie tak ładne!

— Zdaje mi się Najjaśniejszy panie, iż zapominasz o królowej; albowż to Nawaryjki piękniejsze i zgrabniejsze są od niej? w takim razie bardzo im winszuję.

— *Ventre saint-gris*, masz słuszość Chicot, zapomniałem, że jesteś posłem, że reprezentujesz króla Henryka III, że król Henryk III, jest bratem Margarity, że więc wobec ciebie, przez przyzwoitość powinienem stawiać Margaritę wyżej nad wszystkie inne kobiety! Lecz przebacź mojej nieroztropności, bom nieprzyzwyczajony do posłów mój synu.

W tej chwili otworzyły się drzwi od gabinetu i d'Aubiac na głos zawołał:

— Poseł króla Imci hiszpańskiego.

Chicot podskoczył na krześle, a król roześmiał się.

— Na honor — rzekł Henryk — anim się spodziewał że kłamię. Poseł hiszpański! a on tu po co u diabła.

— Tak — powtórzył Chicot — po co on tu u diabła?

Zaraz się dowiemy — mówił znowu Henryk — może nasz hiszpański sąsiad pragnie załatwić jaki spór graniczny.

— Odchodzę — rzekł Chicot pokornie. — Król Filip II, zapewne przysyła ci Najjaśniejszy panie prawdziwego posła, kiedy tymczasem ja...

— Ambasador Francyi miałby ustąpić miejsca ambasadorowi hiszpańskiemu, i to w Nawarze, *ventre saint-gris!* na to nigdy nie pozwolę; otwórz mój Chicot do biblioteki i rozgość się tam.

— Ale Najjaśniejszy panie, tam mimowolnie wszystko słyseć będę.

— Mniejsza o to, ja nie mam żadnych tajemnic. Ale moi ambasadorze, czy nie masz mi już nic więcej do oświadczenia w imieniu twojego pana?

— Nic, Najjaśniejszy panie, już nic zupełnie.

— Dobrze, teraz więc patrz i słuchaj, bo tak robią wszyscy ambasadorowie, w tym gabinecie będzie ci najdogodniej. Patrzaj wszystkiemi oczami, a słuchaj wszystkiemi uszami mój kochany Chicot.

Potem król dodał:

— D'Aubiac, powiedz kapitanowi mojej gwardii niech wprowadzi hiszpańskiego posła. — J. potędze.

Chicot słysząc ten wyraz, wszedł się po gabinecie, natęki i starannie zamknął drzwi ficy.

Na dźwięcznej podł, polecono panu, udzielić mi odporzone kroki.

— Tak jest, Najjaśniejszy panie.

— I nic więcej?

— Nic.

— Otóż ja! — rzekł znowu Henryk — odrzucam ofiarę króla Imci hiszpańskiego!

— Wasza Królewska Mość odrzucasz rękę infant-

— Mogę mówić śmiało z Waszą Królewską Mością?

— Możesz pan — odpowiedział bearneczyk.

Chicot wyteżył cały słuch, bo chodziło mu o ważny interes.

— Najjaśniejszy panie — mówił poseł — przywożę odpowiedź Jego Katolicko-Królewskiej Mości.

— Dobrze! — pomyślał Chicot — przywozi odpowiedź, musiało zatem być i pytanie.

— W jakim przedmiocie — spytał Henryk.

— W przedmiocie oświadczeń Waszej Królewskiej Mości z ostatniego miesiąca.

— Na honor, ja się bardzo zapominam — powiedział Henryk. — Chciej panie pośle przypomnieć mi co to były za oświadczenia?

— Ależ co do wkroczenia książąt Lotaryngii do Francji.

— Tak, a osobliwie co do wkroczenia Gwizyusza. Teraz już pamiętam, cóż dalej?

— Najjaśniejszy panie — mówił znowu hiszpan — mojej nieroztropności wzywany do zawarcia przymierza z Nawarrą za daleko

W tej chwili otworzyły się drzwi za korzystniejsze.

biac na głos zawołał:

Henryk.

— Poseł króla Imci hiszpańskiego.

Chicot podskoczył na krześle, a król roześmiał się.

— Na honor — rzekł Henryk — anim się spodziewał że kłamie. Poseł hiszpański! a on tu po co u diabła.

— Tak — powtórzył Chicot — po co on tu u diabła?

Zaraz się dowiemy — mówił znowu Henryk — może nasz hiszpański sąsiad pragnie załatwić jaki spór graniczny.

Chicot przytłóczył drogę do tronu, pragnąłby ułatwić sobie nie usnął ściskiem tego przymierza środek posiadania

— Jezn której obecnie książę Andegoweński obie rękawice; Wasza Królewska Mość pojmuje dobrze, iż
 — On daje mu wielkie pierwszeństwo nad książętami Logogonii, ponieważ Gwizyusze, jego naturalni sprzymierzeńcy jako katolicy, sami przez się stanowią stronnictwo przeciw księciu Andegowskiemu we Francyi; otóż jedyny ten warunek jest bardzo słuszny i łagodny. Król hiszpański sprzymierzy się z Waszą Królewską Mością przez podwójne małżeństwo, dopomoże do... (tu przez chwilę poseł namyślał się nad właściwym wyrażeniem) do nastąpienia po królu Francyi, a Wasza Królewska Mość zagwarantujesz mu Flandryą. Znając zatem mądrość Waszej Królewskiej Mości, mogę teraz uważać moje posłannictwo jako szczęśliwie dopełnione.

Po tych słowach nastąpiło jeszcze głębsze jak pierwszej milczenie, bo anioł zniszczenia pragnący uderzyć tu lub owdzie na Francją, na Hiszpaniją, chciał zapewne aby odpowiedź ukazała się w całej swojej potędze.

Henryk Nawarryjski przeszedł się po gabinecie, nakoniec rzekł:

— Taką to zatem, polecono panu, udzielić mi odpowiedź?

— Tak jest, Najjaśniejszy panie.

— I nic więcej?

— Nic.

— Otóż ja! — rzekł znowu Henryk — odrzucam ofiarę króla Imci hiszpańskiego!

— Wasza Królewska Mość odrzucasz rękę infant-

- Mógłbyś mówić śmiało z Waszą Królewszcą — odpowiedział bearnais.
 Chicot wyteńczył cały słuch, bo chodziło mu o te, z którymi interesami się wiązała ta sprawa. — Tak tak — Najjaśniejszy panie — mówił poseł — przy odpowiedzi Jego Katolicko-Królewskiej Mości.
- Dobrze! — pomyślał Chicot — przywozi odpowiedź, musiało zatem być i pytanie.
- W jakim przedmiocie — spytał Henryk.
- W przedmiocie oświadczeń Waszej Królewszej Mości z ostatniego miesiąca.
- Na honor, ja się bardzo zapominam — powiedział Henryk. — Chciej panie pośle przypomnieć mi co to były za oświadczenia?
- Ależ co do wkroczenia książąt Lotaryngii do Francji.
- Tak, a osobliwie co do wkroczenia Gwizyusza. Teraz już pamiętam, cóż dalej?
- Najjaśniejszy panie — mówił znowu hiszpan — mojej nieroztropności wzywany do zawarcia przymierza z Nawarrą za daleko w tej chwili otworzyłoby nam to korzystniejsze.
- biac na głos zawołał: Henryk.
- Poseł króla Imci hiszpańskiego.
- Chicot podskoczył na krześle, a król roześmiał się.
- Na honor — rzekł Henryk — anim się spodziewałem że kłamię. Poseł hiszpański! a on tu po co u diabła?
- Tak — powtórzył Chicot — po co on tu u diabła?
- Zaraz się dowiemy — mówił znowu Henryk — może nasz hiszpański sąsiad pragnie załatwić jaki spór graniczny.

Królewskiej Mości drogę do tronu, pragnąłby ułatwić sobie za pośrednictwem tego przymierza środek posiadania Flandryi, ku której obecnie książę Andegoweński obie ręce wyciąga; Wasza Królewska Mość pojmuje dobrze, iż pan mój daje mu wielkie pierwszeństwo nad książętami Lotaryngii, ponieważ Gwizyusze, jego naturalni sprzymierzeńcy jako katolicy, sami przez się stanowią stronnictwo przeciw księciu Andegowskiemu we Francyi; otóż jedyny ten warunek jest bardzo słuszny i łagodny. Król hiszpański sprzymierzy się z Waszą Królewską Mością przez podwójne małżeństwo, dopomoże do... (tu przez chwilę poseł namyślał się nad właściwem wyrażeniem) do nastąpienia po królu Francyi, a Wasza Królewska Mość zagwarantujesz mu Flandryą. Znając zatem mądrość Waszej Królewskiej Mości, mogę teraz uważać moje posłannictwo jako szczęśliwie dopełnione.

Po tych słowach nastąpiło jeszcze głębsze jak pierwwej milczenie, bo anioł zniszczenia pragnący uderzyć tu lub owdzie na Francją, na Hiszpaniją, chciał zapewne aby odpowiedź ukazała się w całej swojej potędze.

Henryk Nawarryjski przeszedł się po gabinecie, nakoniec rzekł:

— Taką to zatem, polecono panu, udzielić mi odpowiedź?

— Tak jest, Najjaśniejszy panie.

— I nic więcej?

— Nic.

— Otóż ja! — rzekł znowu Henryk — odrzucam ofiarę króla Imci hiszpańskiego!

— Wasza Królewska Mość odrzucasz rękę infant-

ki.. — zawołał hiszpan jakby przeszyty niespodziewanym grotem.

— Zaszczyt to zaiste wielki, mój panie — podnosząc głowę odparł Henryk — ale nie mogę go uważać za wyższy nad małżeństwo z córą Francyi.

— Prawda, Najjaśniejszy panie, ale pierwszy związek wiódł cię do grobu, drugi zaś zawiedzie do tronu!

— Nieoszacowane i nieporównane szczęście, mój panie, wiem o tem, ale nie okupię go nigdy ani krwią, ani sławą przyszłych moich poddanych. Co! ja miałbym dobyć miecza przeciw królowi Francyi, mojemu szwagrowi, i to w sprawie hiszpana dla mnie obcego? Co! ja miałbym wstrzymać sztandar Francyi na jego drodze do sławy i dozwolić wieżom Kastylii oraz lwom Leonu aby dokończyły rozpoczętego dzieła? Co! ja miałbym pozwolić braciom, aby zabijali braci? miałbym na ojczyznę moją wprowadzić nieprzyjaciół? Słuchaj no, mój panie: posłałem mojemu sąsiadowi królowi Hiszpanii posiłki przeciw panom Gwizyuszom, są to bowiem wicherzyciele dziedzictwa mego chciwi; ale przeciw księciu Andegawii, mojemu szwagrowi, ale przeciw królowi Henrykowi III mojemu przyjacielowi, ale przeciw mojej żonie, siostrze mego króla! nigdy. Powiadasz pan, że wspomócicie Gwizyuszów, że ich wesprzecie? Czyńcie co się wam podoba; ja cisnę przeciwko wam i nim, wszystkich protestantów niemieckich i francuzkich. Król hiszpański pragnie odzyskać Flandryą, która mu się wymyka; niech więc postąpi jak ojciec jego Karol piąty: niech prosi króla Francyi aby mu pozwolił przejść przez kraj jego, dla upomnienia się o tytuł pierwszego obywatela Gandawy, a zaręczam, że Henryk III, ró-

wnie szlachetnie zezwoli na to przejście jak i król Franci-
szek pierwszy. Jego Królewsko-katolicka Mość powiada,
że pragnę tronu Francyi, być może, ale nie potrzebuję, aby
mi pomagał w odzyskaniu tego tronu; obejmę go sam je-
żeli zawakuje, i to mimo wszystkich królewskich Mości te-
go świata. Teraz więc, żegnam pana. Oświadcz pan
mojemu bratu Filipowi, żem mu wdzięczen mocno za jego
ofiary, lecz że nie zapomniabym mu do śmierci, gdybym
wiedział, że czyniąc mi takowe, przypuszczał choć na chwi-
lę że je przyjmę. Żegnam pana.

Zdumiony poseł wyjąkał:

— Racz zważyć Najjaśniejszy panie, że dobre poro-
zumienie między dwoma sąsiadami częstokroć zależy od
dobrze użytego wyrażenia się.

— Panie pośle — odparł Henryk — wiedz iż dla
mnie król Nawarry a król niczego, to wszystko jedno. Ko-
rona moja tak lekka, iż nie czułbym nawet gdyby mi
z głowy spadła; wreszcie w obecnej chwili, potrafię ją
utrzymać, bądź pan pewien. Żegnam więc pana po raz
ostatni, oświadcz pan swojemu monarsze, iż ja o większych
rzeczach marzę, aniżeli te, które mi zdala pokazał. Żegnam.

I Bearneńczyk, wychodząc ze zwykłego sobie chara-
kteru, a przemieniając się w człowieka jakim go niekiedy
widywano, na chwilę owładnięty bohaterskim ogniem,
z pełnym uprzejmości uśmiechem, odprowadził posła hisz-
pańskiego aż za próg gabinetu.

XIII.**Ubodzy króla Nawarry.**

Chicot w tak mocne wpadł zadziwienie, iż nie myślał nawet wyjść z biblioteki, gdy już Henryk sam pozostał.

Bearneńczyk otworzył drzwi i trącił go w ramię.

— I cóż! mości Chicot — spytał — jakżem się wyplątał?

— Do zadziwienia wybornie, Najjaśniejszy panie — odpowiedział Chicot jeszcze osłupiały. — Lecz, naprawdę jak na króla, który nie często posłów przyjmuje, Wasza Królewska Mość dzielnie przyjmować ich umiesz.

— A jednak to mój brat Henryk mi ich tutaj sprowadza.

— Jakim sposobem, Najjaśniejszy panie?

— Tak jest, gdyby nie prześladował bezustanku swojej biednej siostry, inni nie myśleliby nigdy o jej prześladowaniu. Czy mniemasz, iż gdyby król Hiszpanii nie był wiedział o publicznej zniewadze jaką wyrządzono królowej Nawarry, gdy kapitan gwardyi rewidował jej lektykę, sądzisz mówię, że projektowanoby mi wyparcie się jej?

— Z radością widzę, Najjaśniejszy panie — odpowiedział Chicot — iż wszelkie zabiegi nadaremne będą, i że nic nie zdoła zakłócić dobrej harmonii istniejącej pomiędzy Waszą Królewską Mością a królową.

— Eh! mój kochany, widzę ja bardzo jasno cel, dla którego poróżnić nas pragną...

— Przyznam się Najjaśniejszy panie, iż nie jestem tyle przewidującym jak sądzisz.

— Nie masz wątpliwości, iż brat mój Henryk pragnie abym się wyparł jego siostry.

— Jakto? Racz proszę Najjaśniejszy panie wyjaśnić mi rzecz całą. Do licha, nie sądziłem, że się do tak dobrej szkoły dostanę.

— Wiesz, że zapomniano wypłacić mi posag mojej małżonki.

— Nie, Najjaśniejszy panie, nie wiedziałem o tem; alem się domyślał.

— Iż trzy kroć sto tysięcy złotych talarów posag ten stanowiło?

— Piękna sumka.

— A nadto kilka miast między innemi Cahors.

— Dalibóg piękne miasto.

— Upominałem się nie o trzy kroć sto tysięcy talarów złotych — bo jakkolwiek ubogi jestem, mniemam, że bogatszy niż król Francyi — lecz o Cahors.

— Ah! Wasza Królewska Mość upominałeś się o Cahors. *Ventre de biche!* to dobrze; na miejscu Waszej Królewskiej Mości i ja bym to samo uczynił.

— I oto dla tego, — przebiegle uśmiechając się mówił dalej Bearneńczyk — oto dla tego... Czy rozumiesz już teraz?

— Nie rozumiem, niech mię djabli porwą!

— Oto dla tego pragną mię poróżnić z żoną, pragną abym się jej wyparł. No pojmujesz, Chicot, skoro nie-

ma żony, niema i posagu a tem samem niema trzech kroć sto tysięcy talarów złotych, ani miast, mianowicie zaś Cahors. Jest to znowu inny sposób objawiania myśli, a mój brat Walezyusz jest bardzo biegły w tym rodzaju zastawiania sideł.

— Ale jednak Wasza Królewska Mość bardzo byłbyś rad posiadając to miasto, nieprawdaż? — zagadnął Chicot.

— Bez wątpienia; bo czemuż jest moje królestwo Bearnu? Małe księstwo, które chciwość mojego szwagra i mojej swiekry tak dalece stoczyły, iż przyczepiony do niego tytuł króla w śmieszność się zamienił.

— Tak, kiedy tymczasem przydawszy do tego księstwa miasto Cahors...

— Cahors byłoby dla mnie bulwarem, byłoby przedmurzem dla moich współwyznawców.

— No, to Najjaśniejszy panie włóż żałobę po mieście Cahors, bo czy się poróżnisz z królową Margaritą czy nie, król Francyi nigdy ci tego miasta nie da, chyba że je sam weźmiesz.

— O! — zawołał Henryk — pewno że wziąłbym, gdyby nie było tak obronne i nadewszystko gdybym wojny tyle nie nienawdził.

— Cahors niezdobyte, Najjaśniejszy panie — rzekł Chicot.

— O! niezdobyte, niezdobyte, — odparł Henryk — gdybym ja tak miał wojsko... jak go nie mam.

— Racz mię posłuchać Najjaśniejszy panie — powiedział Chicot — myśmy tu nie przybyli dla prawienia sobie pochlebstw. Wiadomo Waszej Królewskiej Mości, że ga-

skończycy zawsze otwarci. A żeby zdobyć Cahors, którego broni pan de Vesin, trzeba być Annibalem lub Cezarem, a Wasza Królewska Mość...

— I cóż! moja Królewska Mość? — przebiegle uśmiechając się spytał Henryk.

— Wasza Królewska Mość powiedziałaś że nie lubisz wojny.

Henryk westchnął, w melancholijnym oku jego zabłyśł ogień; lecz wstrzymując natychmiast to mimowolne poruszenie ogorzałą ręką pogładził szorstką i czarną brodę, mówiąc:

— Prawda, że nigdy szpady mojej nie wydobywałem, i że jej nigdy nie wydobęde; jestem słomianym królem i spokojnym człowiekiem; jednak, skutkiem zapewne jakiejś dziwnej sprzeczności, lubię rozmawiać o rzeczach wojennych; to już do krwi mojej przywiązane; Święty Ludwik, przodek mój, tyle był szczęśliwy, iż mimo pobożnego wychowania i wrodzonej łagodności, w razie potrzeby dzielnie władać umiał dzidą i mieczem. Pomówmy więc, kochany Chicot, o panu de Vesin, który jak twierdzisz, jest Cezarem i Annibalem.

— Racz przebaczyć Najjaśniejszy panie — rzekł Chicot — zem cię mimowolnie obraził i niespokojności nabawił. O panu de Vesin wspomniałem jedynie dla tego abym przygasił wszelki ślad szalonego zapachu, jaki młodość i niewiadomość interesów wzniecić mogły w sercu Waszej Królewskiej Mości. Cahors, Najjaśniejszy panie, dla tego jest tak obronne i tak dobrze strzeżone, że stanowi klucz od południa.

— Niestety! — jeszcze mocniej wzdychając odparł Henryk — wiem ja o tem dobrze!

— Jest to — mówił dalej Chicot — bogactwo ziemi połączone z bezpieczeństwem mieszkania: posiadać Cahors, jest to posiadać spichlerze, spizarnie, kasy, stodoły, mieszkania i stosunki; posiadać Cahors, jest to mieć wszystko dla siebie; nie posiadać zaś, jest to mieć wszystko przeciw sobie.

Eh! *ventre saint-gris* — pomruknął król Nawarry — dla tego też właśnie tak mocno pragnąłem posiadać Cahors, iż prosiłem mojej biednej matki, aby je położyła za warunek *sine qua non* mojego małżeństwa; ale patrz no Chicot, wszak ja teraz mówię po łacinie. Cahors więc stanowiło posag mojej żony; przyobiecano mi je i ono mi się należy.

— Najjaśniejszy panie, być komu winnym a płacić długi... — wtrącił Chicot!

— To dwie wcale odmienne rzeczy, masz słusność kochany Chicot, i podług twójgo zdania nigdy mi go nie oddadzą?

— Obawiam się tego.

— Do diabła! — rzekł Henryk.

— I mówiąc szczerze, Najjaśniejszy panie — dodał Chicot.

— To co!

— To słusznie postąpią gdy nie oddadzą.

— Słusznie, a dla czego przyjacielu?

— Boś Najjaśniejszy panie, nie pojął królewskiego rzemiosła, bo zaślubiwszy córkę Francyi nie umiałeś najprzód odebrać do rąk posagu, a potem miast.

— Nieszczęśliwy! — z cierpkim uśmiechem rzekł Henryk — czylisz nie pamiętasz dzwonięcia na gwałt na wieży kościoła Saint-Germain l'Auperois? Sądzę że nowo zaślubiony którego właśnie w dniu wesela zgładzić pragną, raczej dba o życie niż o posag.

— Dobrze! — odparł Chicot — ale później?

— Później? — spytał Henryk.

— Tak jest, zdaje mi się, żeśmy mieli pokój. Trzebaż było umieć korzystać z tego pokoju i przebac Najjaśniejszy panie, zamiast wdawać się w miłostki, trzeba było, negocjować. Wiem, że to nie zabawne ale korzystne. Zaiste, stosuję to zarówno do Waszej Królewskiej Mości jak i do króla mojego pana. Gdyby Henryk francuski miał w Henryku nawarskim silnego sprzymierzeńca, Henryk francuski byłby silniejszy nad wszystkich, a przypuszczając że jeden i ten sam polityczny interes mógłby połączyć katolików z protestantami, gdyby spory religijne na później odłożyli, wówczas katolicy i protestanci, to jest dwaj Henrykowie, wstrząsnęliby całym rodzajem ludzkim.

— O! ja — z pokorą odpowiedział Henryk — nie wdycham wcale do tego, nie chcę aby ktokolwiek drżał przedemną, albo żebym nawzajem sam miał drżyć przed kim... Ale, mój Chicot, nie mówmy już o tych wszystkich rzeczach co mi głowę zawracają. — Nie posiadam miasta Cahors; cóż począć! to się bez niego obejdę.

— Przykra to rzecz, mój królu!

— Wszak sam utrzymujesz, iż Henryk nigdy mi tego miasta nie odda.

— Tak sędzę, Najjaśniejszy panie, tego jestem pewien, a to z trojakiej przyczyny.

— Wymień-że mi tę przyczynę.

— Chętnie: najprzód, że Cahors przynosi znaczne dochody, a więc król Francyi będzie wolał zachować je dla siebie raczej, aniżeli oddać komu innemu.

— To nie zupełnie po uczciwemu, mój Chicot.

— Ale po królewsku, Najjaśniejszy panie.

— Ah! więc to po królewsku zabierać sobie to co się podoba?

— Tak jest, to się nazywa brać część lwia, a lew jest królem zwierząt.

— Będę pamiętał tę zasadę, mój kochany, jeżeli kiedy naprawdę królem zostanę. Ale jakaż twoja druga przyczyna?

— Druga: królowa Katarzyna...

— A wiec moja dobra Katarzyna zawsze jeszcze wdaje się w politykę? — przerwał Henryk.

— Zawsze; królowa Katarzyna wolałaby widzieć raczej swoją córkę w Paryżu jak w Nérac, raczej przy sobie jak przy Waszej Królewskiej Mości.

— Tak sądzisz? A jednak królowa Katarzyna nie zbyt szalenie kocha swą córkę.

— Prawda; ale królowa Margarita służy Najjaśniejszemu panu za zakładnika.

— Tyś strasznie mądry, mój Chicot. Niech mię szatan porwie, jeżeli kiedy o tem pomyślałem; ale może ty słusznie mówisz; prawda, prawda, córa Francyi, w razie potrzeby, może posłużyć za zakładnika. Lecz cóż dalej?

— Oto, Najjaśniejszy panie, kto zmniejsza zasoby, zmniejsza zarazem i przyjemność pobytu. Nérac jest bardzo przyjemne miasto, ma park i aleje jak nigdzie; ale królowa Margaritta pozbawiona zasobów, znudzi się w Nérac i tęsknić będzie do Luwru.

— Wolę twoją pierwszą przyczynę, mój Chicot, rzekł Henryk wstrząsając głową.

— No, to powiem Waszej Królewskiej Mości trzecią. Pomiędzy księciem Andegawęńskim, który szuka dla siebie tronu i porusza Flandryę; między panami Gwizyuszami, którzyby chcieli ukuć sobie koronę, którzy poruszają Francją; między królem Hiszpanii, któremu się coś marzy o uniwersalnej monarchii i który wstrząsa światem, Wasza Królewska Mość, prosty książę Nawarry, stanowisz równowagę i utrzymujesz ją niejako.

— Ja który sam nic nieważę! czy doprawdy?

— Właśnie dla tego. Spójrzaj Najjaśniejszy panie na rzeczpospolitą szwajcarską. Stań się potężnym, t. j. ważnym, a przechylisz szalę. Nie będziesz już równowagą, ale ciężarem.

— O! ta przyczyna bardzo mi się podoba, mój Chicot—doskonale wyrozumowana.—Tyś prawdziwy mędrzec mój kochany.

— Na honor, Najjaśniejszy panie, jestem czem być mogę, odpowiedział Chicot, któremu pochlebiała niezwykła dlań dobroduszość króla.

— To więc jest wyjaśnienie mojego położenia? spytał Henryk.

— Najzupełniejsze Najjaśniejszy Panie.

— Ja przecież zgola tego wszystkiego nie przewidywałem, zawsze miałem nadzieję. Czy ty to pojmujesz, Chicot?

— Otóż, radzę ci Najjaśniejszy Panie, zaniechaj tej nadziei.

— Skoro tak, mój Chicot, uczynię z tą wierzitelnością francuzkiego króla, co zwykłem czynić z długami moich dzierżawców, którzy mi nie płacą, to jest kładę Z. obok ich nazwiska.

— Co znaczy: zapłacono.

— Tak jest.

— Połóż więc Najjaśniejszy Panie dwa Z i westchnij.

Henryk westchnął.

— Właśnie tak uczynię, Chicot, rzekł. Zresztą widzisz sam przyjacielu, że i w Bernie żyć można i że zgola miasta Cahors niepotrzebuję.

— Widzę to, i poznaję niewątpliwie, że jesteś mądrym monarchą, że jesteś królem filozofem... Ale cóż to za hałas?

— Co za hałas? i gdzie.

— Zdaje się że na dziedzińcu.

— Obacz no przez okno mój przyjacielu. Chicot zbliżył się do okna.

— Najjaśniejszy Panie, rzekł, jest tam na dole około tuzina ludzi dosyć licho ubranych.

— Ah! to moi ubodzy, wstając powiedział król Nawarry.

— Wasza Królewska Mość masz swoich ubogich?

— Tak jest, albowż to mi Pan Bóg nienakazuje miłosierdzia? Chociaż nie jestem katolikiem dla tego przecieź jestem chrześcianinem.

— Brawo Najjaśniejszy Panie.

— Zejdźmy nadół Chicot, razem rozdamy jałmużnę, a potem wrócimy na wieczerzę.

— Służę ci, Najjaśniejszy Panie.

— Weź że worek, który tam leży na stoliku obok mojej szpady.

— Już go mam Najjaśniejszy Panie...

— Dobrze...

Gdy zeszedł, zmierzch już był zapadł. Król idąc wyglądał zamyślony, roztargniony, co wielce smuciło Chicota.

— Zkąd że u diabła, pomyślał w duszy, przyszła mi myśl mówienia o polityce z tym pocziwym monarchą? Doprawdy, zatrąłem mu serce! Ha! co za niedolega ze mnie.

Henryk skoro zeszedł na dziedziniec, zbliżył się do żebraków, których mu Chicot wskazał.

W rzeczy samej, byli to ludzie rozmaitej postawy, fizyognomii i ubioru; ludzie, których niezręczny dostrzegacz, z powodu ich głosu, chodu i ruchów, byłby wziął za cyganów, za cudzoziemców lub niezwykłych przechodniów, dostrzegacz zaś zręczny za przebraną szlachtę.

Henryk wziął worek z rąk Chicota i skinał.

Wszyscy żebracy widocznie doskonale to skinienie zrozumieli.

Każdy kolejno witał monarchę z pozorną pokorą, w której jednak przebijało się rozumne i śmiałe spojrzenie, niejako mówiące królowi, iż pod tą powłoką bije mężne serce.

Henryk każdemu kiwnął głową, włożył dwa palce do worka, który mu Chicot trzymał i wyjmował pieniądz.

— Eh! czy wiesz Najjaśniejszy Panie, że to złoto, zawołał Chicot.

— Wiem, mój przyjacielu.

— Do licha! widzę, żeś bogaty Najjaśniejszy Panie.

— Alboż niewidzisz przyjacielu, z uśmiechem mówił Henryk, iż każda sztuka tego złota, służy mi za podwójną jałmużnę?

— Owszem Chicocie, jestem ubogi, i moje pistole na dwoje przecinać muszę, abym opędził to nędzne życie.

— Prawda, ze wzrastającym zdziwieniem odparł Chicot; każda sztuka jest na połowę przecięta i ma jakieś dziwaczne znaki.

— Bo widzisz, ja tak jak mój brat, król francuzki, mam swoje grymasy. On wycina obrazki, ja w wolnych chwilach obrzynam dukaty. Biedny poczciwy bearneńczyk ma żydowski przemysł.

— Nic nie szkodzi, Najjaśniejszy Panie, odpowiedział Chicot, kręcąc głową, bo domyślał się w tem jakiejś nowej tajemnicy; jednak dziwny to sposób rozdawania jałmużny.

— A ty może postępowałbyś inaczej?

— Tak jest, zamiast trudzić się przecinaniem każdej sztuki na dwoje, mówiłbym: Oto dla dwóch!

— Toby się pobili mój kochany, a ja zamiast dobrego uczynku wywołałbym zgorzenie.

— Zapewne! pomruknął Chicot, tym wyrazem stanowiącym wyskok wszelkiej filozofii, tamując swą oppozycję przeciw dziwacznym domysłom króla.

Henryk zatem wyjął pół sztuki z worka, i stając przed pierwszym żebrakiem ze spokojną i łagodną miną jaka go zawsze odznaczała, spojrział nań w milczeniu, lecz nie pytał spojrzeniem.

— Agen, rzekł tenże kłaniając się.

— Ile? spytał król.

— Pięć set.

— Cahors.

Oddał mu pieniądze i wyjął inną monetę z woreczka.

Żebrek uklonił się jeszcze niżej, niż poprzednio, i odszedł.

Za nim nastąpił drugi, który skłonił się z przymleniem.

— Auch, rzekł z ukłonem.

— Ile?

— Trzysta pięćdziesiąt.

— Cahors.

I wręczył mu znowu pieniądz i znowu wyjął inną monetę z woreczka.

Drugi znikł jak pierwszy. Zbliżył się trzeci i skłonił się.

— Narbonne, rzekł.

— Ile?

— Ośmset.

— Cahors.

I wręczył mu trzeci pieniądz i znowu wyjął inną monetę z woreczka.

— Montauban, rzekł czwarty.

— Ile?

— Sześćset.

— Cahors.

Wszyscy nareszcie, zbliżając się z ukłonami, wymawiali swoje imiona, otrzymywali tę niezwykłą jałmużnę i wygłaszali cyfry, których summa wyniosła ośm tysięcy.

Każdemu z nich Henryk odpowiedział Cahors, ani razu nie zmieniając głosu przy wymawianiu tego wyrazu. Po dokonaniu podziału, w woreczku nie było ani jednej monety, na podwórzu ani jednego żebraka.

— Otóż i wszystko, rzekł Henryk, skończyłem.

Chicot pociągnął króla za rękaw.

— Sire! rzekł.

— Co takiego?

— Czy mogę być ciekawym?

— Dla czego nie? Ciekawość jest rzeczą naturalną.

— Co Wasza Królewska Mość mówił do tych żebraków i co to była za odpowiedź?

Henryk uśmiechnął się.

— Doprawdy wszystko tu jest tajemnicą.

— Tak sądzisz?

— Tak, nigdy bowiem nie widziałem, ażeby w ten sposób rozdawano jałmużnę.

— To taki zwyczaj w Nerac, mój kochany Chicot. Znasz przysłowie: „Co kraj to obyczaj.”

— Dziwny obyczaj, sire.

— Nie, do licha, nie nad to prostszego; wszyscy ludzie, których widziałeś, włączają się po kraju po żebranym chlebie; ale każdy pochodzi z innego miasta.

— I cóż ztąd, sire?

— Otóż, ażeby nie dawał zawsze jednym i tym samym, powiadają mi nazwę swojego miasta; tym sposobem, pojmujesz drogi Chicot, mogę rozdzielać jałmużnę na równe części i przychodzę z pomocą wszystkim nieszczęśliwym ze wszystkich miast mojego kraju.

— A tak to już rozumiem, lecz tylko to, co się tyczy nazwy ich miast; ale dla czego każdy z nich otrzymał odpowiedź—Cahors?

— Ach! odparł Henryk, tonem doskonale udanego zdziwienia; to ja odpowiadałem Cahors?

— Naturalnie!

— Tak sądzisz?

— Jestem jaknajpewniejszy.

— A no widzisz, od czasu jakeśmy mówili o Cahors, mam ciągle ten wyraz na ustach. Tak się zawsze dzieje, gdy się czego pragnie, a mieć nie można: myśli się o tem, i wymawia bezmyślnie.

— Hm! rzekł Chicot, patrząc z niedowierzaniem w stronę, gdzie się oddalili żebracy, to o wiele dla

mnie nie tak jest jasnym, jakbym pragnął, sire; jest jeszcze, oprócz tego...

— Jakto? Jeszcze coś jest?

— Jest ta cyfra, którą każdy z nich wymawiał, a która z innemi wyniosła sumę sięgającą ośmiu tysięcy.

— Ach! Co się tycze tej cyfry, Chicot, to tak jak ty, nie rozumiałem dotąd, dopóki zebracy nie powiedzieli mi cyfry członków swoich stowarzyszeń, dzielą się oni bowiem na stowarzyszenia, jak ci wiadomo.

— Sire! Sire!

— Chodź na kolacyę, mój drogi; nie tak nie otwiera oczu, mojem zdaniem, jak jadło i napój. Zastanowiemy się przy wieczerzy, i zobaczysz że jeśli moje pistole są obcięte, za to moje butelki są pełne.

Król gwiznął na pazia i kazał podać wieczerzę.

Poczem, poufale biorąc Chicota pod ramię, wszedł do swego gabinetu, gdzie nakryto do stołu.

Mijając apartament królowej, rzucił okiem na okna i nie spostrzegł światła.

— Paziu, rzekł, jej wysokość, królowa, czy jest u siebie?

— Jej Wysokość, odparł paź, udała się w odwiedziny do panny de Montmorency, która ma być bardzo chorą.

— Ach, biedaczka, rzekł Henryk; to prawda, królowa ma dobre serce. Idźmy jeść, Chicot, idźmy!

XIX.**Prawdziwa kochanka króla Nawarry.**

Wieczera odbywała się bardzo wesoło.—Henrykowi już widocznie nic nie ciążyło ani na myśli ani na sercu, a ilekroć w takim usposobieniu zostawał, zawsze był wybornym współbiesiadnikiem.

Chicot ze swojej strony o ile możności ukrywał niespokojność jakiej go nabawiło najprzód pojawienie się hiszpańskiego posła, potem zaś rozdanie złota żebrakom.

Henryk chciał aby kmotr Chicot wieczerzał z nim sam na sam; jeszcze bawiąc na dworze Walezyusza zawsze czuł wielki pociąg do Chicota, jaki zwykle czują ku sobie ludzie dowcipni: a Chicot nawzajem mimo hiszpańskich ambasad, mimo żebraków z hasłem, i mimo oberzniętych dukatów, wielką miał sympatyę do króla Nawarry.

Skoro jednak spostrzegł, że król zmienia wino i wogóle umie być dobrym biesiadnikiem, postanowił oszczędzać się nieco i nie uważać na wszelkie żarciki jakimi swobodna uczta i dobre wino natchnęły bearnieńczyka.

Henryk pił dzielnie, i tak dobrze umiał zachęcać towarzysza, iż Chicot zawsze o dwie szklanki w tyle pozostawał; ale wiemy, że Chicot miał żelazną głowę.

Henryk Nawarrski zaś, każde wino pił jak wodę, nazywając je swoim współziomkiem.

Wszystko to uprzyjemniano świadczonemi sobie nawzajem grzecznościami.

— Jakże ci zazdroścę, Najjaśniejszy Panie, rzekł Chicot, jak miło na twym dworze, jak tve życie kwitnie! Ileż przyjemnych twarzy widzę w twym zacnym domu i ile bogactw w pięknym kraju Gaskonii!

— Gdyby tu była moja żona, kochany Chicot, nie powiedziałbym ci tego co chcę powiedzieć; ale ponieważ jej tu niema, mogę ci wyznać, iż niewidzisz najpiękniejszej strony mojego życia.

— Ah! w istocie Najjaśniejszy Panie, piękne rzeczy głoszą o Waszej Królewskiej Mości.

Henryk przechylił się na krześle i z uśmiechem pogładził brodę.

— Tak, tak, nieprawdaż? utrzymują, że ja raczej nad poddankami niż nad poddanymi panuję.

— Prawda, Najjaśniejszy Panie, wyznam jednak, że mię dziwi ta prawda.

— Dla czego kmotrze?

— Oto dla tego, że Najjaśniejszy Panie posiadasz znaczną dozę niespokojnego ducha, który królów wielkimi czyni.

— Mylisz się mój Chicot, odparł Henryk, jam raczej leniwy niż ruchliwy, a dowodem tego całe moje życie: jeżeli się zakocham, to zawsze w najbliższej mnie piękności; jeżeli chcę wina, szukam go zawsze w najbliższej mnie butelce. Twoje zdrowie, Chicot!

— Zbyt wielkie mi robisz honory Najjaśniejszy

Panie! odpowiedział Chicot, do dna wypróżniając szklankę, bo król bacznem okiem go pilnował i wszelką myśl jego na wylot przeniknąć pragnął.

— To też, mówił dalej król wznosząc oczy w niebo, ileż to kłótni bywa w moim domu!

— Rozumiem, Najjaśniejszy Panie, bo cię kochają wszystkie honorowe panny królowej!

— Wszakże to moje sąsiadki, Chicocie.

— Z tej zasady wypływa Najjaśniejszy Panie, że gdybyś mieszkał w Saint-Denis zamiast w Nérac, to król niemógłby żyć tak spokojnie jak żyje.

Henryk zachmurzył się.

— Król! cóż ty znowu prawisz, Chicot! rzekł Henryk Nawarski, król! alboż ty mię masz za jakiego Gwizyusza? Prawda, że mi się chce miasta Cahors, ale tylko dla tego, że Cahors mam pod bokiem: że zawsze trzymam się mojego systemu, to jest ambicyi; lecz tylko dopóki siedzę; a skoro się podniosę, to już nic więcej niechcę.

— *Ventre de biche*, Najjaśniejszy Panie, odpowiedział Chicot, to pragnienie rzeczy, po które ręką sięgnąć można, wielce jest podobne do ambicyi Cezara Borgii, który sobie uzbierał królestwo, zagarniając miasto po mieście, i utrzymując iż Włochy są karczochem, którego każdy listek osobno zjadać potrzeba.

— Zdaje mi się, mój Chicot, że ten Cezar Borgia wcale niezłym był politykiem, powiedział Henryk.

— Tak, ale był bardzo niebezpiecznym sąsiadem i bardzo złym bratem.

— Ale, cóż to! miałżebyś mię porównywać z ja-

— kimś papistą, mnie, głowę hugonotów? Hola! mości pośle.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ja Waszej Królewskiej Mości z nikim nieporównywan.

— Dla czego?

— Bo mi niemam, że wielce myliłby się ten, kto by cię porównywał z kim innym jak z tobą samym. Tyś ambitny, Najjaśniejszy Panie.

— Co za dziwactwo, rzekł bearnieńczyk; ten człowiek, widzę, koniecznie chcę mię zmusić, abym czegoś pragnął.

— Niech mię Bóg broni, Najjaśniejszy panie; owszem, pragnę z całego serca, abys Wasza królewska Mość nic nie pragnął.

— Słuchajno Chicot, powiedział król, wszakże cię nic niepowołuje do Paryża?

— Nic, Najjaśniejszy panie.

— Przepędzisz zatem kilka dni u mnie.

— Jeżeli Wasza Królewska Mość czynisz mi ten zaszczyt, że życzysz sobie mojego towarzystwa, mogę chętnie przeznaczyć na to tydzień czasu.

— Tydzień; zgoda! kmotrze: za tydzień znać mię będziesz jak rodzzonego brata. A teraz pijmy.

— Ja już nie mam pragnienia, Najjaśniejszy panie, rzekł Chicot, zaczynając myśleć o zaniechaniu zamiaru upojenia króla.

— Skoro tak, żegnam cię kmotrze, odparł Henryk; nikt daremnie przy stole siedzieć nie powinien. Pijmy, powiadam ci.

— A to na co?

— Abyśmy lepiej spali. To leciuchne krajowe wino bardzo miły sen sprawia. A czy lubisz polowanie Chicot?

— Nie bardzo, a wasza Królewska Mość?

— Od czasu pobytu mojego na dworze Karola IX, szaleję za polowaniem.

— Dla czegoż wasza Królewska Mość raczyłeś zapytać mnie czy lubię polowanie? zagadnął Chicot.

— Bo jutro właśnie polować będę, i chcę cię z sobą zabrać na łowy.

— Będzie to dla mnie wielki zaszczyt Najjaśniejszy panie, ale...

— O! bądź spokojny kmotrze, to polowanie będzie tak urządzone, iż sprawi radość oczom i sercu każdego żołnierza.—Jestem dobrym myśliwym, i wielce mi o to chodzi abyś poznał moje zdolności; bo przecież mówisz, że mię chcesz poznać?

— *Ventre de biche*, Najjaśniejszy Panie, przyznaję, że tego najgoręcej pragnę.

— Otóż! z tej właśnie strony, jeszcze mię zgoła nie znasz.

— Uczynię, Najjaśniejszy Panie, wszystko co ci się podobać będzie.

— A więc rzecz umówiona! Ale oto mój paź! dla czego nam przeszkadzają?

— Zapewne jaki ważny interes Najjaśniejszy Panie.

— Interes! do mnie! kiedy jestem u stołu! Dziwna rzecz kochany Chicot, że ty zawsze myślisz, iż jesteś na francuzkim dworze, wiedz mój przyjacielu, że w Nérac...

— Co Najjaśniejszy panie?

— Kto zjadł dobrą wieczerzę, ten spać idzie.

— Ale ten paż!

— Cóż ten paż, alboż to on nie może oznajmiać mi czego innego niż interesów?

— Ah! rozumiem Najjaśniejszy Panie i idę spać.

— Chicot wstał, to samo uczynił i król i wziął przyjaciela pod rękę.

Ten pośpiech w pozbyciu się Chicota, zwrócił na siebie jego uwagę, zwłaszcza, że już od przybycia hiszpańskiego posła, wszystko mu się podejrzanem wydawało. Postanowił więc wyjść z gabinetu królewskiego o ile można najpóźniej.

— O ho! rzekł chwając się, a to dziwna rzecz Najjaśniejszy Panie.

Bearneńczyk uśmiechnął się.

— Cóż tak dziwnego kmotrze?

— *Ventre de biche!* w głowie mi się kręci. Dopóki siedziałem, to jakoś uszło, ale teraz kiedy stoję, brrr.

— Bah! rzekł Henryk, tylkośmy skosztowali trochę wina.

— Dobrze skosztowali Najjaśniejszy Panie! To wasza Królewska Mość nazywasz to skosztowaniem, brawo! Tęgi z ciebie pijak, i składam ci moje hołdy, jako mojemu udzielnemu panu! Ha! król nazywasz to kosztowaniem!

— Przyjacielu Chicot, rzekł bearneńczyk, usiłując właściwem sobie spojrzeniem przeniknąć czy Chicot był prawdziwie pijany, czy też udawał. Przyja-

cielu, sądzę, że najlepiej uczynisz, skoro spać pójdziesz.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie, dobra noc.

— Dobra noc Chicot, do jutra.

— Tak Najjaśniejszy Panie, do jutra, masz słuszną, Chicot najlepiej uczyni skoro zaśnie. Dobra noc Najjaśniejszy Panie.

I to mówiąc Chicot położył się na podłodze.

Widząc to postanowienie swojego współbiedniaka, Henryk spojrział na drzwi; ale mimo szybkości tego spojrzenia, Chicot dostrzegł je jednak.

Henryk zbliżył się ku niemu.

Takeś pijany, mój biedny Chicot, że niewidzisz jednej rzeczy.

— Jakiej?

— Tej, że podłogę mojego gabinetu bierzesz za swoje łóżko.

— Chicot żołnierz. Chicot nie dba o takie drobnostki.

— A więc niewidzisz dwóch rzeczy.

— Ah! ha!... a jakaż to ta druga rzecz?

— Oto, że ja czekam tu na kogoś.

— Czy z wieczerzą? zgoda, to wieczerzajmy.

I Chicot chciał się podnieść, lecz nadaremnie.

— *Ventre-saint-gris!* zawołał Henryk, jakże ty się nagle rozmarzasz, kmotrze! Idź że precz do licha! czy nie widzisz, że ona się niecierpliwi!

— Ona, pomruknął Chicot, co za ona?

— Eh, do pioruna! kobieta na którą czekam, która tam stoi za drzwiami...

— Kobieta! A czemuś mi tego niepowiedział odrazu Henrysiu?... Ah! Przepraszam, mniemałem... zdało mi się że mówię do króla Francyi. Ale bo ten dobry Henryś tak mię popsuł. Czemu żeś mi tego odrazu nie powiedział Najjaśniejszy Panie? już odchodzę.

— Chwała Bogu, wiedziałem, że pamiętasz zawsze, iż jesteś prawdziwym szlachcicem. No, wstań i idź bo widzisz, że czeka mię piękna noc, rozumiesz?

Chicot wstał i utykając, doszedł do drzwi.

— Dowidzenia Najjaśniejszy Panie, i dobra noc, dobra noc.

— Bądź zdrów przyjacielu, a śpij dobrze.

— A ty Najjaśniejszy Panie?

— Sza.

— A prawda, sza.

I otworzył drzwi.

— W korytarzu znajdziesz pazia, który ci wskaże twój pokój. Idź.

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie.

I Chicot wyszedł, ukłoniwszy się jak najniżej; ale skoro tylko zamknął drzwi za sobą, natychmiast znikł wszelki ślad jego pijaństwa; zrobił trzy kroki naprzód, ale natychmiast wrócił i przyłożył oko do dziurki w zamku.

Henryk właśnie otwierał drzwi nieznanemu, którą Chicot, ciekawy jak każdy poseł, koniecznie chciał poznać.

Atoli zamiast kobiety wszedł mężczyzna, a skoro zdjął kapelusz, Chicot poznał szlachetną i surową

twarz pana Duplessis-Mornay, pilnego i sumiennego doradcę króla Nawarry.

Tam do djabła, pomyślał Chicot, ten trochę większego aniżeli ja, narobi kłopotu naszemu kochankowi.

Ale przybycie pana Duplessis-Mornay, samą tylko radość wywołało na twarz Henryka, który uściśnął mu dłoń, pogardliwie odepchnął stół, posadził Mornay'a przy sobie, przybliżając się ku niemu z takim zapalem jak kochanek do kochanki.

Widocznie chciwie pragnął usłyszeć pierwsze słowa z ust radcy; lecz zagnała i nim jeszcze Mornay przemówił, wstał i skinąwszy nań aby zaczekał, poszedł do drzwi i z ostrożnością, która Chicotowi wiele dała do myślenia, pozasuwał rygle.

Potem pałający wzrok utkwiał w mappach, planach i listach, które mu minister pokazywał.

Król zapalił więcej świec, poczem zaczął coś pisać i znaczyć na mappach.

— O ho! powiedział Chicot sam do siebie, tak to ślicznie przepędza nocy król Nawarry. *Ventre de biche!* jeżeli wszystkie do siebie podobne, to Henryk Walezyusz pewno niejedną źle przepędzi.

W tem usłyszał, że ktoś idzie; był to paź pilnujący korytarza, który z rozkazu króla czekał na niego.

W obawie aby go kto niezszedł na podsłuchach, Chicot wyprostował się i spytał pazia gdzie jest pokój mu przeznaczony. Wreszcie więcej wywiadywać się nie potrzebował, bo go pojawienie się pana Duplessis wszystkiego nauczyło.

— Pójdź pan ze mną z łaski swojej, rzekł

d'Aubiac, polecono mi wskazać panu jego apartamenta.

I zaprowadził Chicota na drugie piętro, do przygotowanego dlań mieszkania.

Tak więc znikły wątpliwości Chicota, znał on już połowę liter składających znaczenie zagadki zwanej królem Nawarry. To też, zamiast usnąć, siadł na łóżku ponury i zamyślony, tym czasem księżyc, zstępując po spiczastym dachu niby z srebrzystego dzbana wylewał na rzekę i łąki błękitnawe swoje światło.

— No, no, mówił sobie zasmucony Chicot, Henryk to prawdziwy król, Henryk knuje spiski; cały ten pałac, jego park, miasto, prowincya wszystko jest ogniskiem spisków, kobiety bawią się miłością, ale miłością polityczną, a wszyscy mężczyźni knują sobie nadzieję przyszłości.

„Henryk chytry, rozum jego zbliża się do geniuszu; jest w porozumieniu z Hiszpanią, tym szachrajskim krajem. Kto wie, czy tyle szlachetna odpowiedź, którą udzielił posłowi nie przeciwi się właśnie temu, o czem on myśli, czy mrugnięciem oka, nie dał tego posłowi do zrozumienia, albo czy nieistnieje między nimi, jaka tajemna zmowa, której ja ukryty, poznać nie mogłem.

„Henryk utrzymuje szpiegów, płaci im sam, albo też wynagradza za pośrednictwem jakiego ajenta. Żebracy, ni mniej ni więcej, byli przebraną szlachcią. Ich dukaty tak sztucznie pokrajane, są to znaki

po których się poznają, służą im za hasło materyjalne i dotykalne.

„Henryk udaje zakochanego i lekkomyślnego, a podczas gdy drudzy myślą, że się miłośkami zajmuje, on po całych nocach pracuje z Mornay'em, który nigdy nie sypiał i nie zna miłości.

„To mi wiedzieć należało i to zobaczyłem.

„Królowa Margaritta ma kochanków, a król wie o tem, zna ich i toleruje, bo jeszcze albo ich albo królowej potrzebuje, a może i wszystkich razem. Ponieważ nie jest wojownikiem, musi więc zajmować się wyborem wodzów, a ponieważ brak mu pieniędzy, pozwala aby sobie płacili czem chcą.

„Henryk Walezyusz mówił mi, że niesypia, *Ventre de biche!* bardzo dobrze robi, że nie sypia.

„Wielkie szczęście jeszcze, że ten zdradliwy bearneńczyk jest dobrym szlachcicem, którego Bóg obdarzając intryganckim geniuszem, zapomniał obdarzyć siłą inicjatywy. Mówią, że on się boi hukmu muszkietu i że kiedy w młodości oddano go do wojska, ani kwandrana na koniu usiedzieć nie mógł.

„Szczęście, powtórzył Chicot, bo w terażniejszych czasach, gdyby obok biegłości w intrydze, taki człowiek umiał dobrze władać orężem, to byłby królem świata.

„Mamy wprawdzie Gwizyusza, który posiada oba te przymioty: bo zna się i na intrydze i na orężu, ale wszyscy wiedzą, że jest waleczny i zręczny, a to mu szkodzi, kiedy, tymczasem o Bearneńczyku nikt ani pomyśli.

„Ja tylko sam odgadłem go“.

I Chicot zatarł ręce.

Skoro więc odgadłem go, niemam tu już nic więcej do roboty; i podczas gdy pracuje albo śpi, ja sobie spokojnie i po cichu wyjdę z miasta. Sądzę, że mało który poseł może się pochlubić tem, że w jednym dniu spełnił swoje posłannictwo, a przecież ja tego dokazałem. Wyjdę więc z Nérac, a potem pogalopuję do Francyi.

To powiedziawszy, zaczął przypinać ostrogi, które był odpiął w chwili, gdy się udawał do króla.

XX.

Chicot dziwi się, że jest tyle popularnym w mieście Nérac.

Skoro Chicot na dobre postanowił incognito opuścić dwór króla Nawarry, zaraz zaczął pakować swój podróżny tłomoczek. Upakował zaś o ile mógł najmniejszy, bo wychodził z zasady, że ten śpieszniej podróżuje, kto mniejszy ciężar dźwiga.

Jakoż spada jego była najcięższą częścią bagażu, który z sobą unosił.

— Obaczmy, mówił do siebie Chicot zawiązując swój tłomoczek, ile mi potrzeba czasu na przesłanie królowi wiadomości o tem co widziałem i czego się obawiam.

„Dwa dni na przybycie do miasta, z którego poczciwy gubernator wyprawi gońca.

„Przypuścimy, że tem miastem jest Cahors, o którym król Nawarry tyle mówi, i które go tak sprawiedliwie obchodzi.

„Przybywszy tam, będę mógł odpocząć, bo przecież siły ludzkie wyczerpują się. Wypocznę więc w Cahors, a konie za mnie pędzić będą.

„No, przyjacielu Chicot, przygotuj nogi, nabierz lekkości i zimnej krwi. Mniemałeś, żeś już wypełnił całe swoje zlecenie, dudku; a to dopiero połowa i jeszcze niezupełna!“

To powiedziawszy, Chicot zagasił świecę, jak mógł najciszej otworzył drzwi i wyszedł macając.

Chicot jako zręczny strategik, idąc za paziem rzucił był okiem na prawo, na lewo, przed i po za siebie, a przez to rozpoznał całą miejscowość.

Widział przedpokój, korytarz, schody, a na dole dziedziniec.

Lecz zaledwie uszedł kilka kroków w przedpokoju, wnet trącił nogą o jakiś przedmiot, który natychmiast powstał.

Był to paż, który spał na materacu rozłożonym tuż poddrzwiami, i który przebudzony powiedział:

— A dobry wieczór panie Chicot, dobry wieczór. Chicot poznał d'Aubiac'a.

— Dobry wieczór panie d'Aubiac, odrzekł, ale usuń się bądź łaskaw, mam ochotę przejść się nieco.

— Ale! kiedy może nie wiesz panie Chicot, że zabroniono przechadzać się nocą w okolicach zamku.

— A to dla czego, panie d'Aubiac?
 — Bo król lęka się złodziei, a królowa galantów.
 — Tam do diabła!
 — A sami tylko złodzieje lub galanci przechadzają się po nocy zamiast spać.

— Jednak, panie d'Aubiac, z najmiłszym uśmiechem powiedział Chicot, ja niejestem ani jednym ani drugim; jestem posłem bardzo strudzonym, łacińską rozmową z królową i wieczerzą z królem, bo królowa doskonale umie po łacinie, a król doskonale pije; przepuść mię więc przyjacielu, bo mam wielką ochotę do przechadzki.

— Po mieście?

— O! nie, po ogrodzie.

— Do licha, panie Chicot, to jeszcze bardziej zabronione, niż przechadzka po mieście.

— Muszę cię pochwalić, mój mały przyjacielu, rzekł Chicot, żeś taki służbista mimo twojego wieku. Ale powiedz mi, czy cię nic nie zajmuje?

— Nic.

— Może lubisz grywać w karty, może kochasz się?

— Na grę trzeba pieniędzy, panie Chicot, aby zaś kochać się—trzeba mieć kochankę.

— Zapewne, rzekł znowu Chicot i zaczął coś szukać w kieszeni.

— Paż patrzył co on robi.

— Przypomnij no sobie, przyjacielu, powiedział, a ręczę, że znajdziesz jaką ładną kobietę, której, proszę cię, kup za to książek i zaprowadź ją na taniec.

To mówiąc, Chicot wsunął paziowi w rękę dzie-

się pistolów bynajmniej nie oberżniętych, tak jak pistole bearneńczyka.

— Widać panie Chicot, powiedział paż,— że pan przybywasz z francuzkiego dworu, pan tak umiesz ujmować, iż panu nic odmówić nie można; wyjdź pan zatem, ale jak można najciszej.

Chicot nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć, przesunął się jak cień po korytarzu i po schodach, lecz na dole w przysionku znalazł oficera śpiącego na krześle.

Ten człowiek własnym ciężarem zamykał drzwi tak, że żadną miarą przejść nie można było.

— Ha! łotrze paziu, mruknął Chicot, ty o tem wiedziałeś a nie uprzedziłeś mię.

Na domiar nieszczęścia oficer spał bardzo lekko; ruszał się i wstrząsał; raz nawet wyciągnął rękę jakby się zupełnie miał przebudzić.

Chicot obejrzał się w koło i szukał czy zapomocą długich nóg i silnej pięści, nie potrafi wymknąć się jakim innym otworem niż drzwiami.

Nakoniec znalazł to czego szukał.

Było to okrągłe okno warkadzie, nawpół otwarte, bądź dla przepuszczenia powietrza, bądź dla tego, że król Nawarry jako mało dbały właściciel, nie uznawał zarzecz stosowną rozkazać, aby wprawiono nowe szyby.

Chicot palcami macał ścianę, wyrachował przestrzeń zawartą pomiędzy wystawami i na jednej z nich oparł nogę jak na drabinie. Nakoniec wyciągnął się, a czytelnicy nasi znają jego zręczność i lekkość tak, że

nie zrobił nawet tyle szmera, co liść suchy za powiewem wiatru po ścianie spadający.

Ale okno było niezmiernie wypukłe, tak że jego elipsa nie wyrównywała objętości brzucha i ramion Chicota, chociaż brzuch jego gdzieś znikł, a ramiona skulone jak u kota ukrywały się w ciele aby mniej miejsca zajmowały.

Stąd poszło, że gdy Chicot wytknął przez okno głowę i jedno ramię, a nogę usunął z wystawki, to zawisł pomiędzy niebem a ziemią, tak że ani naprzód ani w tył poruszyć się nie mógł, a po długich dopiero usiłowaniach, rozdarł kaftan i skaleczył ciało.

Położenie jego trudniejszym było, że szpada której rękojeść przejść niechciała, zahaczyła się i wstrzymała Chicota, który dobywał wszelkich sił, wszelkiej cierpliwości, wszelkiego przemyśłu, aby odpiąć temblak, a właśnie tę zapinkę piersią swoją przygniatał; musiał więc zmienić postępowanie; zdołał prawą ręką sięgnąć na plecy i wydobyć szpadę z pochwy, czego dokazawszy, łatwiej potrafił znaleźć miejsce do przeprowadzenia rękojeści. Tak więc szpada upadła na podłogę, a Chicot prześliznąwszy się przez otwór jak węgorz, pospieszył za nią, oburącz zagłuszając głośny jej upadek.

Cała ta walka człowieka z żelaznemi szczękami okna, nieobeszła się bez hałasu, i gdy Chicot powstał, znalazł się oko w oko z żołnierzem.

— Ah! dla Boga! czyś się nie skaleczył panie Chicot? spytał tenże nadstawiając mu ostrze swojej halabardy, zamiast podpory.

— Czy jeszcze! pomyślał Chicot, ale pomny na współczucie tego człowieka, odpowiedział.

— Nie, mój przyjacielu, bynajmniej.

— To szczęście, rzekł znowu żołnierz, niewiem czy kto inny potrafiłby takiej sztuki dokazać, nienakręciwszy karku; doprawdy, to tylko pana trzeba na to, panie Chicot.

— Ale skąd u licha wiesz jak się nazywam, pytał zdziwiony Chicot, usiłując iść dalej.

— Wiem, bo dzisiaj rano widziałem pana w pałacu i spytałem: Co to za wysoki jegomość rozmawia z królem? — To pan Chicot odpowiedziano mi, i stąd znam pana.

— Nie można być grzeczniejszym, mój przyjacielu, ale spieszo mi, pozwól więc...

— Co panie Chicot?

— Abym cię pożegnał i udał się za mojami interesami.

— Ale kiedy w nocy z pałacu wychodzić nie wolno, a ja mam rozkaz pilnować tego.

— Widzisz jednak że wolno, kiedy wyszedłem.

— Jest racya, to prawda, ale...

— Ale co?

— Pan wrócisz i na tem będzie koniec, panie Chicot.

— Ach! nie.

— Jakto nie?

— Tędy przynajmniej bardzo zła droga do powrotu.

— Gdybym był oficerem zamiast żołnierzem, za-

pytałbym pana dla czego tędy wyszedłeś; ale to do mnie nie należy. Powiniennem baczyć, abyś pan wrócił, i proszę abyś wrócił.

To mówiąc, żołnierz prośbę swą poparł tak przekonywającym dowodem, iż wzruszył Chicota.

W skutku tego Chicot znowu poszukał w kieszeni i wyjął z niej dziesięć pistołów.

— Zbyt jesteś oszczędny, mój przyjacielu, powiedział do żołnierza, i zapewne pojmujesz, że skoro podarłem odzież wychodząc tamtędy, to ją jeszcze gorzej podre wracając i chyba będę chodził nago, co byłoby bardzo nieprzyzwoitą rzeczą na dworze, posiadającym tyle młodych i ładnych kobiet, zaczawszy od królowej; przepuść mię zatem a pójdę do krawca.

I wetknął mu w rękę dziesięć pistołów.

— Idź więc panie Chicot, ale prędko, powiedział żołnierz i schował pieniądze.

Gdy się Chicot dostał na ulicę, stanął i zważał miejscowość. Udając się do pałacu, przeszedł był całe miasto, ale teraz musiał przebywać zupełnie przeciwną drogę, ponieważ wypadło mu wyjść inną bramą nie zaś tą którą przybył.

Noc jasna i wcale niepochmurna ucieczce jego nie sprzyjała, żałował więc mglistych nocy Francji, podczas których, o tej godzinie, na ulicach Paryża, jeden drugiego o cztery kroki nie widział, wreszcie na spiczastym bruku, gwoździami nabijane trzewiki Chicota, sztukwały jak końskie podkowy.

Tak więc za ledwie nieszczęśliwy poseł zawrócił na drugą ulicę, zaraz spotkał się z patrolem.

Stanął umyślnie, sądząc że wpadnie w podejrzenie, skoro zechce skryć się lub przejść gwałtem.

— A! dobry wieczór panie Chicot, rzekł mu dowódca patrolu, salutując go szpada, czy chcesz pan abyśmy go odprowadzili do pałacu, bo zdaje się, że zablądziłeś i nie możesz trafić.

— No proszę! czy wszyscy mię tutaj znają? szeptał Chicot. To coś dziwnego.

Poczem dodał głośno i najswobodniej.

— Mylisz się panie chorąży, ja nie idę do pałacu.

— To źle czynisz panie Chicot, poważnie odparł oficer.

— A to dla czego?

— Ponieważ bardzo surowy edykt zabrania mieszkańcom miasta Nérac, wychodzić w nocy, chyba tylko w razie konieczności, za pozwoleniem i z latarnią.

— Przebacz pan, powiedział Chicot, ale ten edykt mnie dotyczeć niemoże.

— Dla czego?

— Ponieważ nie jestem mieszkańcem miasta Nérac.

— Prawda, ale pan czasowo bawisz tutaj... Mieszkańcem nie nazywa się ten, kto pochodzi z.... ale ten który mieszka w.... A pan pewno niezaprzeczysz, że mieszkasz w Nérac, ponieważ spotykam pana na ulicy tego miasta.

— Bardzo logicznie pan rozumujesz, ale na nie-szczęście mnie bardzo pilno. Chciej więc pan odstąpić na ten raz od rozkazu i przepuść mię.

— To pan zablądziysz panie Chicot, Nérac ma

bardzo kręte ulice, możesz pan wpaść w jaką dziurę, potrzeba panu przewodnika, pozwól więc niech cię trzech moi ludzie odprowadzą do pałacu.

— Ależ powiadam panu, że nie idę do pałacu.

— A dokąd?

— Nie mogę sypiać, a więc przechadzam się. Nérac jest to bardzo przyjemne miasto, i jak mi się zdaje pełne niespodzianek; chcę więc obejrzeć je i bliżej poznać.

— To zaprowadzą pana dokąd pan zechcesz. Hola! trzech ludzi niech się przygotuje.

— Panie oficerze, zaklinam pana, nie pozbawiaj mię malowniczości mojej przechadzki; ja lubię sam chodzić.

— To pana jacy rabusie zamordują.

— Mam szpadę.

— Ach prawda! nie widziałem jej! To pana prevot przyaresztuje jako zbrojnego.

Chicot postrzegł, iż się próżnemi słowy z kłopotu nie wywikła; wziął więc oficera na stronę.

— Mój panie, rzekł mu, jesteś młody i przy stojny, i wiesz, że miłość to jest tyran surowy.

— Zapewne, panie Chicot, zapewne.

— Otóż! mnie miłość pali, oficerze. Muszę od wiedzieć pewną damę.

— A gdzie to?

— W pewnym cyrkule.

— Czy młoda?

— Ma lat dwadzieścia trzy.

— Czy ładna?

— Jak bogini miłości.

— Winszuję, panie Chicot.

— A więc pan mię przepuścisz.

— Bah, widzę, że muszę koniecznie.

— Tak, koniecznie mój panie.

— A więc idź pan.

— Ależ sam, nieprawdaż? Pojmujesz pan że nie mogę jej skompromitować?...

— Dobrze! dobrze... Idź pan, idź.

— Ale, panie oficerze, chciej mi powiedzieć zkąd mię znasz?

— Widziałem pana w pałacu u króla.

— Co to jest małe miasto! — pomyślał Chicot — gdyby mię w Paryżu tak dobrze znali, nieraz pewno miałbym skórę przedziurawioną zamiast kaftana!

I uściskał dłoń oficera, który mu powiedział:

— Ale, ale, w którą pan stronę idziesz?

— W stronę bramy Agen.

— A nie zabłądź pan.

— Alboż idę złą drogą?

— Owszem, idź pan tylko prosto i unikaj nieprzyjemnego spotkania, życzę panu tego.

— Dziękuję.

I Chicot ruszył zwawiej i weselej jak kiedykolwiek.

Ale nieuszędł i stu kroków gdy spotkał się ze strażą miejską.

— Do pioruna jak dobrze pilnują miasta! — pomyślał Chicot.

— Nie wolno tędy! — piorunującym głosem zawołał prewot.

— Ależ mój panie — zagadnął Chicot! — pragnąlbym jednak...

— Ah! to pan, panie Chicot, czegoż pan w tak zimną porę chodzisz po ulicach?

— No! to pewno musiał się kto założyć o mnie — pomyślał niespokojny Chicot.

I tak ukłoniwszy się chciał iść dalej.

— Strzeż się, panie Chicot — powiedział prewot.

— Czego panie urzędniku?

— Pan zapewne zbłądziłeś, bo pan idziesz ku rogatkom.

— A tak.

— W takim razie przyaresztuję pana.

— Ej nie, panie prewocie, tobyś pan dopiero pięknie się popisał.

— A jednak muszę?

— Przybliź się pan, mości prewocie, niech pańscy żołnierze nie słyszą o czem mówić będziemy.

Prewot przybliżył się.

— Słucham — rzekł.

— Król dał mi zlecenie do porucznika stojącego na straży w bramie Agen.

— Ah! ha! — rzekł zdziwiony prewot.

— Czy to pana dziwi?

— Tak jest.

— Jednak nie powinien byś dziwić się skoro mię znasz.

— Znam, bo widziałem pana w królewskim pałacu. Chicot tupnął nogą bo już niecierpliwić się zaczął.

To powinno przekonać pana, że posiadam zaufanie króla.

— Zapewne, zapewne; to idź, panie Chicot, nie zatrzymuję pana dłużej.

— Dziwna rzecz, ale przyjemna — pomyślał Chicot — wprawdzie zaczepiam po drodze o różne przedmioty, ale się jednak ciągle dalej toczę. *Ventre de biche!* otóż i brama, musi to być brama Agen; za pięć minut będę za miastem.

I rzeczywiście przybył do tej bramy strzeżonej przez placówkę przechadzającą się wzdłuż i wszerz z muszkietem na ramieniu.

— Przebacz przyjacielu — rzekł Chicot — ale zawołaj aby mi otworzono.

— Ja tu nie rozkazuję, panie Chicot — odpowiedziała placówka — bo jestem tylko żołnierzem.

— Czy i ty znasz mię? — w rozpaczny zawołał Chicot.

— Mam ten zaszczyt, panie Chicot, dzisiaj rano byłem na warcie w pałacu, i widziałem jak pan rozmawiał z królem.

— Otóż mój przyjacielu, skoro mię znasz, to dowiedz się o jednej rzeczy.

— O jakiej?

— Że król dał mi bardzo pilne zlecenie do Agen, otwórz mi zatem bramę.

— Uczyniłbym to z największą przyjemnością, panie Chicot, ale nie mam kluczy.

— A któż je ma?

— Oficer służbowy.

Chicot westchnął i zapytał.

— A gdzie jest ten oficer?

— O! niech pan sobie nie robi trudu—odparł żołnierz i pociągnął za sznurek od dzwonka, który przebudził śpiącego oficera.

— A co tam? — spytał tenże, wyglądając przez okno.

— Mój poruczniku, oto ten pan chce aby mu bramę otworzono i wypuszczono go na pole.

— Ah! przebacz pan, panie Chicot — zawołał oficer — bardzo mi przykro, że pan czekasz, ale zaraz służę.

Chicot wściekał się i gryzł paznokcie.

— Ah! czyż ani jednego nie znajdę któryby mię nie znał? To Nérac, to czysta latarnia, a ja to chyba świeca!

Oficer ukazał się we drzwiach.

— Przebacz, panie Chicot — rzekł, spiesznie zbliżając się—trochę zasnąłem.

— Nic nie szkodzi, mój panie, wszak noc na to służy aby spać; bądź pan tak dobry i każ mi otworzyć bramę. Ja na nieszczęście sypiać nie mogę. Pan zapewne wiesz, że król mię zna.

— Tak jest i widziałem dzisiaj rano, jak pan rozmawiałeś z królem.

— Tak właśnie—mruknął Chicot.—Ale chociaż pan widziałeś, to jednak nie słyszałeś o czem mówiliśmy.

— Nie, panie Chicot, nie słyszałem.

— Otóż król, rozmawiając ze mną, polecił mi,

abym tej nocy udał się do Agen w pewnym interesie; a to właśnie zdaje mi się jest brama Agen.

— Tak, panie Chicot.

— I zamknięta?

— Jak pan widzisz.

— Raczże mi pan otworzyć ją, bardzo proszę.

— I owszem, panie Chicot! Anthenas, Anthenas, otwórz bramę panu Chicot, tylko prędko!

Chicot wytrzeszczył oczy, spojrział jak nurek, który pięć minut pod wodą zabawiwszy, tylko co na wierzch jej wypłynął.

Brama skrzypnęła na zawiasach i otworzyła się przed Chicot'em jak wrota do raju, bo za nią widział już wszelkie rozkosze swobody.

Serdecznie uściskał oficera i udał się pod arkadę bramy.

— Do widzenia—rzekł—bardzo dziękuję.

— Do widzenia, panie Chicot, szczęśliwej podróży!

Chicot znowu uszedł parę kroków.

— Ale jakież ja roztrzępany — zawołał oficer, pośpieszając za nim i wstrzymując go za rękaw — zapomniałem zapytać pana, czy masz paszport.

— Jakto! paszport?

— A tak, jeżeli pan znasz wojskowe przepisy, musisz zapewne wiedzieć co to jest paszport? A z miasta takiego jak Nérac nie wolno wychodzić bez paszportu wydanego wprost od króla, zwłaszcza kiedy król przebywa w tem mieście.

— Przez kogóż powinien być podpisany ten paszport?

— Przez samego króla. Skoro więc król dał panu jakie zlecenie na prowincyę, musiał także dać i paszport.

— Ah! ha! więc pan wątpisz o tem, że mię sam kió' wyprawil — powiedział Chicot z zaiskrzonym okiem, bo widzial, że wszystkie jego zabiegi na niczem spelzną, a w zapamiętaniu chciał zabić oficera, odźwiernego i uciec przez otwartą bramę, bez względu, iż sto wystrzałów z muszkietów może go ścigać.

— O niczem nie wątpię panie Chicot, a mianowicie o trzech rzeczach, które mi pan objawić raczyłeś; lecz zważ pan, że jeżeli król dał panu zlecenie...

— Osobiście panie, osobiście!

— To zapewne wie, że pan ma wyjść z miasta.

— *Ventre de biche!* — zawołał Chicot — tak sędzę.

— Będę więc musiał doręczyć pański paszport gubernatorowi miasta.

— A któż jest tym gubernatorem? — spytał Chicot.

— Pan de Mornay, który wcale nie żartuje, jak to panu zapewne wiadomo, i który po prostu rozstrzelać mię każe za przekroczenie przepisów służby.

Chicot ze złośliwym uśmiechem pogladził rękojeść swojej szpady, lecz obejrzał się i postrzegł, że całą bramę otoczył ront zewnętrzny, który właśnie miał przeszkodzić jego wyjściu, gdyby mu się udało zabić oficera, placówkę i odźwiernego.

— No — pomyślał Chicot, westchnąwszy — głupiec jestem, przegrałem sprawę.

I na miejscu zawrócił.

— Czy chcesz panie Chicot aby cię odprowadzono—spytał oficer.

— Nie, dziękuję, to nie warto trudu.

Wracał więc sam, ale nie na tem skończyła się jego męczarnia.

Spotkał Prewota, który mu powiedział:

— A cóż to! panie Chicot, czy już załatwiłeś twoje zlecenie? Do licha! jakiś pan szybki!

Dalej oficer z patrolem zszedł się z nim na rogu ulicy i zawołał:

— Dobry wieczór, panie Chicot. A cóż ta owa dama... czyś kontent z miasta Nérac, panie Chicot?

Nakoniec żołnierz w krużganku, zawsze tego samego miejsca pilnujący, dogryzł go ostatniem docięciem, mówiąc:

— Do dyabła, panie Chicot, krawiec źle panu odzież naprawił i przebacz pan, ale teraz jest jeszcze bardziej podarta.

Chicot nie chciał obdzierać się ze skóry jak zając, przełaząc przez okno, położył się zatem podedrzwiemi i udał że śpi.

Przypadkiem, a raczej przez litość otworzono mu drzwi, i Chicot strudzony i upokorzony wszedł do pałacu.

Jego strapiona mina wzruszyła pazia, ciągle na swoim stanowisku zostającego.

— Kochany panie Chicot — rzekł tenże — czy chcesz abym ci to wszystko wyjaśnił?

— Chcę węzu, chcę—mruknął Chicot.

— Otóż! wiedz pan, że król tak pana kocha, iż nie chce puścić od siebie.

— I ty o tem wiedziałeś, rozbójniku, a nie uprzedziłeś mię.

— Nie mogłem, panie Chicot, nie mogłem, to była tajemnica stanu.

— Ależ ja ci zapłaciłem zbrodniarzu!

— O! przyznaj pan, że tajemnica warta była więcej jak dziesięć pistołów.

Chicot wszedł do swojego pokoju i zasnął ze wściekłości.

XXI.

Wielki łowczy króla Nawarry.

Margeritta opuściwszy króla, zaraz udała się do pokojów swoich dam honorowych.

Przechodząc, wzięła z sobą swojego lekarza Chirac, który sypiał w zamku i z nim udała się do biednej Fosseuse, która blada i wystawiona na ciekawe spojrzenia, narzekała na ból żołądka, nie chcąc pomimo ciężkich cierpień ani żadnej przyjąć pomocy, ani nawet odpowiadać na pytania.

Fosseuse miała w tym czasie najwięcej dwadzieścia jeden lat; była piękną i słuszną osobą z niebieskimi oczyma i jasnemi włosami, wysmukła i pełna

wdzięku; od trzech miesięcy tylko nie wychodziła prawie z mieszkania i narzekała na ociążałość; w tej chwili siedziała w ogromnym krześle i następnie przeszła do łóżka.

Chirac najprzód wyprosił obecnych i stając przy łożu chorej, pozostał sam z nią i z królową.

Fosseuse przełęczniona tym wstępem, któremu fizyognomie Chiraca i królowej, obiedwie zimne i obojętne, nadawały coś uroczystego, podniosła głowę z poduszki i wyjąkała podziękowanie za zaszczyt, jakim ją królowa, jej pani, obdarza.

Margeritta była bledszą od chorej; tak to obrażona duma więcej boli niż okrucieństwo, lub cierpienie.

Chirac pomacał puls dziewicy pomimo jej woli.

— Co pani?—zapytał po chwili namysłu.

— Żołądek mnie boli—odpowiedziała biedaczka—ale to przeminie upewniam pana, byłem tylko miała spokojność.

— Jaką spokojność?—zapytała królowa.

Fosseuse zalała się łzami.

— Nie smuć się panna — mówiła Margeritta — król polecił mi uspokoić cię.

— Ah! ileż dobroci!

Chirac puścił rękę chorej.

— A ja—rzecze—wiem jaka pani choroba.

— Pan wiesz?—drżąca zapytała Fosseuse.

— Tak, wiemy — dodała Margerita — wiemy, że wiele cierpisz.

Fosseuse wciąż lękała się, że jest na łasce dwóch obojętności, nauki i zazdrości zarazem.

Królowa dała znak lekarzowi, aby wyszedł z pokoju. Wtedy Fosseuse zadrżała i o mało nie zemdląła.

— Panno—rzecze królowa—choć od niejakiego czasu postępowałaś względem mnie niegodnie i chociaż donoszono mi, że mnie czynisz nienawistną mężowi...

— Ja, Najjaśniejsza pani?

— Nie przerywaj mi, proszę. Chociaż wyżej sięgałaś, aniżeli powinnaś, przyjaźń, jaką mam dla ciebie i szacunek jakim darzę twoje równiecniki, każe mi nieść ci pomoc w nieszczęściu, w jakim cię widzę obecnie.

— Pani, przysięgam.

— Nie zaprzeczaj, zanadto wiele już mam smutku; szanuj twój honor, który mnie równie jak ciebie obchodzi, bo do mojego dworu należysz. Powiedz mi wszystko, a matką będę dla ciebie.

— Ah! pani, czyż możesz wierzyć temu co mówią.

— Proszę cię, nie przerywaj mi, bo jak sądzę, mało nam czasu zostaje. Chciałam powiedzieć, że pan Chirac, który zna twoją chorobę, wszak słyszałaś co mówił dopiero? Pan Chirac jest w przedpokoju i powiada, że twoja choroba jest zaraźliwą, aby wszystkich tym sposobem oddalić. Tymczasem ja, póki czas jeszcze, zaprowadzę cię do Mas-d'Agenvis, który jest oddalonym domem króla, mojego męża; tam będziemy prawie same; bo król wyjeżdża na polowanie, na którym przez kilka dni zabawi: powrócimy z tego ustronia dopiero po twojem rozwiązaniu.

— Pani! — zawoła Fosseuse, zarumieniona ze

wstydu i bólu—jeżeli wierzysz co mówią o mnie, pozwól mi umrzeć spokojnie.

— Panno, źle odpowiadasz na moją wspaniałość i za wiele liczysz na przychyłność króla, który cię zlecił moim staraniom.

— Króla?.. czy król co mówił?

— Czy o tem wątpisz, gdy o tem mówię? Gdybym nie widziała symptomatów twojej choroby, gdybym z twoich cierpień, nie odgadywała bliskiego kryzysu, możebym twojemu zaprzeczaniu wierzyła.

W tej chwili, jakby na stwierdzenie zdania królowej, biedna Fosseuse napadnięta od bólów, z jękiem padła na łóżko.

Margeritta patrzyła na nią czas jakiś bez gniewu, ale i bez współczucia.

— Panno, czyż mam wierzyć twojemu zaprzeczaniu? — rzecze nakoniec do biednej dziewczyny, która nowe czyniąc wysilenie, zalała się łzami, któreby rozczuliły samą Katarzynę.

W tym czasie, jakby sam Bóg chciał przynieść pomoc nieszczęśliwej, drzwi otworzono i król Nawarry wszedł spiesźnie.

Henryk z tych samych co Chicot nie mogąc spać przyczyn, po całogodzinnej z Mornay'em pracy, po zrobieniu wszelkich przygotowań na zapowiedziane Chicot'owi łowy, udał się do apartamentu dam honorowych.

— A co—rzecze wchodząc—czy moja biedna Fosseuse cierpi jeszcze?

— Przekonaj się, Najjaśniejsza pani—zawołała.

cierpiąca, której widok kochanka nowych sił dodał—przekonaj się, że król nic nie mówił; zem dobrze uczyła zaprzeczając.

— Panie—przerwała królowa—zwracając się ku Henrykowi—zakończ błagam cię tę upokarzającą scenę; sądziłam, że Wasza K. mość dosyć masz we mnie zaufania i odkryłeś mi stan tej kobiety. Powiedz jej więc, że wiem o wszystkim.

— Moje dziecko—rzecze wtedy Henryk z czułością—czy chcesz jeszcze zaprzeczać?

— Tajemnica nie do mnie należy N, panie—odpowiedziała chora—i gdybym z twoich ust nie słyszała...

— Moja Fosseuse jest wyborną — odrzekł Henryk—przebac jej; błagam cię o to, ty zaś moja droga miej zaufanie w królowej; co do wdzięczności ta moim jest obowiązkiem.

Henryk ujął rękę Margeritty i z uczuciem ją uściskał.

W tej chwili nowy ból napadł dziewczę; uległa mu i jak lilia gnąca się pod burzą, skłoniła głowę z ciężkim jękiem.

Henryk rozczulony do głębi serca, kiedy ujrzał blade jej czoło i oczy zalane łzami, kiedy zobaczył pot ściekający po jej skroniach i twarzy; bezprzytomny z rozwartemi ramionami, rzucił się ku niej

— Fosseuse! kochana Fosseuse!—mówił, padając na kolana przy jej łóżku.

Margeritta ponura i milcząca stanęła w oknie prawie dotykając szyb twarzą.

Fosseuse znalazła tyle sił, że kochanka szyję ob-

jęła rękami, a następnie ustami jego ust dotknęła, sądząc, że w ostatnim uścisku, duszę swoją Henrykowi oddaje.

Następnie, padła bez zmysłów.

Henryk równie blady jak ona, nieporuszony i milczący, opuścił głowę i wsparł ją na łożku.

Margeritta zbliżyła się do nich.

— Powstań panie—rzecz do króla i pozwól mi dopełnić obowiązku, jaki na mnie włożyłeś.

Że zaś Henryk zdawał się nie słuchać tej mowy dodała:

— Nie lękaj się, skoro tylko moja duma jest obrażoną, mam dosyć siły; z sercem byłoby mi nie tak łatwo, ale szczęściem, serce nie ma tutaj żadnego udziału.

Henryk wznosił głowę.

— Pani?—rzecz.

— Ani jednego wyrazu więcej—odrzekła królowa z powagą, wznosząc rękę—jeżeli nie chcesz, abym sądziła, że twoje pobbżanie jest wyrachowaniem. Jesteśmy bratem i siostrą, zatem zrozumiemy snadnie.

Henryk przyprowadził ją do Fosseuse i rękę lodowatą chorej podał do dłoni.

— Jedź, jedź Najjaśniejszy panie na łowy. Wyjeżdżając wyprowadzisz z sobą ciekawych.

— Ale—odrzecz Henryk—nikogo nie widziałem w przedpokoju.

— Czy tak?—odpowie Margeritta z uśmiechem—zatem sądzisz, że tu zaraza. Spiesz więc mężu, gdzieindziej szukać zabawy.

— Zatem idź na łowy, ale dla nas obojga.

I czule spojrzawszy na Fosseuse prawie bezprzytomną, wybiegł z pokoju.

W przedpokoju wstrząsł głową, jakby resztę niespokojności chciał z siebie z rzucić; następnie ubrawszy twarz uśmiechem sobie właściwym, udał się do Chicota który, jakżeśmy powiedzieli spał wsparty na łokciach.

Król kazał sobie drzwi otworzyć i potrząsając śpiącym, rzecze:

— Żywo kumie, żywo, druga godzina, wstawaj!

— Co tam u dyabła?—rzecze Chicot—czy czasem Najjaśniejszy Panie nie bierzesz mnie za Gwizyusza?

W rzeczy samej, Henryk mówiąc o księciu Gwizyuszu, zawsze go kumem nazywał.

— Ja cię biorę za mego przyjaciela — odpowie król.

— A więzisz mnie, posła! Najjaśniejszy panie! gwałcisz prawa narodów.

— Czyś oszalał!—rzecze król—cóż ci tu złego, że chcesz uciekać?

— I owszem, bardzo mi dobrze; tuczą mnie jak gęś w kojcu. Wszyscy mię pieszczą, ale drzwi zamykają przedemną.

— Chicot, mój przyjacielu—rzecze król—uspokój się, nie jesteś na mój stół dosyć utuczonym.

— Najjaśniejszy panie—odpowie Chicot—bardzo cię widzę dzisiaj wesołym; co więc słyhać.

— Zaraz ci powiem; jadę na łowy, a zawsze jestem wesoły, kiedy poluję. Dalej kumeczku, wstawaj.

— Jakto? bierzesz mnie z sobą Najjaśn. panie?

— Będiesz moim historyografem.

— Będę zapisywał strzały.

— Właśnie.

Chicot potrząsał głową.

— Co ci to?—zapytał król.

— Nigdy na taką wesołość spokojnie nie patrzył.

— Ba!

Henryk zaczął się śmiać. Chicot jako człowiek dowcipny musiał mu towarzyszyć.

— Tak, nie inaczej, kiedy słońce pali...

— I cóż z tego?

— Deszcz i grzmoty i nie daleko.

Henryk z uśmiechem pogłaskał brodę i odpowiedział:

— Kiedy będzie burza, skryjesz się pod mój płaszcz, a on dosyć obszerny.

Następnie kiedy się Chicot ubierał, król zbliżył się do przedpokoju i zawołał:

— Konia! powiedzcie panu de Mornay że jestem gotowy.

— Ah! to pan de Mornay jest wielkim łowczym na to polowanie?—zapytał Chicot.

— Pan de Mornay jest tu wszystkim—odpowiedział Henryk.—Król Nawarry jest ubogi i wielu sług trzymać nie może. Ja mam tylko jednego człowieka.

— Tak, ale tęgiego—z westchnieniem zakończył Chicot.

XXII.

Łak na wilka polowano w Nawarze.

Chicot patrząc na przygotowania do odjazdu, zauważył, że łowy Henryka Nawarskiego mniej były okazałe jak króla francuskiego.

Dwunastu albo piętnastu szlachty, pomiędzy którymi poznał wice-hrabiego Turenusza, składało cały orszak Jego Królewskiej Mości.

Co więcej, ponieważ ci panowie nie byli bardzo bogaci i nie mogli mniej czynić potrzebnych wydatków, a często nawet i koniecznych, prawie wszyscy zamiast zazwyczaj używanego stroju myśliwskiego w owej epoce, mieli na sobie kurtki i zbroje, dla czego Chicot pytał czy wilki gaskońskie mają w lasach karabiny i armaty.

Henryk słyszał pytanie chociaż wprost do niego nie było skierowane; zbliżył się do Chicota i poklepał go po ramieniu.

— Nię, mój synu—rzecze—wilki gaskońskie nie mają muszkietów i armat, ale są dzikimi zwierzętami i mają pazury i zęby; że zaś myśliwych wciągają w knieje, potrzeba mieć mocne suknie, aby ich nie podrzeć; łatwo można poszarpać materję lub aksamit, ale zbroja się nie drze.

— Jest przyczyna — rzeczę Chicot przez zęby — ale nie ze wszystkiem dokładna.

— Lecz nie mam innej—odrzecze król.

— Muszę więc na tej poprzestać.

— Bardzo słusznie.

— A więc dobrze. Ale jak uważam, nie jesteś zadowolony, że cię wzięłem z sobą.

— Prawdę powiedziawszy, tak jest.

— I pokpiwasz sobie.

— Alboż to nie wolno?

— Bynajmniej, żarty są zwyczajną monetą w Gaskonii.

— Prócz tego Najjaśniejszy Panie, wiesz, że nie jestem myśliwym, a że muszę czemś się zatrudnić, parzę na myśliwych, którzy tak małą liczbą chcą wilka nastraszyć.

— Tak, tak—rzecze król z uśmiechem—naprzód odzież, potem myśliwi i ich liczba, żartuj, żartuj przyjacielu.

— Najjaśniejszy panie.

— Ale zrobię ci uwagę, że nie jesteś pobłażającym mój synu: Bearn nie jest tak wielkim jak Francya; tam, król z dwustoma myśliwemi udaje się na łowy, ja zaś jak widzisz, wyjeżdżam z dwunastoma.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Lecz—mówił dalej Henryk—myślisz, że przesadzam, słuchaj więc: tutaj, co rzadko tam się przytrafia, szlachta dowiedziawszy się, że jadę na łowy, opuszcza domy i zamki, łączy się ze mną i piękny niekiedy składa orszak.

— Przekonasz się, Najjaśniejszy panie, że nie bę-

dę miał szczęścia być przytomnym podobnej uroczystości—rzekł Chicot.

— Kto to wie?—odpowiedział Henryk z uśmiechem.

Następnie, kiedy minęto Nerac po pół godzinnej drodze, Henryk rzekł do Chicot'a:

— Patrz, Chicot, jeżeli się nie mylę, patrz.

— Na co?—zapytał Chicot.

— Patrz ku Moiras, zdaje mi się że jezdnych postrzegam.

Chicot wspiął się na strzemionach.

— Tak, Najjaśniejszy Panie—odpowie.

— A ja jestem pewny.

— Jezdni to prawda—rzecze Chicot, bacznie się wpatrując—ale nie myśliwi.

— Dla czego nie myśliwi?

— Bo są uzbrojeni jak Roland i Amadis—odpowiedział Chicot.

— Mój kochany Chicot, co strój znaczy? wszak przekonałeś się, że nie odzież stanowi myśliwego.

— Ale —zawołał Chicot—ja ich tam widzę ze dwustu.

— I cóż to stanowi? dowód, że Moiras dobrem jest miastem.

Chicot czuł coraz bardziej podnieconą swoją ciekawość.

Oddział, którego liczbę na dwieście koni ustanowił Chicot, w milczeniu połączył się z orszakiem królewskim; każdy z jezdnych dobrze był umontowany i uzbrojony, oddziałem zaś dowodził człowiek przyjemnej

powierzchności, który zbliżywszy się, ucałował rękę króla z grzecznością dworską i serdecznością zarazem.

Rzekę Gers przebyto wplaw; pomiędzy Gers i Garonną, spotkano znowu oddział ze stu ludzi złożony; dowódca zbliżył się do króla i przełożył niemożność przyprowadzenia większej liczby myśliwych. Henryk przyjął usprawiedliwienie podając rękę.

Puszczono się dalej w drogę i stanięto nad Garonną, przebyto ją wplaw również jak Gers, tylko że Garonna głębsza, na środku jej stracono grunt i musiano pływać; przecież na drugi brzeg dostano się bez wypadku.

— Przez Boga—rzecze Chicot—jakże ich ćwiczysz, Najjaśniejszy Panie? mając mosty z obu stron Agen, każesz im się jak rybom pluskać.

— Mój kochany — odpowie król—jesteśmy dziękami i wiele trzeba nam przebaczyć; wszak wiesz, że mój brat Karol odyńcem mnie nazywał; dzik zaś, ale nie wiesz o tem, bo nie jesteś myśliwym, nigdy z prostej drogi nie schodzi, i ja mając jego nazwisko, naśladuję go. Rzeka przedemną, przepływam ją, miasto przedemną, zjadam je jak pasztet.

Ten dowcip Bearneńczyka, wesoły uśmiech okolo niego obudził.

Tylko pan de Mornay, zawsze przy boku króla obecny nie śmiał się; przygryzł tylko usta, co u niego było oznaką wesołości.

— Mornay jest dzisiaj w dobrym humorze — rzecze Henryk do ucha Chicotowi — roześmiał się z mego konceptu.

Chicot zapytał siebie, z którego z dwóch śmiać się należało, czy z pana uszczęśliwionego że sługę rozśmieszył, czy z sługi tak trudnego do wesołości.

Wszystko jednak dla Chicot'a było nieodgadni-nem.

Z drugiej strony Garonny, o pół mili od rzeki, trzystu jezdnych, ukrytych w lesie jodłowym, ukazało się oczom Chicot'a.

— Najjaśniejszy Panie—rzecze cicho do Henryka—czy ci ludzie nie mają zamiaru stawić oporu zamierzonym łowom.

— Bynajmniej, mylisz się mój drogi, ci ludzie przebywający z Puymirol są mojami przyjaciółmi.

— Ale Najjaśniejszy Panie, większy będziesz miał orszak niż drzew w lesie.

— Mój kochany — odpowie Henryk — sądzę, że wieść o twojem przybyciu rozeszła się po kraju i ze wszystkich stron przybywają ciekawi aby uczcić posła króla francuskiego.

Chicot za nadto miał dowcipu, aby nie poznał, że od niejakiego czasu żartowano z niego.

Zasepił się nieco, ale nie obraził.

Zanocowano w Mornay, gdzie szlachta z okolicy, jakby uprzedzona, że król Nawarry będzie przejeżdżał, ofiarowała wieczerzę, w której Chicot z zadowoleniem znalazł udział, tem pewniej, że przez całą drogę dla tak drobnej rzeczy jak obiad, nie zatrzymywano się i od Nérac nic nie jedzono.

Dla Henryka przeznaczono najpiękniejszy dom w mieście: połowa za miastem.

— Kiedyż zaczniemy łowy?—zapytał Chicot Henryka, kiedy ten się rozbierał.

— Jeszcześmy nie przybyli na stanowisko, mój kochany Chicot—odpowiedział Henryk.

— A kiedyż przybędziemy, Najjaśniejszy Panie?

— Jakżeś ciekawy!

— Bynajmniej, ale każdy pragnie wiedzieć gdzie idzie.

— Jutro się dowiesz, mój drogi. Tymczasem, połóż się tu po lewej stronie, patrzaj jak Mornay już chrapie.

— Niespokojniej śpi jak wczoraj.

— Prawda, ale on mówić nie lubi; za to na łowach go widzieć trzeba i jutro go zobaczysz. Za ledwie dzień zaświtał, gdy tentent koni obudził króla i Chicota.

Stary szlachcic, który sam chciał usłużyć królowi, przyniósł mu grzanekę i wino grzane na śniadanie.

Mornayowi i Chicotowi przyniosła śniadanie służba szlachcica.

Po śniadaniu, zatrąbiono na koń.

— Dalej! dalej!—rzecze Henryk—dla nas dzień dziś ważny: na koń, panowie, na koń.

Chicot widział z podziwieniem, że pięćset jezdnych powiększało orszak.

Ci pięciuset przybyli w nocy.

— Ale to nie orszak, to nie oddział, ale armia, Najjaśniejszy Panie—rzecze.

Henryk tylko te wyrazy odpowiedział:

— Zaczekaj, jeszcze zaczekaj.

W Lauzerte sześćset pieszych przyłączyło się do jazdy.

— Piechota — rzecze Chicot.

— Obława, nie więcej tylko obława — odpowiedział król.

Chicot zmarszczył brwi i zamilkł.

Wielekroć spoglądał po polach, to jest wielekroć przychodziła mu myśl uciezki, zawsze miał przy sobie straż honorową i o uciezce myśleć było niepodobna.

Henryk to postrzegł bo mówił:

— Sam temu winienes kochanku, żeś pod strażą; chciałeś uciekać z Nerac, i teraz się lękam, abyś nie uciekł.

— Najjaśniejszy panie—odrzekł Chicot, daję ci słowo szlacheckie, że więcej o tem nie pomyślę.

— Dobrze.

— Prócz tego, źlebym uczynił uciekając.

— Dla czego?

— Bo widzę na ciekawe zanosi się rzeczy.

— Bardzo mię cieszy, że tak myślisz mój drogi, bo i moje takie jest zdanie.

W tej chwili przebywano miasto Monteng, w którym cztery polowe działa połączyły się z wojskiem.

— Wracam do pierwszej mojej myśli, Najjaśn. Panie—rzecze Chicot—że tutejsze wilki nie są pospolitemi i że się szczególnie z niemi obchodzić potrzeba, artylerya na wilki.

— Mój drogi — rzecze Henryk — jest to słabość mieszkańców tutejszego miasta, że od czasu jak im z Hi-

szpanii kazałem zdefraudować cztery działa, wszędzie je z sobą wólczą.

— Ale nakoniec, czy dziś tam przybędziemy? —

zapyta Chicot.

— Nie, jutro.

— Rano, czy w wieczór?

— Rano.

— Kiedy tak, to zapewne w Cahors będziemy polowali, wszak prawda Najjaśniejszy panie?

— Z tej strony—odrzekł Henryk.

— Kiedy Najjaśn. panie z kawalerją, piechotą i artylerją masz polować na wilków, dla czego zapomniałeś o chorągwiach? Zaszczyt jaki czynisz tym zwierzętom jest niezupełny?

— Niczego nie zapomniano mój drogi. Mamy chorągiew, tylko w futerale, żeby się nie zabrudziła. Jednakże kiedy kochanku chcesz wiedzieć pod jakim postępujesz znakiem, rozkażę go wydobyć. Hej! wydobyć sztandar, niech poseł króla francuzkiego zobaczy herb Nawarry.

— Nie potrzeba—rzecze Chicot—niech sobie będzie schowany.

— Dobrze, zobaczysz go na swoim miejscu i w swoim czasie.

Drugą noc przepędzono w Catus, prawie tak samo jak pierwszą, tylko, że Chicot dał słowo, że nie uciecze, nie zwracano już na niego uwagi.

Przeszedł przez wieś i udał się aż do przednich straży. Ze wszystkich stron oddziały po sto, dwieś-

cie, trzysta ludzi łączyły się. Noc ta była schadzka dla piechoty.

— To szczęściem, że nie idziemy do Paryża — rzecze Chicot — bo byśmy przyprawdzili sto tysięcy wojska.

Nazajutrz o ósmej rano, przybyło pod Cahors z tysiącem piechoty, i dwoma tysiącami jazdy.

Znaleziono miasto w stanie obronnym: szpiegi donieśli o siłach i pan Vesins przedsięwziął środki ostrożności.

— Ha! — rzecze król — gdy Mornay o tem mu doniósł — to źle, że nas uprzedzono:

— Trzeba formalnie oblegać N. panie — mówił Mornay — zaczekamy jeszcze na dwa tysiące ludzi, a tą siłą możemy szczęścia spróbować.

— Zwołajmy radę — odezwie się Turenusz — i zaczynajmy wyłom.

Chicot patrzył na to wszystko dziwnemi oczyma.

Zamyślona postać króla Nawarry utwierdziła go w podejrzeniach, że Henryk nie był wojakiem i ta myśl uspakajała go.

Król pozwolił wszystkim mówić i po wysłuchaniu rozmaitych zdań, milczał jak ryba.

Nagle ocknął się z zamyślenia, wznosił głowę i tonem rozkazującym rzecze:

— Panowie tak postąpić należy. Mamy trzy tysiące ludzi i dwóch się spodziewamy, wszak prawda Mornay?

— Tak N. Panie.

— Zatem pięć tysięcy, w formalnem oblężeniu, ubiją nam tysiąc, albo tysiąc pięćset we dwóch miesiącach; śmierć tych zniechęci innych i będziemy musieli ze wstydem odstąpić: cofając się stracimy tysiąc ludzi, to jest połowę sił naszych. Poświęćmy raczej pięciuset ludzi i weźmy Cahors.

— Jakto Najjaśniejsy Panie? — zapytał Mornay.

— Mój przyjacielu, pójdziemy prosto ku tej bramie która nas najbliższa. Znajdziemy fosse, zapchamy ją faszyną, zostawimy dwieście ludzi na placu, ale dostaniemy się do bramy.

— A potem co N. panie?

— Potem bramę wysadzimy, i Cahors nasze.

Chicot z trwogą spojrział na Henryka.

— Tak—ręce do siebie, tchórz i samochwalca, prawdziwy Gaskończyk, myśli że to tak łatwo.

W tym samym czasie, Henryk jakby słyszał mowę Chicota, dodał:

— Nie traćmy czasu panowie, zupa ostygnie. Kto mnie kocha, ten pójdzie za mną.

Chicot zbliżył się do Mornaya, z którym przez całą drogę nie miał czasu pomówić.

— Powiedz mi panie hrabio; — ręce mu do ucha—czy macie ochotę wszyscy wyginać?

— Król tak chce i wolę jego trzeba wykonać.

— Ale król zginie.

— Silną ma zbroję.

— Prócz tego myślę, że nie będzie się narażał. Mornay wzniosł ramiona i odwrócił się.

— Na honor—rzecze Chicot—wolę kiedy śpi niż kiedy czuwa, i kiedy chrapie niż kiedy mówi; wtedy przynajmniej jest grzeczniejszym.

XXIII.

Jak Henryk król Nawarry sprawił się pierwszy raz w ogniu.

Mała armia postąpiła aż na dwa strzały armatnie pod miasto; tam jedzono śniadanie.

Po posiłku, oficerom i żołnierzom pozwolono przez dwie godziny spocząć.

Była to trzecia po południu, to jest zaledwie dwie godziny dnia zostawało, kiedy król pod swój namiot przywołał oficerów.

Henryk był bardzo blady i kiedy rozprawiał, ręce drżały mu jak rękawiczki wywieszane dla wyschnięcia.

— Panowie — rzecze — przybyliśmy, aby wziąć Cahors; musimy więc je wziąć skorośmy po to przyszli, a wziąć musimy siłą, rozumiecie? to jest nie-szczędząc życia, ciała i żelaza.

— Wcale nie źle—pomruknął Chicot—i jeżeli słowa odpowiedzą czynom, ciekawe zobaczymy rzeczy.

— Pan Marszałek de Biron— mówił dalej Henryk—który przysiągł że wywiesza co do jednego Hu-

gonota, jest od nas o pięćdziesiąt mil odległy. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, pan de Vesins wyprawił do niego posła i za pięć dni z dziesięcioma tysiącami ludzi na karki nam spadnie. Tak więc, we dwa ognie nas wezmą. Weźmy więc Cahors i przyjmijmy go jak pan de Vesins nas przyjąć zamierza. Dalej panowie, staję na waszem czele i powiadam, strzały za grad uważajcie.

Jakkolwiek krótka przemowa, była dostateczną albowiem żołnierze i oficerowie odpowiedzieli na nią radośnemi okrzykami.

— Piękny mówca—rzecze do siebie Chicot—czysty Gaskończyk; szczęściem, że odpowiadają mu oklaskami; ale ciekawym co to będzie, kiedy przyjdzie do rzeczy.

Armia ruszyła pod wodzą Mornaya zająć stanowisko.

Kiedy ruszała z miejsca, król zbliżył się do Chicot'a.

— Przebacz mój przyjacielu — rzecze — oszukałem cię, mówiąc o łowach na wilki i inne drapieżne zwierzęta; ale musiałem tak czynić nawet według twojego zdania; król Henryk nie chce płacić posagu siostrze swojej Margot, a ona krzyczy i płacze o swoje Cahors; chcąc zaś mieć pokój w domu, trzeba czynić co żona żąda; musiałem więc udać się, aby wziąć Cahors.

— Dla czegoż N. panie nie zażądała od ciebie księżycy, kiedy jesteś tak usłużnym mężem — odparł Chicot obrażony królewskimi żartami.

— Nawetbym i tego spróbował mój Chicot, tak kocham moją Margot.

— Dosyć N. panie będziesz miał roboty z Cahors i zobaczymy jak się z niem sprawisz.

— Ah! Otóż to punkt, do którego zmierzałem; posłuchaj, drogi Chicot: chwila jest wyborną a nade wszystko stanowczą. O, ja nie obnażam swojego miecza; nie jestem odważny i natura moja wzdryga się przed każdą bitwą. Chicot, mój przyjacielu, nie śmieję się z biednego bearnńczyka, twego rodaka i przyjaciela: jeżeli stchórzę, a ty to spostrzeżesz, nie opowiadaj nikomu?

— Jeżeli najjaśniejszy pan stchórzy?

— Tak.

— Więc N. pan lęka się ażeby nie tchórzyć?

— Bez wątpienia.

— W takim razie, do licha, skoro to leży w naturze N. pana, pocóż leżeć w takie awantury?

— Ba, kiedy konieczność zmusza.

— Pan de Vesins jest człowiekiem strasznym.

— Wiem o tem niestety.

— Nie spardonuje nikomu.

— Tak sądzisz, Chicot?

— O, jestem tego pewien, pióra czerwone czy pióro białe—nie go to nie wzrusza; zawoła do armat: ognia!

— Stosujesz to do mojego pióropusza, Chicot?

— Tak, sire, a ponieważ N. pan sam tylko nosi tę barwę...

— Cóż tedy?

— Radziłbym zdjąć go.

— Ale mój drogi, wszak go włożyłem, ażeby mnie poznano, skoro go więc zdejmę..

— To?.

— To chybię celu, Chicot.

— A więc pomimo mojej rady, zatrzymasz go N. panie?

— Tak jest, bezwarunkowo.

Wymawiając te słowa, oznaczające dość chwiejne postanowienie, Henryk drżał jeszcze wyraźniej niż przy wydawaniu rozkazów swoim oficerom.

— Ależ nie—rzekł Chicot, który nic a nic nie rozumiał w tej podwójnej manifestacyi, tak różniącej się w słowach i w gestach—może jeszcze mamy dość czasu, nie trzeba robić szaleństw, sire nie może jechać konno w takim stanie.

— Jestem bardzo blady, Chicot?—spytał Henryk.

— Blady jak śmierć, sire.

— Dobrze!—rzekł król.

— Jakto dobrze?

— Z tem mi do twarzy.

W tej chwili dał się słyszeć huk armat od strony placu, w towarzystwie szalonej kononady z muszkietów: to pan de Vesins odpowiadał na propozycyą poddania się, uczynioną mu przez pana Duplesis-Mornay.

— A co — rzecze Chicot — co myślisz N. panie o tej muzyce?

— Myślę, że zimno aż mi po szpiku przeszło — odpowiedział Henryk—Konia! konia!—zawołał głosem chrapliwym i stłumionym.

Chicot patrzył i słuchał nie pojmując dziwnego zjawiska, jakie się przed jego oczyma okazywało.

Wsiadł na konia ale się dwa razy na nim poprawił.

— Dalej, Chicot — rzecze — i ty na koń, wszak i ty nie wojak?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Dobrze, razem będziemy patrzyli, konia, tylko dobrego konia dla pana Chicot.

Chicot wznosił ramiona i wsiadł na pięknego hiszpańskiego konia, którego mu stosownie do królewskiego rozkazu, przyprowadzono.

Henryk puścił się galopem, a za nim Chicot.

Przybywszy przed swoją małą armię, Henryk podniósł przyłbicę.

— Sztandar! gdzie sztandar—zawoła.

Zdjęto pokrowce i nowy sztandar z podwójnym herbem Nawarry i Burbonów, uroczyście rozwinał się w powietrzu; był on cały biały i z jednej strony miał na sobie złote łańcuchy w polu lazurowem, z drugiej lilie złote.

— Oto sztandar—rzecze Chicot—który się nie utrzyma, lękam się o niego.

W tej chwili działa twierdzy znowu zagrzmiały i o dziesięć kroków od króla ustęp znaczny ukazał się w piechocie.

— Do pioruna—rzecze—czyś widział Chicot? to coś smacznego.

I zaszczekał zębami.

— Słabo mi—rzecze Chicot.

— Ha!—rzecze Henryk—lękasz się słaba duszo; drzysz, zaczekaj, nauczę cię odwagi.

I zatapiając ostrogi w brzuch konia, wyprzedził artylerję, piechotę i kawalerję, przybył o sto kroków od wałów, ziejących morderczym ogniem, który odbijał się jak blask słońca we lśniącej jego zbroi.

Tutaj, zatrzymał konia przez kilka minut z twarzą zwróconą ku bramie i w końcu zawołał:

— Faszyny! na Boga! faszyny!

Mornay biegł za nim ze spuszczoną przyłbicą, i mieczem w dłoni.

Chicot pędził za Mornayem, lecz nie wy dobył pałasza.

Za niemi trzema, sunęli się młodzi hugonoci wołając.

— Niechaj żyje Nawarra!

Vice hrabia Turenusz szedł na ich czele z faszyną, którą trzymał na szyi konia.

Kiedy każdy rzucił swoją faszynę, fossa zapęłniła się.

Artylerya podbiegła i chociaż tracąc ludzi zdołała umieścić swoje petardy pod bramą.

Kule i kartacze gwizdały około Henryka i w jednej chwili, dwudziestu ludzi padło w jego oczach.

— Naprzód! naprzód! — zawoła i popędził konia w środek artyleryi.

I przybiegł na brzeg fossy wtedy, gdy pierwsza petarda miała wypalić.

Brama pękła w dwóch miejscach.

Artylerzyści zapalili drugą petardę.

Nowa szpara zrobiła się w drzewie; i w tej samej chwili przez potrójny otwór dwadzieścia wychyliło się muszkietów i wyrzuciło grad kul na oficerów i żołnierzy.

Ludzie padali około króla jak ścięte kłosa.

— Najjaśniejszy panie—mówił Chicot nie myśląc o sobie—zaklinam cię, oddal się.

Mornay nie mówił, ale był zadowolony ze swojego ucznia i kiedy niekiedy zasłaniał go, lecz Henryk go oddalał.

Nagle uczył Henryk, że pot stacza mu się po czole i mgła wzrok zasłania.

— Ah! przekłeta naturo—rzecze—nie powiedzą, że ty mnie pokonałaś.

I zeskoczył z konia wołając.

— Siekiery! prędzej siekiery!

I silną prawicą odbił lufy muszkietów, odbił kawały drzewa i gwoździe.

Nakoniec upadły drzwi, kawałek muru i stu ludzi w biegle wołając:

— Nawarra! Cahors nasze! Niech żyje Nawarra!

Chicot nieopuszczał króla; był z nim pod sklepieniem bramy gdzie Henryk wszedł pierwszy, lecz za każdym wystrzałem, widział go drżącym i skłaniającym głowę.

— Do diabła!—mówił Henryk gniewny—Chicot, czyś kiedy widział podobne tchórzostwo?

— Nie, Najjaśniejszy panie — odrzekł — nigdy tchórzea tobie podobnego nie widziałem; to straszne.

W tej chwili, żołnierze pana de Vesins usiłovali wyparować Henryka i jego straż przednią, którzy opanowali bramę i sąsiednie domy.

Henryk przyjął ich z orężem w dłoni.

Lecz oblegający byli silniejsi i udało im się odeprzeć Henryka za fosse.

— Do pioruna—zawoła król—zdawało mi się, że mój sztandar się cofa, w tem zdarzeniu sam go poniosę.

I w rzeczy samej, wrywając sztandar z rąk niosącego, wznosił go do góry i pierwszy wszedł do miasta otoczony swojemi.

— Teraz drżij niekzemny tchórze—rzecze.

Kule świszczały i odbijały się od jego zbroi i dziurawiły sztandar.

Panowie Turenusz, Mornay i inni wcisnęli się w wylamaną bramę pod przewodnictwem swojego króla.

Huk dział ustał, bo twarz w twarz, dłoń z dłonią ścierać się musiano.

Dalej słyhać było szczełk broni i głos pana de Vesins.

— Barykadować ulice, kopać rowy, zamykać domy.

— Oh!—rzecze Turenusz, który słyhał ten głos—oblężenie miasta skończone, mój biedny Vesins.

I jakby towarzysząc tym wyrazom, wystrzelił z pistoletu i ranił go w rękę.

— Jesteś w błędzie Turenuszu — odpowiedział

Vesins—dwadzieścia twierdz jest w Cahors, jeżeli jedna wzięta, dziewiętnaście zostaje.

Pan de Vesins bronił się przez pięć dni i pięć nocy z domu do domu, z ulicy na ulicę.

Szczeńciem dla świtającej fortuny Henryka Nawarskiego zanadto zaufał murom i garnizonowi i dla tego, nie przywołał Birona.

Przez pięć dni i pięć nocy, Henryk dowodził jak wódz i walczył jak żołnierz; przez pięć dni i pięć nocy sypiał na kamieniu i budził się z toporem w dłoni.

Codzień nową podbijał ulicę, nowy plac, nowy zaścianek; co noc, garnizon usiłował odbić zdobyczą dzienną.

Nakoniec, w nocy z czwartego na piąty dzień, nieprzyjaciel strudzony zdawał się pozwalać spoczynku armii protestanckiej. Henryk zaatakował z kolei; uderzył na jedno stanowisko, które go kosztowało siedemset ludzi; prawie wszyscy lepsi oficerowie byli ranni, Turenjusz dostał postrzał w ramię, Mornay otrzymał bliznę w głowę i o mało nie był zabitym.

Sam tylko król był całym! po trwodze jakiej doznawał z początku i którą tak mężnie pokonał, nastąpiło gorączkowe wzruszenie, szalona prawie odwaga. Zbroja była porąbaną, a razy jego były tak silne, że nie ranił, ale zabijał.

Kiedy ostatni punkt zdobył, król wjechał w obwód w towarzystwie Chicota, który milczący i ponury, patrzył od pięciu dni z rozpaczą na rosnące straszdyło, mające pochłonąć monarchję Walezyuszów.

— A co, Chicot?—rzecze król, wznosząc przyłbicę, jakby chciał czytać w duszy biednego posła.

— Najjaśniejszy panie — odpowie Chicot smutnie—myślę, że jesteś prawdziwie królem.

— A ja—zawołał Mornay—myślę, że jesteś N. Panie nieroztropnym wznosząc przyłbicę, kiedy jeszcze ze wszystkich stron strzelają, patrzaj, oto kula.

W rzeczy samej, kula odtrąciła kawałek pióra od hełma Henryka.

W tym samym czasie, jakby na potwierdzenie zdania Mornaya, król ujrzał się otoczonym przez kilkunastu muszkietarów ze straży rządzczy.

Byli ustawieni przez pana Vesins i strzelali celnie.

Ubito konia pod królem, a koniowi pod Mornayem nogę strzaskano.

Król upadł i dziesięć mieczy wzniosło się nad nim.

Chicot sam niewzruszony pozostał; zeskoczył z konia i swoim mieczem odpędził zuchwałych.

Następnie, podniosłszy króla, podał mu swojego konia i rzekł:

— Najjaśniejszy panie, zaświadczysz przed królem Francyi, że chociaż dobyłem miecza przeciwko niemu, nie dotknąłem nikogo.

Henryk ze łzami w oczach uściskał Chicot'a.

— Do pioruna! ty będziesz moim Chicot, ze mną żyć i umierać musisz. Moja służba tak dobra jak moje serce.

— Najjaśniejszy panie—odpowiedział Chicot—jedną mam tylko służbę na świecie, a tą jest mój monarcha. Prawda, jego gwiazda błednieje, ale mu będę

wiernym do końca. Pozwól niech jemu służę do śmierci i nie zazdrość mu ostatniego wiernego sługi.

— Chicot — odparł Henryk — jesteś mi drogim i świętym; upewniam cię, że po królu francuzkim ze mnie masz najlepszego przyjaciela.

— Dzięki ci N. panie—po prostu odpowiedział Chicot, całując z uszanowaniem rękę królewską.

— Teraz, jak widzisz mój przyjacielu, Cahors jest naszym. Pan de Vesins daremnie traci ludzi; bo ja raczej zginę, zanim się cofnę.

Groźba była zbyt uczynna i tyle poświęcać Henryk nie miał potrzeby. Wojsko jego pod dowództwem Tureniusza rozbroiło garnizon i ujęło Vesins'a.

Miasto poddało się.

Henryk wziął za rękę Chicota i przyprowadził do gorejącego domu, który mu służył za główną kwaterę, tam podyktował list panu de Mornay, aby go Chicot zawiózł królowi Francyi:

List ten napisany był lichą łaciną i kończył się temi wyrazy:

„*Quod mihi dixisti, profuit multum. Cognosco meos devotos, nosce tuos. Chicotus caetera expedit.*“

Co znaczy:

„To co mi mówiłeś, było bardzo użytecznem. Znam mnie wiernych, ty znaj twoich. Resztę Chicot ci powie.“

— A teraz, przyjacielu Chicot—mówił Henryk—uściskaj mnie, ale strzeż się poplamić, bom zakrwawiony jak rzeźnik. Ofiarowałbym ci część zwierzyny, ale widzę żebyś jej nie przyjął. Oto mój pierścień, przyj-

mij go i bywaj zdrów! Wracaj, dobrze cię przyjmą na dworze, gdy powiesz co widziałeś.

Chicot przyjął pierścień i odjechał. Przez trzy dni zdawało mu się, że we śnie marzy, dopiero przebudził się w Paryżu przed swoim domem, wprost którego pan de Joyeuse dawał serenadę.

XXIII.

Co działo się w Luwrze w tym czasie, kiedy Chicot wyjeżdżał do Nerac.

Konieczność, abyśmy szli za naszym przyjaciółom Chicot'em aż do końca jego posłannictwa, oddaliła nas od Luwru na długo, za co przepraszamy naszych czytelników.

Jednakże, na długo nie należy spuszczać z pamięci szczegółów przedsięwzięcia Vincennes i tego, który był jego przedmiotem.

Król walecznie uszedłszy niebezpieczeństwa, doświadczał owego wzruszenia, jakiego doznają najmężniejsze serca, kiedy już niebezpieczeństwo jest dalekiem; powrócił więc do Luwru nie do nikogo nie mówiąc, modlił się dłużej jak zwykle i poleciwszy się Bogu, zapomniał podziękować walecznym, którzy go od niebezpieczeństwa uchronili.

Następnie, położył się w łóżku z powszechnem podziwieniem, że się bardzo prędko rozebrał; rzec można, że potrzebował snu, aby po przebudzeniu, mieć weselsze i jaśniejsze myśli.

Dla tego, d'Epéron, który najdłużej przy królu pozostał, czekając na podziękowanie, wyszedł w bardzo złym humorze nie słysząc ani dziękczynnego wyrazu.

Loignac stojący przy aksamitnej firance i widząc przechodzącego d'Epérona, rzekł z gniewem do czterdziestu pięciu:

— Panowie, król już was nie potrzebuje, spać idźcie.

O drugiej rano, wszystko zasypiało w Luwrze.

Tajemnica przygody tym sposobem wiernie była dochowana i nikomu jej nie udzielono. Poczcivi mieszczanie paryscy chrapali sobie w najlepsze nie myśląc, że o mało nowa dynastia na tron nie wstąpiła.

Pan d'Epéron kazał się natychmiast rozebrać i zamiast, jak zwykle, biegać po mieście, poszedł za przykładem swojego miłościwego pana, kładąc się spać i nic nie mówiąc do nikogo.

Sam tylko Loignac, podobny do *justam et tenacem* Horacyusza, nie zaniedbał swoich obowiązków. Sam, mówimy, Loignac, obszedł strażę, ale bez zwykłej gorliwości.

Trzy lekkie przestąpienia karności okazano tej nocy, lekkie jak grzechy śmiertelne.

Nazajutrz, Henryk na którego przebudzenie tyle osób czekało, aby się dowiedzieć, czego się mają od niego spodziewać, nazajutrz, mówimy, Henryk, wypił za-

miast dwóch, cztery czaszki bulionu, i kazał uprzedzić panów d'O i Vilegnier, żeby przyszli do niego nad finansami pracować.

Królowa otrzymała zawiadomienie, aby sama obiadowała, że zaś była niespokojną o stan zdrowia Jego Królewskiej Mości, Henryk raczył odpowiedzieć, że w wieczór będzie przyjmował damy w swoim gabinecie.

Toż samo odpowiedziano królowej matce, która już od dwóch lat mieszkając w Soissons codzień o wiadomości przysyłała o syna.

Panowie sekretarze stanu spojrzeli na siebie z niespokojnością: król tego poranku tak był roztargniony, że ich wymagania ani jednego królewskiego nie wywołały uśmiechu.

Roztargnienie monarchy zawsze sprawia niespokojność sekretarzom stanu.

Za to, Henryk dużo igrał z mastrem Love, mówiąc za każdym razem ilekroć zwierzę bawiąc się z niem, kąsało go:

— Ah! buntowniku i ty mnie chcesz kąsać! Ah! niewdzięczny i ty przeciw twojemu królowi? więc wszyscy przeciwko mnie?

Następnie, Henryk z wysileniem podobnem Herkulesowemu kiedy pokonywał lwa Nemejskiego, uspakajał psa, mówiąc:

— Pokonany master Love! pokonany nikczemny spiskowy!

Panowie d'O i Vilegnier, mieniający się największemi dyplomatami na świecie nic nie mogli pochwycić oprócz

apostrofy do mastra Lowe. Henryk zupełnie milczał. Miał do podpisywania i podpisywał: miał do słuchania i słuchał z zamkniętymi oczyma jakby spał.

Nakoniec trzecia po południu wybiła.

Król kazał przywołać d'Epemon'a.

Powiedziano mu, że przeglądał lekką jazdę. Zapytał o Loignaca, powiedziano mu, że Loignac próbował koni limuzyńskich.

Sądono, że ta podwójna przeciwność rozgniewa króla; bynajmniej: król, nad wszelkie spodziewanie zaczął gwizdać, co czynił zwykle ilekroć zupełnie nie był zadowolony.

Widoczna, że król miał chęć gawędą wynagrodzić długie milczenie.

Chęć nie długo zmieniła się w konieczną potrzebę, lecz że nie miał z kim mówić, mówił więc sam do siebie.

Zażądał śniadania i kiedy jadł, kazał sobie czytać jaki moralny przedmiot, przerwał zaś czytającemu tem pytaniem:

— Wszak Plutarch pisał życie Sylli?

Czytelnik znający tylko religijne pisma, z zadziwieniem zwrócił się do króla.

Król powtórzył pytanie.

— Tak, N. Panie—odpowiedział czytający.

— Pamiętasz ten ustęp, w którym historyk opisuje jak dyktator uniknął śmierci.

Czytelnik wahał się z odpowiedzią.

— Dokładnie nie pamiętam — odpowie — dawno nie czytałem Plutarcha.

W tej chwili, zapowiedziano Jego Eminencyę Kardynała de Joyeuse.

Ah! doskonale — zawoła król — oto uczony, nasz przyjaciel, on nam powie dokładnie.

— Najjaśniejszy Panie—odpowie Kardynał—jakżem szczęśliwy, że przybyłem w porę. To rzadko trafia się na tym świecie.

— Zapewne, a czy słyszałeś moje pytanie.

Wasza K. Mość pytałeś, sądzę, jakim sposobem dyktator Sylla uniknął śmierci?

— Nie inaczej, czy na to możesz nam odpowiedzieć kardynale?

— Nie łatwiejszego N. Panie.

— Tem lepiej.

— Sylla, który tylu ludzi natracił, nigdy w bitwie nie narażał swojego życia, W. K. Mość zapewne mówisz o bitwie?

— Tak jest i w bitwie, którą stoczył, sądzę że widział śmierć zbliżoną. Weź Plutarcha, kardynale, tam to być musi, weź tłumaczenie pocziwego Amyot'a i czytaj ten ustęp życia Rzymianina, kiedy dzięki szybkości swojego konia, uniknął strzałów nieprzyjaciela.

— Najjaśniejszy Panie, na to nie potrzeba uciekać się do książki; wypadek ten miał miejsce w bitwie, którą stoczył z Teleseriaszem Samnitą, Lamponiuszem Luwanem.

— Musisz to wiedzieć, bo jesteś uczonym.

— Wasza K. Mość zanadto dla mnie jesteś łaskawym—odpowiedział kardynał, kłaniając się.

— Opowiedz więc kardynale, opowiedz.

— Karbon nieprzyjaciel Sylli często mawiał: „Mam do pokonania razem lwa i lisa, którzy mieszkają w duszy Sylli; z lisem mi jednak najtrudniej.

— Ah! tak—odpowiedział Henryk zamysłony— to był lis.

— Plutarch tak mówi, N. Panie.

— I ma słuszość, kardynale. Ale właśnie mówiąc o bitwach! czy miałeś wiadomość od twego brata.

— Od którego Najjaśn. Panie? bo wiesz, że ich mam czterech.

— Od księcia d'Arques, mojego przyjaciela.

— Jeszcze nie miałem, N. Panie.

— Bodajby tylko książę d'Anjou, który tutaj jest lisem, tam lwem być potrafił—rzecze król.

Kardynał nie odpowiedział; bo tym razem Plutarch nie mógł mu przyjść w pomoc; jako dworak lękał się nieprzyjemnie odpowiedzieć królowi, mówiąc korzystnie o księciu Andegawenskim.

Henryk widząc, że kardynał milczy, powrócił do zabawy ze swoim masterem Lowe; następnie dając znak kardynałowi, aby pozostał, ubrał się i przeszedł do sali, w której dwór czekał na niego.

Na dworach, również jak w górach umieją przeczuwać burzę; chociaż nikt nic nie mówił, każdy z obecnych był usposobionym stosownie do okoliczności.

Obiedwie królowe były niespokojne. Katarzyna blada i cierpiąca mówiła wiele a kłaniała się jeszcze więcej.

Ludwika de Voudemont nie patrzyła na nikogo i nic nie słuchała.

Były chwile, w których zdawało się, że ta młoda niewiasta rozum traci.

Król wszedł.

Miał oko żywe i rumieniec na twarzy; z powierchowności jego można było wnosić dobry humor, co wywarło taki wpływ na obecnych, jak ukazanie się słońca na poźółkłych kwiatach jesiennych.

Wszystko się rozjaśniło i rozzłoćiło.

Henryk pocałował w rękę matkę i żonę z tą samą grzecznością, jakby był jeszcze księciem Andegawenskim. Damom strzelał komplementami, do czego nie były bardzo przyzwyczajone, a nawet częstował je cukierkami.

— Byliśmy niespokojni o twoje zdrowie, mój synu—rzekła Katarzyna, przyglądając się królowi ze szczególną uwagą; aby się przekonać czy zdrowie nie jest tak udanem jak humor.

— Nie było o co — odpowie król — mam się jak najlepiej.

Tym wyrazom towarzyszył uśmiech, który przebiegł po wszystkich ustach.

Jakiemuż szczęśliwemu wpływowi, mój synu — zapyta Katarzyna, ze źle ukrytą niespokojnością—winięś polepszenie twojego zdrowia.

— Że się dosyć naśmiałem — odpowiedział król.

Wszyscy spojrzeli po sobie jakby król co nadzwyczajnego powiedział.

— Wiele się śmiałeś mój synu—rzecze Katarzyna ze znaczeniem—to znaczy żeś szczęśliwy.

— Pomimo tego śmiałem się.

— I cóż było powodem takiej wesołości?

— Muszę ci powiedzieć, moja matko, że wczoraj byłem w lasku Vincennes.

— Wiem o tem.

— Wiesz?

— Wszak wiesz, że cokolwiek ciebie dotyczy i mnie obchodzi.

— Otóż ja powiadam, jeździłem do lasku Vincennes, i kiedym wracał moi ludzie spostrzegli wojsko nieprzyjacielskie, które zdaleka błyszczało.

— Blisko domu pani de Montpensier?—zapytała Ludwika de Voudemont.

— Tak pani, blisko Bel-Esbat; zbliżyłem się odważnie do stoczenia walki i postrzegłem...

— Co takiego? powiedz N. Panie—zapytała królowa widocznie niespokojna.

— Oh! uspokój się, pani.

Katarzyna czekała niecierpliwie, ale się z tem nie wydawała.

— Spostrzegłem — mówił dalej król — cały klasztor mnichów, który prezentował przedemną broń z okrzykami wojennemi.

Kardynał Joyeuse śmiać się zaczął, cały dwór poszedł za jego przykładem.

— Śmieście się, śmieście, panowie i bardzo słusznie; we Francyi mam przeszło dziesięć tysięcy mnichów i mogę z nich tyleż mieć muszkietarów; wtedy, utwo-

rzę stopniowo wielkiego mistrza i tobie kardynale oddam dowództwo.

Chętnie je przyjmę, N. Panie, wszystko wykonam cokolwiek przyjemność sprawi W. Królewskiej Mości.

W czasie rozmowy króla z kardynałem, damy podług ówczesnej etykiety powstały i ukłoniwszy się królowi wyszły jedna za drugą; królowa udała się za niemi.

Królowa matka sama pozostała, w udanej bowiem wesołości syna, widziała jakąś do zbadania tajemnicę.

— Ah, kardynale—rzecze nagle król do prałata, który zamierzał wychodzić, widząc, że królowa matka mówić z nim pragnie—a cóż się dzieje z twoim bratem du Bouchage.

— Nie wiem, N. Panie.

— Jakto nie wiesz?

— Zaledwie go widuję—odrzekł kardynał.

Głos poważny i smutny odezwał się z głębi apartamentu.

— Jestem, N. Panie—rzekł ten głos.

— Ah! to ty.— zawołał Henryk, przybliź się hrabio.

Młodzieniec był posłusznym.

— Przez Boga—rzecze król, patrząc z podziwieniem na młodzieńca—to nie człowiek, ale cień.

— Najjaśniejszy panie, on za wiele pracuje—odezwał się kardynał, osłupiały zmianą jaka od ośmiu dni okazała się w jego bracie.

W rzeczy samej, du Bouchage był blady jak po-

sąg woskowy, ciało zaś pod suknią jedwabną zdawało się twardem i wychudłem.

— Pójdź tu, młodzieńcze—rzecze król.—Dziękuję ci, kardynale za cytacją z Plutarcha; w podobnem zdarzeniu miło mi będzie wywzajemnić się.

Kardynał odgadł, że król sam pozostać pragnie z Henrykiem i lekko się wysunął.

Król widział go jak wychodził i powiódł okiem po matce, która stała nieporuszoną.

W sali pozostała tylko królowa matka, d'Epernon i du Bouchage.

Przy drzwiach stał Loignac w pół dworak, w pół żołnierz, wypełniając służbę.

Król siedział i dał znak Bouchag'owi aby się zbliżył.

— Hrabio—rzecze do niego—czego się kryjesz za damy? czy nie wiesz, że lubię na ciębie patrzeć.

To dla mnie wielkie szczęście—odpowiedział młodzieniec z głębokim ukłonem.

— Kiedy tak hrabio, dla czegoż cię w Luwrze nie widać.

— Mnie, N. Panie?

— Tak jest, nawet żaliłem się o to przed twoim bratem kardynałem, który tak jest uczony jak nie sądziłem.

— Jeżeli W. K. Mość nie widzisz mnie — odpowie Henryk—to dla tego, że nie raczysz spojrzeć w róg sali; jestem tam codzien, ilekroć król się ukazuje. Codzien jestem przy wstawaniu W. K. Mości i witam cię z najgłębszem uszanowaniem. Nigdy nie chybiłem

i nigdy nie chybię póki żyć będę najświętszego dla mnie obowiązku.

— I to cię czyni tak smutnym — rzecze król łagodnie.

— W. K. M. tak nie sądzi.

— Bynajmniej ty i twój brat kochacie mnie.

— Najjaśniejszy panie!

— I ja was kocham. Czy wiesz, że admirał z Dieppe do mnie pisał?

— Nie wiedziałem o tem, N. Panie.

— A czy wiesz że smutny z odjazdu.

— Mówił mi, że niechętnie Paryż opuszcza.

— Tak, ale czy wiesz co mi pisze: że jest człowiek, któryby Paryża więcej żałował, i gdyby mu rozkazano wyjechać, chybaby umarł.

— Być może, N. Panie.

— Więcej mi jeszcze powiada (bo twój brat kiedy jest w dobrym humorze, to wiele mówi), że w podobnym wypadku, nie usłuchałbyś mnie, czy to prawda?

— W. K. Mość prędzej może widzieć mój zgon niż nieposłuszeństwo.

— Ale koniec końcem, nie umarłbyś, gdybyś wyjechał.

— Wiecejbym cierpiał, będąc nieposłusznym, niż umierając, a jednak—dodał skłaniając głowę — niewykonałbym twego rozkazu.

Król założył ręce i spojrzał na niego.

— Jesteś szalonym, mój biedny hrabio — rzecze.

Młodzieniec smutnie się uśmiechnął.

— Jestem nim, N. Panie i ty jesteś za nadto dobrym, że mnie oszczędzasz.

— A więc to na seryo, mój przyjacielu. Joyeuse stłumił westchnienie.

— Opowiedz mi wszystko, zobaczymy. Młodzieniec uśmiechnął się.

— Tak wielki monarcha jak ty, N. Panie, nie może zniżać się na słuchanie podobnych poufności.

— Niech będzie, opowiadaj, zabawisz mnie.

— N. Panie—odpowiedział młodzieniec z dumą— W. K. Mość się myli, muszę to powiedzieć; w moim smutku nie ma, coby mogło rozweselić szlachetne serce.

Król wziął za rękę młodzieńca.

— Nie gniewaj się, mój drogi—rzecze—ty wiesz, że i twój król zna miłość nieszczęśliwą.

— Wiem o tem, N. Panie.

— A więc podziela twoje cierpienia.

— To za nadto dobroci W. K. Mości.

— Bynajmniej. Słuchaj, ponieważ nie było na ziemi wyższego odemnie kiedy cierpiałem, nikt mi pomódz nie zdołał; ty zaś, mój drogi, masz pomoc we mnie.

— N. Panie.

— I dla tego—mówił dalej Henryk ze smutną czułością—możesz spodziewać się końca twoich cierpień.

Młodzieniec wstrząsł głową na znak powątpienia.

— Du Bouchage—rzecze Henryk—na honor, ty będziesz szczęśliwym, albo ja przestanę się nazywać królem Francyi.

— Szczęśliwy! ja szczęśliwy, N. Panie, to niepodobna—odpowie młodzieniec z uśmiechem pełnym goryczy.

— A to dla czego nie?

— Ponieważ moje szczęście nie jest na ziemi.

— Henryku—nalegał król — twój brat, odjeżdżając, polecił cię mnie jak przyjacielowi; chcę, ponieważ nie masz zaufania w braciach, abyś się mnie powierzył—upewniam cię, że na wszystko, oprócz śmierci, znajdziemy lekarstwo.

— N. Panie—odpowie młodzieniec, rzucając się do stóp królewskich—nie obdarzaj mnie dobrocią, której godnie odpowiedzieć nie mogę; na moje nieszczęście nie ma lekarstwa, a to złe jest moją jedyną pociechą.

— Du Bouchage, ty oszalałeś i powiadam ci, że się zabijesz urojeniami.

— Wiem o tem, N. Panie — spokojnie odpowiedział młodzieniec.

— Ale nakoniec — zawołał król z niecierpliwością — czy chcesz zawrzeć małżeństwo? Czy chcesz wpływ wyrzucić?

— Najjaśniejszy Panie, miłość natchnąć potrzeba: przekonaj się, że nikt na świecie tego dokazać nie może. Ja sam muszę ją otrzymać i otrzymać sam dla siebie.

— A więc czego rozpaczać?

— Bo wiem że jej nigdy nie pozyskam, N. Panie.

— Próbój, moje dziecię, próbój, jesteś bogaty;

młody, piękny; jakąż kobieta tym trzem urokom oprzeć się potrafi? nie ma takiej, zaręczam ci.

— Iluż ludzi na mojem miejscu błogosławiłoby W. K. Mość za twoją nieograniczoną dobroć, jakiej doznają. Być kochanym od króla, to jakby być kochanym od Boga.

— A więc słuchaj mnie, wyznaj wszystko, a ja uczynię moje starania, wierz com uczynił dla twego brata, więcej jeszcze uczynię dla ciebie. Sto tysięcy talarów jeszcze mnie nie wstrzyma.

Du Bouchage pochwylił rękę króla i ucałował ją.

— Niech W. K. Mość zapragnie krwi mojej—rzecze—a chętnie przeleję ją do ostatniej kropli, aby dowieść, że jestem wdzięczny za pomoc, którą odrzucam.

Henryk III odwrócił się ze złością.

— Wprawdzie—rzecze—ci Joyeuse są bardziej uparci niż Walezyuszowie, otóż on uparł się abym codzień patrzył na jego twarz wychudłą i zapadłe oczy, niby to co miłego!

— Najjaśniejszy Panie—zawołał młodzieniec—ubiorę twarz w rumieniec, usta uśmiechem i wszyscy będą myśleli, że jestem bardzo szczęśliwy.

— Tak, zapewne, ale ja będę widział, że tak nie jest i to mi przykreść będzie sprawiać.

— Zatem N. Panie, pozwól mi się oddalić—rzecze du Bouchage.

— Dobrze, moje dziecko, ale staraj się być mężczyzną.

Młodzieniec ucałował rękę królewską, uklonił się

królowej matce, przeszedł dumnie koło d'Epernona i wyszedł.

Zaledwie próg przestąpił, król zawołał:

— Nambu, zamknij drzwi.

Odźwierny, któremu dano ten rozkaz, ogłosił, że król już nie przyjmuje nikogo.

Wtedy, Henryk zbliżył się do d'Epernona i uderzając go po ramieniu, rzekł:

— Dzisiaj, rozdzielisz pomiędzy twoich Czterdziestu pięciu pieniądze i pozwolisz im bawić się przez cały dzień i noc. Chcę niech się ucieszą: ocalili mnie jak biały koń Sylłę.

— Ocalili? — zapytała z zadziwieniem Katarzyna.

— Tak, moja matko.

— Od czego?

— Zapytaj d'Epernona.

— Pytam ciebie samego, to sędzę, że lepiej.

— A więc dobrze. Nasza kochana kuzynka, siostra twojego przyjaciela Gwizyusza... Oh nie broń go pani, chociaż to twój przyjaciel.

Katarzyna uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: on mnie nigdy nie pojmie.

Król widział ten uśmiech, ściał zęby, a potem mówił dalej.

— Siostra twojego przyjaciela Gwizyusza zrobiła na mnie zasadzkę.

— Zasadzkę?

— Tak pani; wczoraj o mało mnie nie schwytano, może nie zamordowano.

— Gwizyusz! — zawołała Katarzyna.

— Czy pani temu nie wierzy?

— Przyznam się, że nie.

— D'Épernonie, mój przyjacielu, na miłość Boga, opowiedz całą przygodę królowej, mojej matce; gdybym sam mówił nie wierzyłaby, to by mnie gniewało, a nie mam już zdrowia.

I odwróciwszy się do Katarzyny, rzecze:

— Żegnam cię pani. Kochaj sobie Gwizyusza jak ci się podoba, ale jeżeli pamiętasz, już kazałem Salced'a stracić.

— Pamiętam.

— Niechże i panowie Gwizyusze o tem pamiętają.

To powiedziawszy, król z ulubionym swoim psem udał się do swoich apartamentów.

XXIV.

Czerwone i białe pióro.

Powróciwszy do ludzi, powróćmy nieco także do rzeczy.

Była to ósma wieczorem, i dom Roberta Briquet samotny i ponury rysował na cieniu swój dach trójkątny wśród szarego nieba więcej usposobionego na słotę jak pogodę.

Ten dom, z którego czuć było, że dusza wyszła, godnym był dopełnieniem owego tajemniczego domku o którym mieliśmy przyjemność mówić już naszym czytelnikom i który wznosił się wprost niego. Filozofowie, którzy powiadają, że rzeczy nieżywe nie mówią, nie czują, widząc te domy naprzeciw siebie, rzekłbyś, że one poziewają.

Nie daleko ztamtąd, słychać było wielki hałas pomieszanych głosów, jakby korybantki obchodziły tajemnice dobrej Bogini.

Zapewne ten hałas przyciągał do siebie młodzieńca w fioletowym kapeluszu z czerwonym piórem i w szarym płaszczu, pięknego jeźdźca, który się zatrzymywał i znowu zamyślony ze spuszczoną głową powracał przed dom Roberta Briquet.

Ta dzika symfonia składała się: naprzód ze szczęku rądli, powtóre z siekania, skwierczenia i pieczenia mięs; potrzenie, z krzyku pana Fournichon, właściciela zajazdu pod *pięknym rycerzem* zajętego staraniem o kuchni i w ostatku z piskliwego głosu pani Fournichon, porządkującej buduary w wieżyczkach.

Kiedy młodzieniec w fioletowym kapeluszu dobrze się przypatrzył ogniewi, nawąchał zapachu pieczonego i nazagładał za firanki, powracał i znowu badać zaczął.

Pomimo, że jego krok na pierwszy rzut oka zdawał się swobodnym, była granica, której przechadzający się nie przekraczał: tą granicą był rynsztok dzielący ulicę przed domem Roberta Briquet i kończący się przed tajemniczym domem.

Trzeba także dodać, że ilekroć przybywał nad tę granicę, spotykał czujną straż, innego młodzieńca, prawie tego samego co on wieku w czarnym kapeluszu z białym piórem, płaszczu fioletowym, okiem wlepionem i ręką na rękojeści szabli, jakby chciał mówić jak olbrzym Adamastor:

— Nie pójdziesz dalej spokojnie.

Młodzieniec z piórem czerwonym, to jest pierwszy, któregośmy wprowadzili na scenę, przeszedł ze dwadzieścia razy, nie nie zważając, tak bardzo był zajęty. Zapewne widział on człowieka chodzącego po ulicy, lecz widząc go porządnie ubranym i nie mając go za złodzieja byłby zupełnie spokojnym, gdyby nie widział co się dzieje pod pięknym jeźdźcem.

Drugi przeciwnie, ilekroć powracało pióro czerwone krył się w cień, a tem samem czynił widoczniejszym swoje białe pióro i zwracał na siebie uwagę czerwonego.

Podniósł głowę i wyczytał na twarzy tego, który był przed nim, złą wolę, jaką zdawał się mieć względem niego.

To naturalnie wprowadziło na myśl, że był natrętnym młodzieńcowi, a ta myśl obudziła chęć dowiedzenia się dla czego natrętnym.

Zatem więc uważnie przypatrywał się domowi Roberta Briquet.

Następnie, z tego domu, przeszedł do przyległego.

Nakoniec, kiedy jednemu i drugiemu dosyć się napatrzył, nie troszcząc się, albo raczej nie zdając się uważać dla czego młodzieniec z białym piórem patrzył

na niego, odwrócił się i powrócił ku pachnącym kuchniom Fournichon'a.

Białe pióro uradowane, że pokonało przeciwnika, bo odwrócenie się uważało za porażkę, białe pióro, mówimy, zaczęło postępować swoją drogą, to jest z południa na zachód, kiedy drugie postępowało z zachodu na południe.

Lecz kiedy każde z nich przybyło do punktu środkiem oznaczonego, zwracało się i szło w prostej linii jedno na drugie, że gdyby nie ów rynsztok, nowy Rubikon, który przebyć było potrzeba, byłiby się niezawodnie zetknęli, tak obadwa w prostej postępowali linii.

Mężczyzna z białym piórem pokręcił wężą z oznakiem widocznej niecierpliwości.

Mężczyzna z czerwonym piórem przybrał wyraz zadziwienia i znowu spojrzął na dom tajemniczy.

Wtedy można była zauważyć, że mężczyzna z białym piórem ma zamiar przebyć Rubikon, lecz czerwone pióro cofnęło się i chód wsteczny znowu się rozpoczął.

Przez pięć minut sądzić było można, że zejda się chyba u antypodów, wkrótce jednak obadwa się zawrócili.

Jak dwie chmury, któremi pędzą przeciwnie wiatry, tak dwaj przechodzący stanęli na przeciw siebie w zamiarze nie cofania kroku.

Mężczyzna z białym piórem więcej niecierpliwy przekroczył rynsztok i natarł na przeciwnika, który nie spodziewając się napadu, mając ręce założone pod płaszczem o mało nie stracił równowagi.

— Panie, czy oszalałeś!—zawoła zaczepiony—dla czego mnie znieważasz?

— Chcę ci dać poznać, że jesteś natrętnym, zdawało mi się, że ci tego mówić nie będę potrzebował i że to sam postrzeżesz.

— Są jednak rzeczy, które zwracają twoją uwagę i na które patrzysz.

I łącząc poruszenie ze słowem, młodzieniec z białym piórem wy dobył miecz, który błysnął przy świetle księżyca, ukazującego się z po za chmury.

Czerwone pióro zostało nieporuszone.

— Moznaby mówić—rzecze—że pierwszy raz wy dobyłeś miecza z pochwy, tak go spiesznie wy dobywasz przeciwko temu, który się nie broni.

— Ale sądzę, że bronić się będzie.

Człowiek z czerwonym piórem uśmiechnął się ze spokojnością, która podwoiła gniew przeciwnika.

— Dla czego i jak pan możesz zabraniać mi przechodzić po ulicy?

— Dla czego przechodzisz po tej?

— Piękne pytanie! bo mi się tak podoba.

— Panu się podoba?

— Zapewne; wszakże się i pan przechadzasz; chyba, że masz wyłączone pozwolenie od króla szlifowania bruku przy ulicy Bussy?

— Czy mam, czy nie, mniejsza o to.

— Wcale nie mniejsza, przeciwnie, jesteś pan w błędzie; ja jestem wiernym poddanym Jego Królewskiej Mości i nie chcę przestępować jego rozkazów.

— Jak widzę, pan żartujesz.

— Chociażby i tak? a pan grozisz.

— Do szatana! powiadam panu, że mi jesteś natrętnym i jeżeli się nie oddalisz dobrowolnie zmuszę cię siłą.

— Zobaczymy.

— I ja powiadam, zobaczymy.

— Powiadam panu, że mam osobisty interes w tej części miasta. Teraz, jeżeli jesteś upartym, możemy się spróbować, ale się nie oddalę.

— Panie — rzecze mężczyzna z białem piórem wywijając mieczem i stawając do walki—nazywam się hrabia Henryk du Bouchage, jestem bratem księcia de Joyeuse, pytam cię więc, czy chcesz ustąpić.

— Panie — odparł mężczyzna z czerwonym piórem—nazywam się vice-hrabia Ernauton de Carmainges; zupełnie mi pan nie jesteś natrętnym i zezwalam, abyś tu pozostał.

Du Bouchage rozważał przez chwilę i miecz schował do pochwy.

— Przebacz mi pan—rzecze—jestem w pół bezrozumny będąc rozkochanym.

— I ja jestem rozkochany, ale dla tego nie zwaryował.

Henryk zbladł.

— Pan rozkochany?

— Tak panie.

— Przyznajesz.

— A od jakiegoż to czasu kochać jest zbrodnią?

— Ale kochać na tej ulicy?

— Nawet i na tej ulicy.

— Na Boga, błagam cię, panie, powiedz kogo kochasz?

— Ah! panie du Bouchage, nierozmysłne zadałeś pytanie; wiesz, że szlachcic nie może zdradzić tajemnicy, która w połowie tylko do niego należy.

— Prawda, prawda, przebacz mi panie de Carmainges, ale i to prawda, że nademnie nie ma nieszczęśliwszego pod słońcem.

Tyle było boleści i rozpaczy w tych wyrazach, że Ernauton był niemi rozczulony.

— Rozumiem; pan lękasz się, abyśmy nie byli współzawodnikami.

— Tak, lękam się.

— A więc—rzecze Ernauton—ja będę szczerym. Joyeuse zbladł i ręką potarł czoło.

— Ale — mówił dalej Ernauton — ja mam naznaczoną schadzkę.

— Schadzkę?

— Tak.

— Na tej ulicy?

— Na tej ulicy.

— Czy na piśmie?

— Tak, nawet bardzo ładną ręką.

— Kobiecą?

— Mężką.

— Mężką? co to ma znaczyć?

— Nic innego jak to, co mówię. Mam schadzkę z kobietą przez list pięknie napisany, ale ta kobieta, jak się zdaje, ma sekretarza.

— Kończ pan, kończ na Boga—mówił Henryk.

— Pan tak czule prosisz, że ci odmówić nie można; powiem ci więc treść listu.

— Słucham.

— Zobaczysz czy ta sama.

— Dosyć panie, miej litość, mnie nieznaczono schadzki; ja nie otrzymałem listu.

Ernauton wyjął z kieszeni mały papierek.

— Oto bilecik—rzecz—trudno mi go przeczytać po ciemku; ale krótki i umiem go na pamięć; osądź czy cię on obchodzi.

— Dobrze.

— Oto treść jego.

„Panie Ernauton, mój sekretarz ma poleczone powiedzieć ci, że mam interes mówić z tobą, twoja wartość zwróciła moją uwagę.

— Czy tak?—zapytał du Bouchage.

— Nie inaczej, nawet wyrażenie to podkreślone opuszczam drugie mniej pochlebne.

— Ja czekam jak pan widzisz.

— Kiedy tak, to panu drzwi otworzą.

— Bynajmniej; mają przez okno gwizdnąć trzy razy.

Henryk cały drżący wsparł się na ramieniu Ernautona, a drugą ręką wskazał dom tajemniczy.

— Czy ztamtąd?—zapyta.

— Bynajmniej—odpowiedział Ernauton, wskazując wieżyczki pod *pięknym Rycerzem*—ztamtąd.

Henryk wydał okrzyk radości.

— Ale tutaj pan nie pójdziesz?—rzecz:

— List wyraźnie wskazuje zajazd pod *pięknym Rycerzem*.

— Dzięki ci, panie—rzecze młodzieniec, ściskając mu rękę. Oh! przebacz mojej niegrzeczności i mojemu głupstwu. Wiesz dobrze, że dla mężczyzny, który szczerze kocha, nie ma oprócz jego ulubionej; widząc cię zaś chodzącym około tego domu, sądziłem, że ona czeka ciebie.

— Nie mam panu co przebaczyć — odpowie Ernauton z uśmiechem—albowiem przez chwilę te same co tobie, przychodziły mi myśli.

— I nic mi nie mówiłeś? oh! ty nie kochasz!

— Na honor, posłuchaj pan, nie miałem prawa, i zanim się gniewać, potrzebowałem objaśnienia. Te wielkie panie są dziwaczki, często lubią mistyfikować.

— Dobrze, dobrze, Panie Carmainges, ale ty jak ja nie kochasz... jednakże...

— Co jednakże?—powtórzył Ernauton.

— Jednak jesteś szczęśliwszym.

— Ah! to okrutni ludzie w tym domu?

— Panie de Carmainges — rzecze Joyeuse — od trzech miesięcy jak szaleję za tą kobietą, a jeszcze nie miałem szczęścia słyszeć jej głosu.

— Do dyabła! toś pan nie daleko. Ale słuchajmy.

— Czego?

— Czy nie gwizdano?

— Zdaje mi się, że coś słyszałem.

Gwizdnięcie w kierunku domu pod *pięknym Rycerzem* dało się słyszeć.

— Panie Hrabio, przebacz, że cię opuszczam —
rzecze Ernauton—oto mój znak.

I trzeci raz gwizdnięto.

— Idź pan — rzecze Henryk — dobrego powo-
dzenia.

Ernauton spiesznie się oddalił, a Henryk widział
go niknącego w cieniach nocy, następnie, ukazującego
się w świetle, jakie wydawały okna zajazdu pod *pięk-
nym Rycerzem*.

Co do niego, posępniejszy jak wprzód, bo ten
rodzaj walki wyrwał go z letargu.

— Dalej—rzecze—prowadźmy zwykle rzemiosło,
pukajmy jak zwykle do drzwi, które się nie otwierają.

I mówiąc te słowa, postąpił chwiejający się ku bra-
mie tajemniczego domu.

XXV.

Drzwi się otwierają.

Kiedy Henryk przybył do drzwi tajemniczego do-
mu, zwykle wahanie znowu go opanowało.

— Odwagi—rzecze sam do siebie—pukajmy!

I jeszcze krok postąpił.

Ale nim zapukał, raz jeszcze spojrzął za siebie
i widział na drodze odbłysek światła z okien zajazdu.

— Tam—rzecze—przebywają dla miłości i rozkoszy ludzie, których przyzwano, a którzy tego nawet nie żądali.

Dla czegoż nie mam spokojnego serca i wesołego uśmiechu? I ja wszedłbym tam może zamiast tutaj napróżno czekać.

Dzwonek z Saint-Germain des-Prés melancholicznie odezwał się w powietrzu.

— Dalej, oto druga wybiła—rzekł Henryk.
Stanął na progu drzwi i podniósł młotek.

— Straszne życie—rzecze — życie starca. Ah! kiedyż będę mógł powiedzieć: śliczna śmierci, rozkosz na śmierci, witaj!

I dwakroć młotkiem uderzył.

— Tak rzecze, słuchając—oto skrzypienie drzwi wewnętrznych, szelest po schodach i stąpanie zawsze to samo.

I powtórnie zapukał.

— Jeszcze raz—rzecze—raz jeden i ostatni, chód staje się coraz lżejszym, służący patrzy przez kratę, widzi moją bladą złowróżbą postać i oddala się nic nie mówiąc i nie otwierając.

Zupełna cichość usprawiedliwiła przepowiednie nieszczęśliwego młodzieńca.

— Żegnam cię, domie okrutny, żegnam do jutra!
I schylając się tak, aby czołem dotknął kamiennego progu, serdeczny złożył na nim pocałunek tak, że zadrział twardy granit, mniej jednak twardy niż serca mieszkańców domu.

Następnie, jak wczoraj, jak jutro miał uczynić, oddalił się.

Lecz za ledwie dwa kroki wtył zrobił, aż oto drzwi skrzypnęły, otwarły się i służący nisko się skłonił.

Był to ten sam, któregośmy opisali w czasie widzenia się z Robertem Briquet.

— Dobry wieczór panu—rzecze głosem chrapowatym, który jednak, zdawał się Bouchagowi przyjemniejszym niż wszystkie chóry anielskie, o których marzymy w młodości.

Henryk drżący bezprzytomny zbliżył się z pośpiechem i składając ręce, zachwiał się tak widocznie, że służący przytrzymał go, aby nie upadł na prog, wszystko to uczynił z wyrazem pełnym uszanowania i litości.

— Otóż jestem, mój panie — rzecze — powiedz mi czego żądasz.

— Tyle kochałem—odpowiedział młodzieniec, że nie wiem nawet czy Kocham jeszcze. Moje serce tak mocno biło, że nie wiem czy bije jeszcze.

— Czy raczysz pan—rzecze służący z uszanowaniem—usiąść przy mnie i pomówić.

— Najchętniej.

Służący dał znak ręką. Henryk był posłuszny temu znakowi.

— Mów pan—rzecze służący, kiedy usiedli—i powiedz czego żądasz.

— Mój przyjacielu—odpowie du Bouchage—nie pierwszy raz widzimy się i nie pierwszy raz mówimy z sobą. Kilkakroć pochwyciłem cię na załamku

ulicy i ofiarowałem tyle złota, że najchciwшему byłoby dosyć, kilkakroć chciałem cię nastraszyć, a nigdy nie chciałeś mnie słuchać, nie chciałeś na mnie patrzeć i nie ulitowałeś się widocznych moich cierpień. Dzisiaj, pozwalasz, abym mówił z tobą, abym powiedział czego żądam; jakaż szczęśliwa zmiana, albo raczej jakie nowe nieszczęście czyni cię dla mnie powolniejszym?

Służący westchnął. Widać że miał serce, a nawet czułe pod twardą powłoką.

Westchnienie to posłyszane od Henryka, natchnęło go odwagą.

— Wiesz—mówił dalej — że kocham i jak kocham; widziałeś mnie, jak goniłem za pewną damą i pomimo jej usiłowań zdołałem jej odkryć prawdę; w największych cierpieniach gorzki nie wyrwał mi się przeciw niej wyraz, w najokropniejszych boleściach nie przyszło mi na myśl użyć gwałtu jaki rozpacz podaje.

— Prawda, mój panie — odpowie służący — i w tym względzie moja pani i ja oddajemy ci słuszość.

— Przyznaj więc—mówił dalej Henryk ściskając rękę służącego — czyż nie mogłem kiedykolwiek gdyście wzbronili wejścia do domu, wyważyć drzwi i wejść gwałtem, jak czynić zwykli pijani lub szaleni? Wtedy, chociaż przez chwilę, widziałbym tę kobietę i mówił z nią.

— I to jeszcze prawda.

— Nakoniec—mówił dalej młody hrabia ze słodyczą i smutkiem nie do opisania — wszakże jestem

czemś na świecie, majątek mam znaczny, król sam mnie proteguje; niedawno nawet król żądał odemnie wyznania cierpienia i pomoc swoją przyrzekał.

Służący westchnął z widoczną niespokojnością.

— Ale nic nie chciałem, wszystko odrzuciłem; ale przyszedłem błagać ze złożonymi rękami, aby się dla mnie otworzyły te drzwi, które zawsze były zamknięte.

— Panie hrabio, pan masz zacne serce i godzien jesteś kochania.

— Otóż?—przerwał Henryk z boleścią—ten człowiek o zacnem sercu i jak sam powiadasz, godzien kochania, jakież męki znosi? Co rano posłałem z listem mego paza, odprawiają go z niczem; co wieczór sam przychodzę kołatać do tych drzwi i co wieczór są dla mnie zamknięte; każą mi cierpieć, każą mi rozpaczać! Ta kobieta bawi się mojem cierpieniem, ta kobieta nie ma serca, bo gdyby je miała, zabiłaby mnie jednym odmownym wyrazem; a wtedy mniejbym cierpiał daleko.

— Panie hrabio—odpowie służący po pilnem wysłuchaniu tego co mówił młodzieniec—kobieta, którą oskarżasz, że nie ma serca i że jest okrutną, cierpi także, widziała cię, pojęła twoje boleści i sympatyą uczuwa dla ciebie.

— Zapewne, litość—zawołał młodzieniec, obcierając zimny pot płynący ze skroni.—Oh! przyjdzie czas, że owo serce, które wystawiasz, uczuje miłość taką jak moja. Jeżeli zaś za tę jej miłość odpłacą tylko litością, będę pomoszony.

— Panie hrabio, to nie dowód, że się nie kocha, gdy się nie odpowiada miłości; ta kobieta znała może silniejszą niż twoja namiętność, ta kobieta kochała, jak ty może nigdy nie będziesz.

Henryk wznosił ręce do góry.

— Kto raz kocha, kocha na zawsze!—zawołał.

— A czy panu mówiłem, że już nie kocha? — zapytał służący.

Henryk wydał krzyk bolesny i zachwiał się na nogach.

— Kocha—zawołał—kocha, o Boże!

— Tak jest kocha, ale nie zazdrość pan ukochanemu przez nią mężczyźnie, panie hrabio, ten człowiek już nie należy do tego świata; moja pani jest wdową—dodał z politowaniem, sądząc, że tem uspokoi boleść młodzieńca.

I w rzeczy samej, jakby czarem, te słowa powróciły mu życie i nadzieję.

— W Imie Boga — rzecze — nie opuszczaj mnie, wdową jest mówisz? zapewne nie dawno, zatem oschną jej łzy zapewne. Wdową, mój przyjacielu, zatem nie kocha nikogo, ponieważ kocha trupa umarłego, to jest może dać jeszcze nadzieje. Oh! Boże, wszak wszystkie przemijają boleści, wszak czas wszystko leczy! kiedy wdowa Mauzola wieczną przysięgała boleść nie wiedziała, że jej łzy się wyczerpią.

Służący potrząsł głową.

— Ta pani, panie hrabio—odpowie — jak wdowa po Mauzolu wieczną przysięgła wiare i znam ją, że dotrzyma słowa.

Zaczekam, dziesięć lat, jeżeli potrzeba zaczekam. Wszak Bóg nie pozwoli mi, abym skrócił sobie życie, albo niby mnie ona zabiła, a skoro ona i ja żyjemy, mogę mieć nadzieję.

— Oh! młodzieńcze, młodzieńcze—rzecze służący ze smutnym wyrazem— nie mieszaj ze smutnemi myślami żyjących wymagań umarłych. Ona żyje, mówisz, ona żyje, ale czy wiesz dla czego? (Joyeuse zadrżał). Ona ma do spełnienia postanowienie, które ją przywiązuje do życia. Czy sądzisz, że ona może znaleźć pociechę? Oh! nie panie hrabio, nigdy! Ja ci to powiadam, ja ci to przysięgam, ja, który byłem służącym nieboszczyka, ja, który, póki on żył, byłem nabożny, pełen ufności i nadziei, ja, który po jego zgonie, stałem się głazem nieczułym; ja panie, ja ci powiadam, że ja po jego stracie jestem niepokieszony.

— Ten człowiek tak żalowany — przerwał Henryk—ten szczęśliwy nieboszczyk ten mąż...

— On nie był mężem, ale kochankiem, panie hrabio, a kobieta, którą ty na twoje nieszczęście kochasz, jednego tylko w życiu ma kochanka.

— Mój przyjacielu! — zawołał młodzieniec przestraszony dziką powagą człowieka, który pod grubą odzieżą wyższe okazywał uczucia — mój przyjacielu, błagam cię, ty wstaw się za mną.

— Ja—zawołał—ja! Słuchaj panie hrabio, gdybym cię sądził zdolnym do gwałtu przeciw mojej pani, zabiłbym cię moją własną ręką.

I wydobył z pod płaszcza silną żylastą rękę, zd...

jącą się należeć do trzydziestoletniego mężczyzny; włosy zaś jego siwe i twarz, nadawały pozór starości.

— Gdyby zaś przeciwnie, moja pani kochała cię, jabym ją zabił. Powiedziałem panie hrabio co miałem powiedzieć teraz nie wymagaj nic więcej, bo chociaż nie sztucznie, umiem moim wyrazom nadać wagę.

Henryk powstał z ostygłem sercem.

— Dziękuję ci—rzecze—żeś się ulitował nad mojem cierpieniem—teraz uczynilem postanowienie.

— Zatem, będziesz spokojniejszym, panie hrabio, zatem oddalisz się od nas i zostawisz nas naszemu przeznaczeniu.

— Tak, oddalę się, bądź spokojny i oddalę się na zawsze.

— Rozumiem, chcesz umrzeć.

— Na co to mam ukrywać? nie mogąc żyć bez niej; zatem niech umrę nie mogąc jej posiadać.

— Panie hrabio, nieraz z moją panią, mówiliśmy o śmierci; wierzaj mi, ciężka to śmierć, którą własnymi przynosimy rękami.

— Właśnie ja nie taką obiorę; dla ludzi mojego stanu, zawsze jest śmierć, którą mienią zaszczytną, jest to zgon za monarchę i ojczyznę.

— Jeżeli pan cierpisz nad siły, jeżeli żadnych nie masz obowiązków, jeżeli możesz zginąć na polu bitwy, umieraj; gdybym nie musiał żyć, dawnobym umarł.

— Żegnaj cię i dziękuję—odpowiedział Joyeuse, podając rękę nieznanemu słudze. — Do zobaczenia na innym świecie.

I oddał się spiesznie, rzucając pod nogi służącego pełną sakiewkę złota.

Północ wybiła na kościele Ś-go Germana des Pres.

XXVI.

Jak wielka pani w roku zbawienia 1596 kochała.

Trzy gwizdnięcia w równym przedziale czasu były znakiem dla szczęśliwego Ernauton'a.

Młodzieniec, będąc blisko oznaczonego domu, ujrzał panią Fournichon na progu oczekującą na gości.

Pani Fournichon bawiła się jeszcze złotym talarzem, który pewna dama przechodząc wśliznęła jej do ręki.

Pani Fournichon spojrziała na Ernauton'a i biorąc się pod boki zajęła całe drzwi czyniąc niepodobnem przejście.

Ernauton zatrzymał się jak człowiek, który przejść żąda.

— Co pan chcesz?—jaki masz tu interes?

— Wszak trzy gwizdnięcia dały się słyszeć z tej oto wieżyczki.

— Zapewne.

— Właśnie mnie one przyzywały.

— Pana?

— Tak, mnie.

— To co innego, daj pan na to słowo honoru.

— Słowo honoru, moja pani Fournichon.]

— Kiedy tak, wejdz piękny kawalerze.

I uradowana, że posiada jedną z owych dam, które gorąco były pożądane przez nieszczęśliwy krzak Różanny zastąpiony pięknym Rycerzem, gospodyni wskazała Ernautonowi kręte wschody, prowadzące do najokazalszej wieżyczki.

Małe drzwiczki prowadziły do przedpokoju, z którego wchodziło się do samej wieżyczki umeblowanej.

Kiedy młodzieniec wszedł do przedpokoju, uczuł mocny zapach benzoesu i aloesu; była to ostrożność osoby delikatnej użyta przeciw wyziewom kuchennym z rądlów i rynek.

Pani Fournichon krok w krok szła za młodzieńcem; pchnęła go ze wschodów do przedpokoju, z przedpokoju zaś do wieżyczki i w końcu oddaliła się.

Ernauton prawą ręką trzymał odrzwia, lewą klamkę i wpół się schylił ukłonem.

We mgle światła, pochodzącego ze świecy różanej spostrzegł postać kobiety, owego wytwornego układu, który jeżeli nie miłość to zawsze budzi zajęcie, a niekiedy żądze.

Przechylona na sofie, odziana jedwabiem i aksamitem, dama, której małe nóżka wychylała się z pod sukni, przy świecy, paliła gałązkę aloesu, którą niekiedy zbliżała do twarzy jakby pragnęła przesiąknąć się upajającą wonią.

Ze sposobu, jakim rzuciła gałązkę w ogień spus-

ciła suknię na nogi i spiesznie przywdziała maskę, Ernauton domyślił się, że słyszała jak wchodził.

Jednak nie odwróciła się.

Ernauton czekał przez chwilę; była nieporuszona.

— Pani—rzecze młodzieniec głosem, który chciał umilić uczuciem wdzięczności— przywołałaś twój najniższy służący; oto jest.

— Ah! bardzo dobrze — odrzekła — siadaj, panie Ernauton.

— Przebacz pani, ale przede wszystkim powinienem podziękować za łaskę, jaką mnie zaszczytasz.

— Prawda, bardzo to jest grzecznie z twojej strony, panie Carmainges, jednak sędzę, że nie wiesz komu dziękować.

— Pani—odpowie młodzieniec, zbliżając się stopniowo— masz twarz zamaskowaną, rękę w rękawiczce, i kiedym wychodził, zakryłaś nogę, za którąbym pewnie oszalał, poznać cię zatem nie mogę, ale chyba odgadnąć.

— I zgadniesz kto jestem?

— Tą, której moje serce pragnie, tą, którą moja wyobraźnia czyni młodą, piękną, mozną, bogatą.

— Czy z trudnością wpuszczono cię tutaj?—zapyta dama, nie odpowiadając na potok wyrazów, jaki z przepelnionego serca Ernautona wypływał.

— Nie pani, wejście było tak łatwe jak nie sądziłem.

— Prawda, dla mężczyzny wszystko snadno, kobiecie, to co innego.

— Przykro mi pani, żeś sobie tyle trudów zadała, za które tylko pokornie dzięki złożyć ci mogę.

Dama innemi myślami zdawała się być zajęta.

— Co pan mówileś?—rzecze, niedbale zdejmując rękawiczkę, aby cudownie wytoczoną rękę okazać.

— Mówiłem pani, że nie widząc twojej twarzy, wiem kto jesteś i bez obawy, abym był w błędzie, mogę powiedzieć, że cię kocham.

— Zatem możesz powiedzieć, że jestem tą, którą spodziewałeś się zastać.

— Nie widząc, moje serce mi to powiada.

— Zatem mnie znasz?

— Tak, znam panią.

— Zaprawdę, pan dopiero przybyły z prowincyi, znasz paryzkie kobiety?

— Z pomiędzy wielu paryzkich kobiet znam tylko jedną.

— A tą ja mam być?

— Tak sądzę.

— A po czemże mnie pan poznajesz?

— Po głosie, wdziękach i piękności.

— Po głosie, rozumiem i zmienić go nie mogę; po wdziękach uważam to za grzeczność, co zaś do piękności, co zaś do piękności, to uważam za domysł.

— Dla czego, pani?

— Mówiłeś pan, że mnie poznajesz z piękności, lecz moja piękność zakryta.

— Zapewne wtedy była mniej zakrytą, kiedy cię wprowadzałem do Paryża, kiedy twoja pierś dotykała moich ramion, a oddech palił mi szyję.

— Zatem, kiedy mój list odebrałeś, wiedziałeś od kogo.

— Oh! nie, bynajmniej; na chwilę nawet o tem nie pomyślałem. Sądziłem, że jestem przedmiotem jakiejś igraszki, ofiarą jakiegoś błędu! sądziłem, że grozi mi jaka z katastrof, które nazywają szczęśliwymi przygodami i dopiero teraz, widząc cię, dotykając...

I zrobił poruszenie, jakby chciał jej rękę ująć; lecz ją cofnęła.

— Dosyć—rzecze.—Koniec końcem, nieskończoną popełniłam niedorzeczność.

— W czym, pani, proszę cię?

— W czym? mówisz pan, że mnie znasz i pytasz w czym popełniłam niedorzeczność.

— Prawda pani, bo jestem za zbyt niski przy waszej wysokości.

— Ale przez Boga, racz pan być cicho. Rozum mieć trzeba.

— Na Boga! cóż takiego uczyniłem — zapytał przestraszony Ernauton.

— Co? widzisz mnie pan w masce.

— Cóż z tego?

— Skoro noszę maskę, chcę, aby mnie nie poznało, ty zaś nazywasz mnie waszą wysokością. Czemuż nie otworzysz okna i na ulicy nie wywołasz mojego nazwiska?

— Przebaczenia, przebaczenia — wołał Ernauton padając na kolana—sądziłem, że w murach jesteśmy bezpieczni.

— Za nadto jesteście pan dowierzający.

— Niestety! jestem zakochany!

— I jesteś przekonany, że tej miłości natychmiast podobną odpowiem?

Ernauton powstał obrażony nieco.

— Nie pani—odpowie.

— A co pan myślisz?

— Sądzę, że pani masz mi coś ważnego powiedzieć, że nie chcąc mnie przyjąć w pałacu Gwizyuszów, albo w Bel-Esbat obrałaś miejsce odosobnione.

— Pan to myślałeś?

— Nie inaczej.

— I co pan sądzisz, że mam ci powiedzieć. Mów pan, przyjemnie mi będzie poznać pańską przenikliwość.

Nieznajoma okazała pewien rodzaj niespokojności.

— Alboż ja wiem? — odpowie Ernauton — może coś, co ma związek z panem de Mayenne?

— Alboż to nie mam moich kuryerów, którzy mi jutro w wieczór powiedzą więcej, aniżeli pan będziesz wiedział, albowiem wczoraj wygadałeś wszystko...

— Może mnie pani chciałaś zapytać o wypadek wczorajszy?

— O jaki wypadek?—zapytała, a pierś wzdymała jej się widocznie.

— O strachu, jakiego się najadł d'Epéron o uwięzieniu kilku z lotaryńskiej szlachty.

— Uwięziono kilku?

— Ze dwudziestu tych, którzy znajdowali się pomimo woli na drodze do Vincennes.

— Która także prowadzi do Soissons, gdzie książę Gwizyusz, jak mi się zdaje, trzyma garnizon. Panie Ernauton, ty, ty który żyjesz na dworze zapewne wiesz za co uwięziono tych biednych.

— Ja na dworze?

— Tak, bez wątpienia.

— Pani wiesz o tem?

— Chcąc mieć adres do ciebie, musiałam się dowiadywać. Ale skończmy, dziwny masz pan zwyczaj przerywania rozmowy. I cóż z tego wynikło?

— Nic pani, przynajmniej jak ja wiem.

— Dla czego więc sądziłeś, że chcę mówić o rzeczy, która nie miała następstwa.

— Byłem w błędzie, przyznaję.

— Jakto! a z której prowincyi pan jesteś.

— Z Agen.

— Jesteś Gaskończykiem, bo jak sądzę Agen w Gaskonii?

— Blisko.

— Jesteś pan Gaskończykiem i nie jesteś tak próżnym, że gdym cię widziała przy egzekucyi Salceda, nie sądzisz, że znalazłam cię przystojnym.

Ernauton zarumienił się, nieznanjoma mówiła dalej.

— Żem znowu widziała cię na ulicy i znalazła pięknym?

Ernauton zapłonil się jak jabłko.

— Że gdy byłeś u mnie jako poseł od mego brata Mayenne, znalazłam cię do mego gustu?

— Boże mnie uchowaj, abym to myślał?

— Byłeś w błędzie—odpowie, zwracając ku Ernautonowi pierwszy raz dwa gorejące oczy.

Ernauton złożył rece.

— Pani!—zawoła—ty ze mnie żartujesz?

— Na honor, że nie—odpowie z łatwością—podobaleś mi się, to rzeczywiście prawda.

— Oh! mój Boże.

— Ale nie śmiałeś mi powiedzieć, że mnie kochasz.

— Nawet gdybym oświadczył, nie wiedziałem kto jesteś; teraz zaś gdy wiem, pokornie [żadam przebaczenia.

— Otóż nowa niedorzeczność—pomruknęła z niecierpliwością.—Ale pozostań pan czem jesteś i powiedz co myślisz, abym nie żałowała, że tu przyszła.

Ernauton padł na kolana.

— Powiedz pani, że to wszystko nie jest żart a wtedy, zdołam ci odpowiedzieć.

— Dobrze, oto moje zamiary co do pana—rzecze, odpychając Ernautona i poprawiając fałdy sukni—podobasz mi się, ale nie znam cię jeszcze. Nie zwykłam opierać się moim fantazyom, ale nie chcę błędów popełniać. Gdybyśmy byli równemi, przyjmowałabym cię u siebie i poznawała nie objawiając zamiarów. Teraz wiesz czego żadam. Stań się mnie godnym to moje żądanie.

Ernauton chciał mówić.

— Tylko bez uniesień, panie de Carmainges, proszę. Być może, że twoje nazwisko podobało się mojemu uchu, być może, że moje uczucie jest kaprysem, który wkrótce przeminie. Jednak nie myśl abym wierzyla w doskonałość i nie rozpaczaj. Nie cierpię ludzi doskonałych. Lubię ludzi z poświęceniem, i tego mi dosyć. Pamiętaj o tem mój piękny rycerzu.

Ernauton rozum stracił: ta dumna mowa, te poruszenia pełne roskoszy, ta rozkazująca wyższość, to poddanie się mimowolne znakom tej osoby, pograżyły go zarazem w roskoszy i trwodze.

Usiadł przy swojej pięknej i dumnej kochance, następnie położył rękę na poduszce, na której siedziała.

— Panie—rzecze nieznanjoma—zdaje się, że mnie słyszałeś, ale nie pojąłeś. Żadnej poufałości, proszę, niech każde z nas zostanie na swoim miejscu. Być może, że kiedyś nazwiesz mnie swoją, ale dotąd nie masz tego prawa.

Ernauton powstał blady i pomięszany.

— Przebacz mi pani—rzecze—zdaje się, że tylko same nedorzecznosci popełniam; rzecz bardzo prosta, żem jeszcze nie przywykł do zwyczajów paryzkich. U nas na prowincyi, o dwieście mil, to prawda, kobieta kiedy mówi: kocham, nie odpycha mężczyzny i nie upokarza go. Dla pani jest to zwyczajem jako dla paryżanki, prawem jako księżnej. Dobrze więc, tylko czego pani żądasz? nie znam zwyczaju, zwyczaj nabędę.

Nieznajoma słuchała w milczeniu; widocznie ba-
dała, czy jego uniesienie w gniew się zamieni.

— Jak widzę pan się gniewasz?—rzecze z dumą.

— W rzeczy samej, gniewam się, ale sam na sie-
bie; bo dla pani uczuвам nie chwilowy kaprys, ale
szczerą miłość. Nie szukam twojej osoby, ale chciał-
bym otrzymać serce. Dla tego, nigdy sobie nie prze-
baczę, że uchybił dzisiaj winno tobie szacunku, któ-
rego nie zmienię w miłość, chyba na twój wyraźny
rozkaz. Pani, teraz czekam twoich rozkazów.

— Tylko nie przesadzajmy, panie de Carmain-
ges, otóż tak jesteś teraz lodowy, jak przed chwilą by-
łeś płomienisty.

— Jednak zdaję mi się...

— Czy zbłądziłam? Nie mów pan nigdy kobie-
cie, którą kochasz co chcesz; ale pokazuj, że będziesz
ją kochał tak jak ona zechce.

— To właśnie mówiłem.

— Ale tego nie myślisz.

— Uznaję twoją wyższość, pani.

— Tylko bez komplementów; tutaj nie chcia-
bym być królową. Oto moja ręka, weź ją wszak jest
tylko kobiecą; prawda, gorętsza od twojej.

Ernauton ujął z uszanowaniem tę piękną rękę.

— No i cóż?—rzecze księżna.

— No i co?

— Nie całujesz pan? czyś pan oszalał? czy chcesz
do wściekłości mnie przywieść?

— Wszakże przed chwilą...

— Przed chwilą, cofnęłam ją, a teraz...

— Teraz?

— Teraz ją daję.

Ernauton całował rękę z takim posłuszeństwem, że mu ją natychmiast cofnięto.

— Przekonaj się pani—rzecze—jeszcze jedna lekcya. Zapewne, wiesz mnie pani z jednej ostateczności w drugą, trwoga zabije namiętność. Mogę panią uwielbiać, ale nigdy nie uczuję zaufania, ani miłości..

— Zupełnie sobie tego nie życzę—odpowie dama wesoło—bo byłbyś smutnym kochankiem, a ja uprzedzam, że tego nie lubię. Bądź pan naturalnym, panie de Carmainges, niczem innym. Ja mam moje dziwactwa, jak każda piękna kobieta, a sam mówiłeś że jestem piękną. Szanuj je więc i kiedy ci powiem w największem uniesieniu: uspokój się, słuchaj mojego spojrzenia, a nie głosu.

To mówiąc, powstała.

Była chwila, że młodzieniec w uniesieniu pochwycił ją w swoje objęcia i że maska księżnej dotknęła ust Ernautona; ale ta sama chwila dowiodła prawdy tego, co mówiła, bo przez maskę oczy rzuciły błyskawicę, białą i zimną, jaka zazwyczaj przepowiada burzę.

To spojrzenie było rozkazującym, że Carmainges opuścił ręce i ogień w jego oczach zagaśł.

— Dobrze—rzecze księżna—zobaczemy się, podobasz mi się, panie de Carmainges.

Ernauton skłonił się.

— Kiedy pan jesteś wolnym? — zapytała z niechcienia.

— Niestety! bardzo rzadko — odpowiedział Ernauton.

— Ah! rozumiem, służba twoja jest utrudzającą.

— Jaka służba?

— Wszakże ją pan pełnisz przy królu, zdaje mi się, że jesteś w jego straży przybocznej.

— To jest, należę do oddziału szlachty.

— Szlachty Gaskońskiej, jak sędzę.

— Tak, pani.

— Iluż ich jest?

— Czterdziestu pięciu.

— I ci Czterdziestu pięciu mówisz, że nie opuszczają króla?

— Ja tego nie mówiłem pani.

— Przepraszam, zdawało mi się, przynajmniej mówiłeś pan, że masz mało wolności.

— Prawda pani, ponieważ codziennie towarzyszymy królowi na przechadzki i łowy, w nocy trzymamy straż w Luwrze.

— Przekonaj się pan, coby było, gdyby naprzykład dzisiaj służba cię zatrzymała!.. Ja nie znając przyczyny twojego nieprzybycia sądziłabym, że pogardziłeś mojem wezwaniem.

— Ah! pani, żeby cię widzieć na wszystko się narażę.

— To dzieciństwo, ja tego nie żądam.

— Lecz gdyby...

— Dopełniaj pan swojego obowiązku; ja zastosuję się do wszystkiego, jestem panią swojego życia.

Lecz to wszystko nie objaśnione, jakim sposobem, tego wieczoru znalazłeś czas i przybyłeś.

— Dziś w wieczór, pani, przyszedł rozkaz dający nam wolność na cały dzień i noc.

— Cóż za szczęśliwa zmiana?

— Jest to, jak sędzę, nagroda za usługę wyświadczoną w Vincennes.

— A więc, słuchaj Carmainges—rzecze księżna—ilekroć będziesz wolnym, donieś o tem gospodyni tego zajazdu; przez nią, ja będę o tem wiedziała.

— Ah! ileż łaski!

Księżna położyła rękę na ramieniu Ernautona.

— Czy słyszysz?—rzecze.

— Co to jest, pani?

— Co to za krzyk i hałas?

W rzeczy samej, brzęk ostróg i pałaszy, rozlegały się po dolnem mieszkaniu.

Ernauton wychylił głowę do przedpokoju.

— To moi towarzysze — rzecze — przychodzą użyć wolności, jaką ich pan Loignac obdarzył.

— Lecz dla czegoż tutaj gdzie my jesteśmy?

— Zapewne tutaj naznaczono miejsce schadzki, albowiem w dzień wjazdu do stolicy zasmakowali w winie pani Fournichon, a niektórzy i w jej wieżyczkach.

— Ah! pfe!—rzekła księżna ze złośliwym uśmiechem—za wiele mówisz pan o tych wieżyczkach.

— Jednak pierwszy raz tu jestem. — Lecz pani któraś je obrała...—ośmielił się powiedzieć.

— Wybrałam i łatwo pan pojmie dla czego szukałam miejsca najsamotniejszego w Paryżu, nad rzeką, blisko wału, miejsca, w któremby mnie nikt nie poznał...

— Ah? jakże są hałaśliwiⁿⁱ twoi towarzysze! — dodała.

W rzeczy samej, hałas rósł coraz bardziej, opowiadanie wypadków, kłamstwa, brzęk pieniędzy i szklanek, były przepowiednią jakiejś burzy. Nagle, słysząc się dało stapanie po wschodach, prowadzących do wieżyczki i głos pani Fournichon; krzyczącej z dołu:

— Panie Sainte-Maline!

— No i co!—odpowiadał głos młodzieńca.

— Nie chodź pan na górę, proszę cię o to.

— A to dlaczego nie, pani Fournichon! Cały dom dzisiaj jest naszym.

— Cały dom, dobrze, ale nie wieżyczki.

— Ba! i wieżyczki należą do domu — zawołało pięć, albo sześć głosów, pomiędzy którymi Ernauton poznał głos Perducas'a de Pincorney i Eustachego de Miradoux.

— Pani Fournichon — wołał Sainte-Maline—już północ; o dziewiątej ogień powinien być zgaszony, a ja widzę światło w jednej z twoich wieżeczek, tylko zli poddani naruszają rozkaz królewski; chcę poznać ich...

I Sainte-Maline wchodził na wschody, a za nim wielu Gaskończyków.

— Oh! Boże—mówiła księżna — panie Carmainges, czy ci ludzie odważą się wejść tutaj.

— W każdym zdarzeniu, ja tu jestem i mogę powiedzieć: bądź pani spokojną.

— Ale oni drzwi wybijają.

W rzeczy samej, Sainte-Maline tak gwałtownie zapukał, że drzwi z sosnowych desek, pękły na dwoje.

XXVII.

Co się działo w zakładzie pani Fournichon i w tajemniczym domku.

Pomimo późnej nocy, zakład pani Fournichon huczał hałasem i jaśniał licznymi światły. Czterdziestu pięciu, pod przewodztwem pana Sainte-Maline nadało mu życie. Kiedy drzwi pokoju, w którym Ernauton z piękną damą miał schadzkę, od silnego uderzenia pękły i kiedy Pani Fournichon chcąc gościom swoim zapewnić spokojność, panu Sainte-Maline wyjawiała imię Ernautona, a ten tem większą wiedziony ciekawością, ukrytą piękność chciał ujrzeć, pan de Carmainges zgasił świecę i sam wyszedł do swoich kolegów, chcąc ich już prośbą, już groźbą do ustąpienia zmusić. Lecz opili i uparci nie byli do pokonania i pan de Carmainges postanowił, ponieważ widział, że wszędzie na korytarzach jest ciemno, wiaść księżnę pod rękę i przeprowadzić ją wśród natrętnego tłumu.

Właśnie, gdy już był na wschodach i sądził, że ukrytą damę niespostrzeżoną wyprowadzi, jeden z jego kolegów, przybył ze świecą, a pan de Sainte Maline, gdy Ernauton prowadził ją, nożem dobytym z pochwy, z tyłu przeciął jej zawiązkę od czarnej maski, którą twarz jej była zakryta.

Szczęściem, że księżna baczną i zręczną pochwyciła upadającą maskę i że przytomni twarzy jej dożyć nie zdołali. Ernauton nie chcąc tracić czasu, pogroził tylko panu de Sainte-Maline i zdołał wyprowadzić szczęśliwie swoją piękność, która kazała mu odprowadzić się do nowego mostu i zaleciła, aby dla swobodniejszej schadzki w oddalonej części miasta, nabył, lub najął domek.

Pożegnawszy swoją damę, Ernauton wściekły i rozjuszony biegł pod *pięknego Rycerza*, aby nad swojemi kolegami, a osobliwie nad panem de Sainte-Maline się zemścić. Zastał ich za ogromnym stołem, obłożonym potrawami i winem, znikła z pomiędzy nich wesołość, albowiem czuli swoją niesłuszność i myśleli tylko jakimby sposobem pana de Carmainges przeprosić. Stosowne kroki trafiły do celu i po pojednaniu z kolegą wesołość opanowała biesiadnicze koło.

Kiedy to działo się w zajeździe pod *pięknym Rycerzem*, tajemniczy domek zdawał się opuszczonym, tak był cichym i posępnym. Na dole, w pokoju, którego okna wychodziły na dziedziniec, blade światło nie pewnym gorzało płomieniem; przy nim to łysy starszek pakował rozmaite rzeczy, a kobieta blada i wy-

smukła siedziała zamysłona, Nagle, dało się słyszeć pukanie do bramy.

— To pewnie ten młodzieniec nieszczęśliwy — rzecze blada niewiasta.

— Nie pani — odpowie staruszek — powiedział, że więcej nas nie chce widzieć, on bardzo nieszczęśliwy.

— Człowiek jego stanu, majątku i znaczenia łatwo się może pocieszyć.

— Pani masz to samo, a jesteś niepokieszoną.

Znowu dało się słyszeć pukanie dobitniejsze jak dawniej.

— Remy—rzecze niewiasta—idź zapytaj, kto taki i czego żąda?

Wierny sługa wypełnił zlecenie.

Niewiastę opanowała jakaś niespokojność, że stanęła nieporuszona, jakby pilnie słuchała; głos rozmawiających doszedł jej uszów.

— To Grandchamp, wierny sługa mojego ojca—rzecze—przybywa z Meridor, a przeczuwam, że smutne niesie wieści.

Dyannę nie myliło przecucie. Stary sługa z Meridor ukazał się na progu i zapytany o cel przybycia z wszelką ostrożnością i względami objawił śmierć ojca Dyanny.

Ciężkie westchnienie objawiło jej boleść, po chwili—gorzki uśmiech ukazał się na ustach i rzekła:

— Remy, teraz jesteśmy wolni, teraz możemy się zemścić. Niech Grandhomp spocznie, ty pójdz za mną.

I weszła z wiernym służącym na pierwsze piętro do pokoju, który cały czarno obity, oświetlony był blado gorejącą lampą. Klęcznik, stalia i obraz w czarnych ramach całą ozdobą były tego pokoju. Obraz przedstawiał mężczyznę konającego z upływu krwi i trzymającego jeszcze miecz w dłoni, pod obrazem był napis:

Aut Caesar, aut nihil.

Dyanna padła przed tym obrazem na kolana i modłać się do niego, jakby do świętego, gorzkimi łzami płakała.

Po chwili, powstała i rzecze:

— A cóż, Remy? twoje usiłowania czy się powiodły?

— Tak pani—odpowie służący—spójrzij na ten portret, któremu przyrzekłaś zemstę, spojrzij i radość w jego oczach wyczytaj.

— A więc?

— Odkryłem tajemnicę sławnej trucizny, nazwanej *aqua tophona*.

— Prowadź mnie, Remy, przekonaj, że twoje usiłowania nie są daremne.

Remy poprowadził nieznajomą do sąsiedniego pokoju i popychając ukrytą sprężynę pod taflą posadzki, otworzył drzwi, za którymi widzieć było można, ciemne wązkie kręte wschody; Remy pierwszy na nie wstąpił i podał rękę Dyannie, która się za nim udała.

Dwadzieścia stopni prowadziły do okrągłej piwnicy, ciemnej i wilgotnej, w której był tylko piec z ogromnym otworem, stół, dwa krzesła i mnóstwo flaszek.

Jedynemi mieszkańcami w tej ciemnicy były koza i ptaki, jakby nie żywe, które w tem miejscu zdawały się być straszidłami, a nie zwierzętami.

W piecu, ogień przygasał, a dym gęsty czarny długą szyją wypływał.

Alembik stojący na kominie, sączył powoli po kropelce płyn żółto złotawy.

Kropłe te spadały w szklaną białą fiaszeczkę grubą na dwa palce, lecz przezroczystą, która była przytwierdzona do rury alembika.

Dyanna weszła i zatrzymała się wśród tych dziwnych przedmiotów bez zadziwienia i trwogi, rzec można, że zwykle wrażenia życia straciły wpływ na tę kobietę, jakby nie żywą.

Remy dał znak, aby się zatrzymała przy wscho-
dach; stanęła gdzie Remy jej zalecił.

Młodzieniec zapalił lampę, następnie zbliżył się do dołu, wykopanego przy jednej ze ścian muru, uwią-
zał wiadro na długiej linie i spuścił je w wodę, nako-
niec wyciągnął wiadro zimnej i czystej jak kryształ
wody.

— Przybliź się pani—rzecze Remy.

Do wiadra wody wpuścił kroplę żółtego płynu, a cała masa wody zafarbowwała się tym kolorem; nastę-
pnie, kolor znikł, a woda w dziesięć minut, była tak
przezroczysta jak dawniej.

Włepienie oczów objawiało zajęcie ze strony
Dyanny.

Remy spojrzał na nią.

— A co?—zapyta ona.

— Teraz umaczaj pani—ręce Remy—w tej wodzie, kwiatek, rękawiczkę, chustkę, dodaj pani tej wody do pachnącego mydła, a przekonasz się o tem co widziano na dworze Karola IX, że kwiatek zatruje zapachem, rękawiczka od dotknięcia, mydło przez wejście w pory. Zmocz pani kroplą tej wody knot od świecy, lub lampy a za godzinę świeca lub lampa, zatruje wszystkich, będących w tem mieszkaniu.

— Czy jesteś pewnym tego co mówisz?—zapytała Dyanna.

— Wszystkie te doświadczenia robiłem, pani, przypatrz się pani tym ptakom, które nie mogą spać i jeść nie chcą, one napiły się tej wody, przypatrz się pani kowie, której oczy mgłą zasły; napróżno sililibyśmy się powrócić je do życia, sztuka nie zna żadnego na tę truciznę lekarstwa.

— Remy, czy można mieć tę flaszczykę?—zapytała Dyanna.

— Tak, pani, płyn już gotowy, w tej chwili sączyć się przestał.

Remy z nadzwyczajną ostrożnością odjął flaszczykę od alembika, lecz natychmiast zatkał ją, owiązał, zalapil woskiem i oddał swojej towarzyszce.

Dyanna odebrała ją bez najmniejszego wzruszenia podniosła ją do światła i popatrzawszy przez chwilę na gęstą zawartość, rzekła:

— To dobrze; wybierzemy gdy czas nadejdzie, kwiat, rękawiczki, lampę, mydło albo dzbanek. A czy płyn działa na metal?

— Trawi go.

— To może ten flakon pęknie?

— Nie sędzę, kryształ jest dość gruby: wreszcie możemy go zamknąć, a raczej oblutować złotem.

— Więc jesteś zadowolony, Remy, nieprawdaż?— rzekła dama.

I coś jakby blady uśmiech ożywiło usta damy i nadało im ten blask życia, jaki nadaje zacienionym przedmiotom promień księżycy.

— Bardziej niż kiedykolwiek — odparł zagadnięty — karać złych ludzi, to znaczy się wkraczać w święte posłannictwo Boga.

— Słuchaj, Remy, słuchaj!

I dama nadstawiła ucha.

— Pani słyszałaś hałas?

— Zdaje mi się, że to tentent koni na bruku; Remy, nasze konie przyszły.

— Być może, pani, gdyż nadeszła już prawie godzina, w której miały przybyć, ale zaraz je odprawię.

— A to po co?

— Czyż nie są już zbyt liczne?

— Zamiast się udać do Méridor, Remy, udajemy się do Flandryi; konie będą potrzebne.

— Ach! Rozumiem.

I oczy sługi, z kolei, rzuciły blask radości, który dał się tylko porównać z uśmiechem Dyanny.

— Ale Grandchamp—dodał—cóż z nim zrobimy?

— Grandchamp niech sobie wypocznie. Zostanie w Paryżu i sprzeda ten dom, który nam jest niepotrzebny. Tylko wróćcie wolność wszystkim tym bied-

nym zwierzętom, które zmuszaliśmy do cierpień z potrzeby. Mówiłeś, że Bóg je ocali bezwątpienia.

— Ale te wszystkie piece, retorty, flaszki?

— Ponieważ były tu, kiedyśmy kupowali ten dom, cóż szkodzi, że inni znajdują je po nas?

— Ale te proszki, sole, esencye?

— W ogień, Remy, w ogień!

— Usuń się więc pani.

— Ja?

— Tak pani, a przynajmniej, przywdziej pani tę maskę szklaną.

I Remy podał Dyannie maskę, którą przyłożyła do twarzy. Wtedy, przykrywszy swoją twarz szerokim płatkim wełnianym, pociągnął za sznur od miecha i rozżarzył węgle; następnie, wsypał na węgle proszki, które zatrzeszczały tysiącami iskierek, dobywając ognie już to zielone już blade jak śmierć; zaś ciecze rozlane na ogień, zamiast go ugasić, wybiegały w górę w postaci węzów ognistych i wydawały huk, podobny do odległego gromu.

Skoro już wszystko było strawione, Remy rzekł:

— Ma pani słusność, że jeśli kto odkryje tajemnice tego lochu, to niezawodnie pomyśli, że tu mieszkał alchemik; dziś palą jeszcze wróżbiarzy, ale szanują alchemików.

— Ech! Zresztą, gdyby nas nawet spalono, Remy, to byłaby sprawiedliwość, jak mi się zdaje: czyż nie jesteśmy trucicielami? I żebyśmy tylko przed dniem, w którym wstąpię na stos, dokonała mego dzieła, nie wypieram się tego rodzaju śmierci, równie jak innego: więk-

szość starożytnych męczenników zginęła w ten sposób.

Remy skłonił się z uznaniem i odbierając flaszkę z rąk swojej pani, zawinał ją starannie. W tej chwili zastukano do drzwi od ulicy.

— To są pani ludzie, tak, nieomyliłaś się pani. Prędko więc, wejdz pani i odpowiedz, ja zaś loch zamknę.

Dama usłuchała rady. Ta sama myśl trapiła te obydwie serca, tak, że trudno byłoby orzec, które ktoremu ulegało.

— Remy udał się za nią i spuścił sztabę, loch został zamknięty. Dyanna zastała przy drzwiach Grandchampa; zbudzony stukaniem, przybiegł ażeby otworzyć. Starzec nie był wcale zdziwiony dowiedziawszy się o zamierzonym wyjeździe swojej pani, która oznajmiła mu o tem, nie mówiąc dokąd się udaje.

— Grandchamp, mój przyjacielu, Remy i ja udajemy się w drogę zamierzoną od dawna; nie powiesz nikomu o tej podróży i nie będziesz wspominał o mnie żywej duszy.

— O, przysięgam pani, odparł stary sługa. Ale pani powróci?

— Zapewne, Grandchamp, zapewne; czyż się ludzie nie spotykają ze sobą jeżeli nie na tym to na tamtym świecie? Ale, ale, mój drogi, ten dom już nam nie jest potrzebny.

Dyanna wyjęła z szafy zwitek papierów.

— Oto są dowody własności: wynajmiesz albo go

sprzedasz. Jeżeli od dziś za miesiąc nie znajdziesz ani lokatora ani nabywcy, opuścisz go poprostu i wrócisz do Méridor.

— A jeśli znajdę nabywcę, za ile go mam sprzedać?..

— Za ile zechcesz.

— A pieniądze mam oddać do Meridor?

— Zostawisz je dla siebie, mój stary.

— Co? Taką summę, proszę pani!

— Tak jest, czyż nie należy ci się za twoje usługi, Grandchamp? a zresztą, czyż oprócz własnego długu względem ciebie, nie powinnam spłacić długu mojego ojca?

— Ale proszę pani, bez kontraktu, bez ceny, nie nie mogę zrobić.

— Ma słuszność—odrzekł Remy.

— Znajdź że więc sposób—rzekła Dyanna.

— Nic prostszego. Ten dom został kupiony na moje imię, odprzedaję go Grandchamp'owi, który w ten sposób będzie go mógł odprzedać komu mu się spodoba.

— Zgoda.

Remy wziął pióro i napisał cesyę na kontrakcie kupna.

— Teraz, bądź zdrów—rzekła pani de Monsoreau do Grandchampa, który nie mógł się oprzeć wzruszeniu na myśl, że zostanie sam jeden w tym domu—bądź zdrów, Grandchamp; każ podejść koniom, a ja tymczasem skończę przygotowania do podróży.

Co powiedziawszy, Dyanna weszła do siebie, wyjęła sztyletem portret z ram, zwinęła go w rulon, ob-

winęła w kawał materyi jedwabnej i umieściła go w torbie podróżnej. Ta rama próżna i opuszczona jeszcze wymowniej zdradzała wszystkie cierpienia jakich była świadkiem. Reszta pokoju, po zabraniu portretu, nie przedstawiała nic osobliwego i była zwyczajnym pokojem...

Gdy Remy związał w troki obydwie torby, rzucił okiem po raz ostatni w ulicę, ażeby się zapewnić, że prócz przewodników nie ma nikogo, poczem, podszadzając swoją panią na konia, rzekł z cicha:

— Sądzę, że ten dom będzie ostatnim, gdzie mieszkaliśmy tak długo.

— Przedostatnim, Remy, odparła dama tonem poważnym i głuchym.

— Jakiż będzie drugi?

— Grób, mój Remy.

XXVIII.

Co robił we Flandryi Jego Książęca Mość Franciszek książę Andegaweński, Brabantski i hrabia Flamandzki.

Teraz, nasi czytelnicy pozwolą, że opuścimy króla w Luwrze, Henryka Nawaryjskiego w Cahors, Chicota na gościńcu, panią de Monsoreau na ulicy, a udamy się za Franciszkiem andegaweńskim, świeżo mia-

nowanym księciem Brabancyi, na pomoc któremu widzieliśmy udającego się wielkiego admirała Francyi, Annę Deigues, księcia de Joyeuse.

Osiemdziesiąt mil od Paryża, na północ, głosy francuzkie i chorągiew francuzka, unosiły się nad obozem francuskim nad brzegami Escaut położonym.

Była noc: ognie rozłożone w ogromny okrąg otaczały rzekę, pod Antwerpią i odbijały się w głębiach.

Zwyczajna posepność zielonych równin zakłócona była rżeniem koni francuskich.

Na wałach miasta rozstawione widety patrzyły na gorejące ognie i błyszczące muszkiety francuskie.

Była to armia księcia Andegaweńskiego. Po co on tu przybył musimy czytelnikom opowiedzieć. Nie będzie to może zabawnem, ale jest koniecznem i jesteśmy z tego tytułu pewni przebaczenia.

Czytelnicy, którzy znają *królową Margot* i *panią de Monsoreau*, znają już księcia Andegaweńskiego, jako zawistnego, samolubnego, dumnego i niecierpliwego, który urodzony na tronie, za każdym wypadkiem, który go doń zbliżał, nigdy nie miał cierpliwości poczekać, aż śmierć pewną mu do niego drogę otworzy. I tak za Karola IX pragnął tronu Nawarry, później tronu samego Karola IX, nakoniec tronu francuzkiego, zajętego przez Henryka III, który nosił na głowie dwie korony, a on tym czasem ani jednej dobić się nie mógł.

Wtedy, na chwilę zwrócił oczy ku Anglii, rządzonej przez kobietę i żeby zostać królem zażądał jej

w małżeństwo, chociaż ta kobieta nazywała się Elżbietą i starszą była od niego o lat dwadzieścia.

W tym punkcie przeznaczenie zaczęło się do niego uśmiechać, jeżeli nazwać można szczęściem zaślubienie dumnej następczyni Henryka VIII. Ten, który przez całe życie w przelotnych żądach nie umiał bronić ani własnej wolności, który widział ginących ze swojej może przyczyny ulubieńców Mole'go i Coconas'a, który podle poświęcił Bussego, najwaleczniejszego ze swoich dworzan, wszystko bez korzyści dla swego wyniesienia i z uszczerbkiem swojej sławy, ten odrzutek fortuny, nagle ujrzał się obsypany względami wielkiej monarchini, dotąd nieprzystępnej dla oczów śmiertelnika i wyniesionym do pierwszej godności, jaką lud mógł tylko udzielić.

Flamandzcy ofiarowali mu koronę, a Elżbieta swą rękę.

Nie mamy pretensyi być historykiem; jeżeli zaś musimy nim być niekiedy, to tylko w tym przypadku, gdy historia zniża się do romansu, albo raczej, kiedy romans wznosi się do wysokości historyi. I teraz więc, musimy zanurzyć ciekawe oczy w życie księcia Andegawęńskiego, które ciągle dążąc do tronu pełne jest wypadków to wesółych, to smutnych, jakie się nie często spotyka.

Skreślmy więc niejako szkic historyczny. Franciszek widział brata swojego, Henryka III, zajętego kłótnią z Gwizyuszami i połączył się z nimi; wkrótce jednak przekonał się, że tylko oni sami chcą się podstawić w miejsce Walezyuszów.

Oddzielił się więc od Gwizyuszów, ale jakeśmy widzieli nie bez niebezpieczeństwa, bo Salced'e na pal wbity na placu Gréve dowiódł, dla czego książęta Lotaryngscy byli przyjaciółmi księcia Andegaweńskiego.

Prócz tego, oddawna, Henryk III przetarł oczy; przed czasem, w którym się nasza historia zaczyna, książę d'Alencon, prawie wygnany, oddalił się do Amboise.

Wtedy właśnie Flamandzycy wyciągnęli do niego ręce, zmęczeni panowaniem hiszpańskim, dzięsiątkowani przez prokonsulat księcia Alby, złudzeni fałszywym pokojem przez don Żuana Austryackiego który korzystał z tego pokoju, aby odzyskać Namur i Charlemont, Flamandzycy, mówią, przyzwali na tron Wilhelma Nassauskiego, księcia Oranii i uczynili głównym rządcą Brabancyi.

Musiemy powiedzieć coś o tej nowej figurze, która tak wiele miejsca zajmuje w historyi, a która u nas tylko się ukaże.

Wilhelm Nassauski książę Oranii, miał wtedy pięćdziesiąt jeden lat; syn Wilhelma Nassauskiego, przezwanego Starym i Juljanny Stolberg, krewnego owego Rene de Nassau, który poległ przy oblężeniu Saint-Dizier, odziedziczywszy tytuł księcia Oranii, młody jeszcze, wykarmiony był zasadami reformacyi i za młodu czuł wartość swoją i zmierzył wartość swojego posłannictwa; posłannictwa w które wierzył, że z nieba mu dane i któremu wierny był przez całe życie, dla którego umarł jako męczennik, było założenie federacyi holenderskiej, którą też i założył.

Młody, przywołany był na dwór Karola V. Karol piąty znał się na ludziach i ocenił Wilhelma, i nieraz monarcha, który najcięższe jabłko świata miał w ręce, radził się dziecięcia w najważniejszych przedmiotach politycznych? Co więcej dwudziesto-czteroletniemu młodzieńcowi Karol V powierzył w zastępstwie sławnego Filiberta Emmanuela Sabaudzkiego, dowództwo we Flandryi. Wilhelm okazał się godnym tego wielkiego poważania; trzymał w szachu księżęta Nevers i Coligny, dwóch najznakomitszych wodzów owego czasu i pod ich oczami uzbroił Philippeville i Charlemont. Kiedy Karol piąty składał koronę, na Wilhelmie Nassauskim opierał się, aby zejść ze stopni tronu i on to Ferdynandowi zaniósł cesarską koronę, którą Karol piąty dobrowolnie złożył.

Nastąpił Filip II-gi i pomimo zalecania Karola V-go synowi, aby Wilhelma uważał jako brata, Filip II-gi dowiódł, że nie chciał mieć rodziny. Wtedy, w głowie Wilhelma wyrodziła się wielka myśl wyswobodzenia Holandyi i usamowolnienia Flandryi, coby może na wieki w jego głowie zostało, gdyby stary cesarz w miejsce królewskiego płaszcza nie przywdział habitu mnicha. Wtedy, Holendrzy za radą Wilhelma zażądali wydalenia wojsk obcych, i wtedy zaczęła się zacięta walka z Hiszpanią, usiłującą utrzymać wymykającą się zdobycz; wtedy tym nieszczęśliwym krajem, miotanym pomiędzy Francją i cesarstwem rządziły: namiestnikostwo Małgorzaty Austryackiej i krwawy prokonsulat księcia Alby; wtedy rozpoczęła się owa

walka polityczna i religijna, do której protestacya pałacu Culembourg, żądająca zniesienia inkwizycyi dała powód; wtedy miała miejsce owa procesya czterechset szlachty ubranych jak najskromniej idących po dwóch i przynoszących do stóp wielkorządczyni wyrażenie powszechnego żądania; wtedy, na widok tych ludzi poważnych i skromnie ubranych, wyrwało się Berlaimont'owi, jednemu z doradców księżnej wyrażenie *żebraki*, które przyjęte przez szlachtę flamandzką, odtąd znaczyło stronnictwo patryotyczne, do tego czasu bez nazwiska będące.

Od tego czasu, Wilhelm zaczął grać rolę, która uczyniła go sławnym. Wciąż pokonywany w ciężkiej walce przemożnej sile Filipa II-go wciąż powstawał i silniejszy po każdej porażce, zawsze witany był jako wybawca.

Wśród tych zmian losu, upadku fizycznego i potęgi moralnej, Wilhelm dowiedział się w Mons o rzezi Ś-go Bartłomieja.

Była to straszna rana, dochodząca aż do serca Niderlandów; Holandya i część Flandryi kalwińska, utraciły najwaleczniejszych sprzymierzeńców: hugonotów francuzkich.

Wilhelm na to nieszczęście odpowiedział cofnięciem jak zwykle czynił; z Mons udał się nad Ren i tam dalszych oczekiwał wypadków.

Szlachetną sprawę rzadko wypadki zawodzą.

Wiadomość, jakiej się nie spodziewano, nagle się rozbiegła.

Kilku morskich żebraków (albowiem byli morsecy

i lądowi), zapędzeni wiatrem przeciwnym do Brielle widząc niepodobieństwo udania się na morze, wzięli to miasto, w którym były szubienice na nich przygotowane.

Po wzięciu miasta, wypędzili garnizon hiszpański z okolicy, a nie widząc się dosyć silnemi do korzystania z tego wypadku, przywołali księcia Oranii. Wilhelm przybył, potrzeba było wciągając w sprawę całą Holandya, uczynić niepodobnem pojednanie jej z Hiszpanią.

Wilhelm wydał rozkaz zabraniający w Holandyi wyznania katolickiego, jak we Francyi zabroniono protestanckiego.

Po tem postanowieniu, wojna się rozpoczęła: księżę Alby wysłał przeciw zbuntowanym własnego syna Fryderyka z Toledu, który wziął Zutphen, Neardem i Harlem, przecież te niepomyślności, zamiast pokonać Holendrów, zdawały się nowej nadawać im siły. Hiszpania odwołała wkrótce księcia Alby, a przysłała Ludwika de Requesens, jednego ze zwycięzców Lepantu.

Tutaj, dla Wilhelma otworzył się nowy szereg nieszczęść. Ludwik i Henryk de Nassau, którzy przyszli na pomoc księciu Oranii, zginęli w bitwie pod Nijmegen, Hiszpanie rozszerzyli się w Holandyi, oblegli Lejdę i złupili Antwerpią.

Wszystko było w rozpacz, gdy niebo raz jeszcze przyszło na pomoc holendrom; Requesens umarł w Brukseli.

Wtedy, wszystkie prowincye, połączone w jednym

interesie, jednozgodnie postanowiły 8 Listopada 1576 roku traktat zwany pod nazwiskiem pokoju z Gand, przez który zobowiązały się wzajem pomagać ku oswobodzeniu kraju od Hiszpanów i innych cudzoziemców...

Don Żuan ukazał się znowu, a z nim nowe dla niderlandów nieszczęścia. We dwóch miesiącach, Namur i Charlemant, zostały wzięte.

Flamandczykowie na te klęski odpowiedzieli mianując księcia Oranii jeneralnym rządcą Brabancyi.

Don Żuan umarł z kolei. Zapewne sam Bóg wspierał holendrów. Alexander Farnese po nim nastąpił.

Był to książę zdatny, przyjemny, łagodny, wielki polityk i dobry wódz; Flandrya cieszyła się, słysząc pierwszy raz miękki głos włoski, nazywający ją przyjaciółką! Wilhelm pojął, że niebezpieczniejszy jest Farnese łagodny, niż srogi książę Alby.

Naznaczył prowincyom dzień 26 stycznia roku 1579 Zjazd Utrechtski, który był zasadą fundamentalną prawa holenderskiego.

Wtedy to sądząc, że sam nie podola planom wyswobodzenia nad którym piętnaście lat pracował, zaproponował księciu Andegaweńskiemu panowanie nad Niderlandami pod poprzedniem Baltazara Gerard, jak Jan Chatel Ravailac'a.

Za wszystkich tych wypadków, pozostała Wilhelmowi ponura smętność, którą rzadko uśmiech rozjaśniał. Flamandzycy i Holendrzy szanowali ten smu-

tek, bo wiedzieli, że w nim samym tylko była ich przyszłość i kiedy go widzieli odzianego w szeroki płaszcz z naciśniętym na oczy kapeluszem, ustępowali mu z miejsca a matki z religijnem poszanowaniem, mówiły dzieciom:

— Patrzajcie, to milczek (*Taciturne*).

Flamandczykowie na przedstawienie Wilhelma obrali Franciszka Walezyusza księciem Brabancyi hrabią Flandryi, to jest panującym.

Elżbieta patrzyła na to z radością, widziała bowiem, w związku z Franciszkiem środek połączenia protestantów angielskich z francuskimi i flamandzkimi. Mądra Elżbieta marzyła może o potrójnej koronie.

Księżę Oranii pozornie sprzyjał księciu Andegaweńskiemu odziewając go tymczasowo płaszczem popularności, aby kiedy czas nadejdzie płaszcz zedrzyć i pozbyć się francuzów, jak się pozbyto hiszpanów.

Lecz ten niepewny sprzymierzeniec straszniejszy był dla księcia Andegaweńskiego niż nieprzyjaciel, krzyżował we wszystkim jego plany, któreby mu mogły wpływ na Flandryą zapewnić.

Filip II, widząc wejście francuzkiego księcia do Bruxelli, przyzwał Gwizyusza na pomoc, na mocy traktatu, niegdyś pomiędzy don Żuanem Austryackim, a Henrykiem Gwizyuszem zawartego.

Dwaj młodzi bohaterowie, prawie jednego wieku, wzajemnie się odgadli, i łącząc się każdy z nich zamyślał zdobyć koronę.

Aż oto po śmierci brata, Filip II znalazł w jego

papierach traktat podpisany przez Henryka Gwizyusza; lecz dlaczego niepokoić się dumą umarłych? Czyż grób nie zamyka ciała, które słowo miało wcielić.

Tylko król podobny Filipowi II-giemu, który wiedział, jaka waga polityczna częstokroć w dwóch wierszach się zawiera, nie pozwolił butwieć w Escorial autografowi Gwizyusza, który pomiędzy takimi jak Walezyusze, Habsburgi, Tudor i księżęta Oranii ważny dla frymarczenia stanowił przedmiot.

Filip II zobowiązał więc Gwizyusza do przedłużenia traktatu z Don Żuanem zawartego, którego treścią było że Lotaryngia utrzyma Hiszpanią w posiadłości Flandryi; Hiszpania zaś pomoże Lotaryngii do wykonania rady, jaką kardynał udzielił temu domowi.

Tą radą było, aby niestrudzenie dążyć do opanowania tronu francuskiego.

Gwizyusz zmieszał się: lecz musiał do traktatu przystąpić; Filip II bowiem zagroził mu, że traktat dawniejszy prześle Henrykowi III; wtedy to Hiszpania i Lotaryngia, połączyły się przeciw księciu andega-weńskiemu i Salcede Hiszpan wyprawiony został na jego zabicie.

W rzeczy samej, morderstwo wszystkoby zakończyło z zadowoleniem Hiszpanii i Lotaryngii.

Gdyby Franciszek zginął, nie byłoby pretendenta do tronu holenderskiego i na tron francuski.

Pozostawał tylko księżę Oranii; lecz jak wiemy, Filip II miał drugiego Salceda, króry się nazywał Jan Jonreguy.

Salceda złapano i wszteki porąbano na placu de Grève, chociaż nie wykonał zlecenia.

Jan Joureguy ciężko ranił księcia Oranii: ale tylko go ranił.

Książę Andegaweński i Taciturne zawsze byli czynni, pozorni przyjaciele, w rzeczy samej więcej nieprzyjaźni niż ci, którzy ich chcieli zamordować.

Jakśmy powiedzieli, książę Andegaweński przyjęty był z nieufnością. Bruxella otworzyła mu bramy, lecz Bruxella nie była ani Francją ani Brabancyą; począł więc postępować w głąb Holandyi, biorąc miasto po mieście, według rady księcia Oranii, który również jak Cezar Borgia powtarzał, że Holandya jest karczochem, który po listku jeść należy.

Flamandzycy nie bardzo się bronili; czuli, że książę Andegaweński bronił ich przeciw Hiszpanom: powoili przyjmowali wybawcę, ale go przyjmowali.

Franciszek niecierpliwił się i tupał nogami, widząc jak tępo mu idzie.

— To lud powolny i nieufny, mówili mu przyjaciele, bądźmy cierpliwi.

— To lud zdradziecki i zmienny, mówiono do Taciturna—zmusić go.

Wynikło więc, że książę andegaweński począł brać szturmem miasta, które się poddać niechciały.

Tego właśnie tylko czekali: jego sprzymierzeniec książę Oranii i nieprzyjaciel Filip II.

Po niejakiem powodzeniu, książę andegaweński, stanął obozem pod Antwerpią, celem skłonienia go do poddania się.

Prawdę mówiąc, Antwerpia przyzywała księcia andegaweńskiego przeciw Alexandrowi Farnése; kiedy zaś książę andegaweński chciał wejść do Antwerpii, Antwerpia zwróciła przeciw niemu armaty.

Otóż w jakim położeniu znajdował się Franciszek w chwili, kiedy go spotykamy, nazajutrz po przybyciu z flotą admirała Joyeuse.

XXIX.

Przygotowania do bitwy.

Obóz nowego księcia Brabancyi rozłożył się na obydwóch brzegach Escaut: wojsko chociaż karne było jednak miotane niespokojnością łatwo do odgadnienia.

W rzeczy samej, wielu protestantów było przy księciu andegaweńskim, nie dla tego aby mu byli przychylni, ale dla tego, aby dokuczyć katolikom Hiszpańskim, francuskim i angielskim; walczyli więc dla miłości własnej ale nie z przekonania i wszyscy przewidywali, że kiedykolwiek opuszczą albo podadzą warunki.

Prócz tego, książę andegaweński obudzał w nich niejake nadzieje, albowiem mawiał: Henryk Nawarski został katolikiem, dla czegożbym ja nie miał zostać hugonotem?

Z drugiej strony, przeciwnie, to jest u nieprzyja-

ciela oprócz rozróżnień politycznych i moralnych, była rzecz postanowiona, zupełnie wolna od dumy i zawiści...

Antwerpia z początku, miała chęć poddania się lecz pod warunkami i w swoim czasie; nie odrzucała ona stanowczo Franciszka, lecz chciała czekać ufając swojej odwadze i duchowi wojennemu mieszkańców; wiedziała przytem, że wyciągnawszy rękę znajdzie oprócz Gwizyusza w Lotaryngii, Farneza w Luxemburgu. Dla czegoż w ciężkiej potrzebie nie ma żądać pomocy Hiszpanii przeciw księciu andegaweńskiemu, jak przyjęła pomoc przeciw Hiszpanii? Ci ludzie mieli za sobą siłę żelazną i rozsądek.

W tem nagle ujrzeni w ujściu Escaut flotę francuzką i dowiedzieli się, że ona przynosi pomoc ich nieprzyjacielowi.

Księżę andegaweński, od chwili oblegania Antwerpii był ich nieprzyjacielem.

Protestanci przy księciu Andegaweńskim, postrzegłszy flotę i dowiedziawszy się o przybyciu admirała Joyeuse tak samo skrzywili się jak flamanczyce. Protestanci byli waleczni, ale zarazem zawistni; pomijali kwestye pieniężne, ale z przykrością patrzyli, że im obrywają wawrzyny temi samemi mieczami, które w dzień Ś-go Bartłomieja ich krew przelewały.

Ztąd powstało mnóstwo kłótni w dzień przybycia admirała a nazajutrz powiększyła się ich liczba.

Antwerpianie z wałów codzien patrzyli na dziesięć albo dwanaście pojedynków pomiędzy hugonotami a katolikami odbytych; półdery (równiny) służyły

za pole walki, a rzeka połykała trupów. Gdyby nie oblężenie, mogliby być pewni, że nieprzyjaciel sam się zniszczy.

Franciszek we wszystkich tych klótniach był pośrednikiem, ale nie bez trudności, w stosunkach z hugonotami francuzkiemi lękał się ich obrazić aby swojej nie pogorszyć sprawy.

Z drugiej strony obrażać katolików, było nietylko nie politycznem, ale nawet i niebezpiecznem.

Osiągnięcie przez księcia andegawęńskiego zamierzonego celu, miało podwójną korzyść, upokorzenia Hiszpanii i Lotaryngii.

Ale oszczędzając obadwa stronnictwa, karność wojskowa wiele cierpiała.

Joyeuse, któremu z początku zaraz nie podobała się wyprawa, w przykrem był położeniu patrząc na ludzi rozmaitych uczuć: przewidywał, że czas powodzenia przeminął, coś jakby przecucie klęski wciąż się w nim odzywało i jako dworak i wódz wyrzekał, że przybył tak z daleka, aby podzielać przegraną.

Czuł i mówił, że księżę andegawęński źle czynił oblegając Antwerpią, księżę Oranii, który mu to doradzał znikł i niewiadomo co się z nim stało; wojsko jego stało garnizonem w mieście, a on z niego przyrzekał pomoc; jednak mówiono, że nastąpiło poróżnienie pomiędzy żołnierzami Wilhelma i mieszkańcami Antwerpji i ani jeden pojedynek nie rozweselił oblężonych od chwili jak podstąpiono pod miasto.

Joyeuse utrzymywał że ważną jest rzeczą posiadać miasto, tak wielkie jak stolica; lecz posiadać je do-

browolnie; wziąć je zaś szturmem, jest to narażać się na niebezpieczeństwo dzisiaj lub jutro przyjsć mogące.

To zdanie Joyeuse objawił, nawet w namiocie księcia, tej samej nocy, kiedyśmy czytelników wprowadzili do francuskiego obozu.

Kiedy wodzowie radzili, książe siedząc słuchał nie mowy admirała, ale żarcików lutnisty, Aurillego.

Aurilly blahemi dowcipkami, podłem pochlebstwem pozyskał łaski księcia; nigdy mu nie usłużył jak inni i dla tego, umiał uniknąć skały, o którą się Mole, Colonas, Pussy i tylu innych rozbilo.

Lutnią, usługami w miłośkach, doniesieniami o intrygach dworu, zrobił ogromny majątek, który tak ukrywał, że udając biednego muzyka, ubiegał się o talara, jakby z głodu umierał.

Wpływ tego człowieka był ogromny, tem pewniej że tajemny.

Joyeuse widząc go jak odwraca uwagę księcia, cofnął się w tył przerywając rozmowę.

— Czy wasza K. Mość chcesz mnie słuchać—rzecze Joyeuse.

— Ja słucham, panie Joyeuse, słucham — odpowiedział książe wesolo. Ah! wy paryżanie sądzicie, że wojna tak mnie strudziła, iż dwóch rzeczy słuchać razem nie mogę, kiedy Cezar siedm listów razem dyktował.

— Mości książe—odpowie Joyeuse, rzucając na muzyka upokarzające spojrzenie—nie jestem śpiewakiem, abym potrzebował akompaniamentu kiedy mówię...

— Dobrze, dobrze, milcz Aurilly.

Aurilly skłonił się.

— Zatem—mówił Franciszek—panie Joyeuse nie potwierdzasz mojego zamiaru uderzenia na Antwerpią.

— Nie, mości książe.

— A jednak ten plan na radzie przyjąłem.

Dla tego nie śmiem się odzywać przeciw zdaniu doświadczonych wodzów.

Wiele głosów odezwało się popierając zdanie admirała.

— Lecz nakoniec—zawoła książe—potrzeba aby moje stanowisko coś tutaj znaczyło. Jestem księciem Brabancyi i hrabią Flandryi z nazwiska, niechże nim będę i z czynu. Taciturne, który Bóg wie gdzie się ukrywa, mówił o koronie. Gdzie ta korona? w Antwerpii. Gdzież ona? w Antwerpii zapewne. Trzeba więc wziąć Antwerpią a będziemy wiedzieli czego się trzymać.

— Mości książe, rzecze Joyeuse musisz już teraz wiedzieć, chyba nie jesteś tak dobrym politykiem, jak sądzę. Kto ci poradził wziąć Antwerpią? Książe Oranii, który znikł przed rozpoczęciem szturm; książe Oranii, który dając ci tytuł księcia, sobie rządy zachował; książe Oranii, który ma interes za twoją pomocą zniszczyć Hiszpanów, a ciebie przez Hiszpanów; książe Oranii który cię ubieży, jeżeli już nie ubiegł. Książe Oranii... Ah! Mości książe, dotąd idąc za jego radami tylko oburzyłeś Flamandczyków. Niech tylko nogą ci się podwinie, ci co teraz patrzeć na ciebie

nie śmieją, będą cię gonić jak psy, które ścigają uciekających.

— Więc się lękasz kłęski?

— Tak, Mości ksiązę, lękam się.

— Zatem nie będziesz walczył?

— A po cóż tu przybyłem?

— Dziwi mnie, admirale, że wątpisz o swojej własnej odwadze.

— Mości ksiązę nie wątpię o mojej odwadze; pierwszym będę na polu bitwy i pierwszy będę pokonanym, ci co w tyle, będą ostatni, otóż wszystko.

— Lecz nakoniec, panie Joyeuse, twoje rozumowanie nie ma sensu, wszak powiadasz, że wziąłem mniej obronne miejsca.

— Wziąłeś, Mości ksiązę to, co się nie broniło.

— A więc, skoro wziąłem miejsca, które się nie broniły, nie cofnę się przed większymi, które się bronią, albo raczej które grożą obroną.

— Mości ksiązę, spojrzij na wojsko księcia Oranii; wszak to twoje, nieprawdaż? zamiast obozować pod Antwerpią, ono jest w mieście: spojrzij na Taciturna, nie tylko nie wiesz gdzie się podział, ale nawet lękasz się czy z przyjaciela nie został wrogiem; spojrzij na flamandczyków, kiedy przybyłeś do Flandryi, witali cię okrzykami, teraz zaś zamykają ci drzwi przed nosem i wymierzają armaty jakbyś był księciem Alby; otóż Mości ksiązę, co powiem: Flamandczykowie, Holendrzy, Antwerpia i ksiązę Oranii, czekają tylko sposobności, aby się przeciw tobie połączyć, a tą będzie kiedy każesz dać ognia.

— A więc—odpowie książę Andegaweński —za jednym razem wszystkich pobijemy.

— Nie, Mości książę, bo za mało mamy ludzi do szturmowania Antwerpii.

— Zatem trwasz w swoim zdaniu? że będziemy pobici.

— Niezachwianie.

— Łatwo tego uniknąć możesz, panie de Joyeuse—odpowie książę z cierpkością; mój brat przysłał cię, abyś mnie wspierał; nie będziesz odpowiedzialnym gdy ci powiem, że niepotrzebuję twojej pomocy.

— W. K. Mość możesz rozkazać mi oddalić się, ale w dzień bitwy, to dla mnie wielka hańba.

Długi szmer nastąpił po słowach admirała, książę pojął, że był bardzo daleko.

— Mój drogi admirale—rzecze—zdaje mi się jednak, że ja mam słuszość; mówisz, że popełniłem błądy, znam je. Lecz kiedy złe jest dokonane, dla czego gorsze popełniać?

Stoimy w obec ludzi, którzy nam odmawiają tego, co sami ofiarowali. Czy chcesz abym im ustąpił? jeżeli to uczynię, odbiorą mi to, com podbił, oto moje zdanie.

— Skoro W. Książęca mość tak mówisz, ani wyrazu nie dodam; jestem gotów na W. K. Mości rozkazy i to tak chętnie, jakbym niechybnie widział zwycięstwo. Jednakże, Mości Książę, możesz obojętnie patrzeć na klęskę, jaką ci, ci pijacy zadadzą, ale czy zniesiesz gdy Gwizyusz z ciebie naśmiewać się będzie?

— Gwizyusz?—rzecze—a on co tutaj ma za sprawę?...

— Gwizyusz—mówił dalej Joyeuse—kusił się jak powiadają zamordować W. Książęcą mość; jeżeli Salcede nie przyznał się do tego na rusztowaniu, przyznał to poufnie. Oh! jakążby to była radość dla Lotaryngczyka, gdyby nas pobito i gdyby bez kosztu stało się to, za co tak drogo Salceda zapłacił. Czytaj, Mości książę historię Flandryi, a przekonasz się, że Flamandczycy mają zwyczaj najszlachetniejszą krewią francuzką swoje pola uprawiać.

— Dobrze, Joyeuse—rzecze książę—może się cieszyć Lotaryngczyk, że mnie widział nie żywym, ale nigdy z tego, żem uciekał.

Następnie, zwracając się do panów, którzy w czasie rozmowy z admirałem, oddalili się, rzecze.

— Panowie, szturm: deszcz ustał, grunt podesechł, tej nocy atakujemy.

Joyeuse skłonił się.

— W. K. Mość raczy swoje rozkazy wydać po szczególe—rzecze—czekamy na nie.

— Natrzesz na linią i staniesz wprost zatoki; z tamtąd jeżeli bronić się będą, natrzesz na miasto, usiłując wysadzić twoich tysiąc pięćset ludzi. Z reszty wojska dwie utworzę kolumny: jedną będzie dowodził Saint-Aignan, a drugą ja sam. Obydwie pójdą do szturm, skoro się działa odezwą. Kawalerya pozostanie w rezerwie na wypadek niepowodzenia, żeby wesprzeć odparte kolumny. Z tych trzech napadów, jeden pewnie się uda.

Skloniono się na znak przyzwolenia.

— Teraz panowie—rzecz książe—milczenie. Pobudzić uspione wojska i gotować się w porządku: niech ogniska i strzały nie zdradzają naszego zamiaru. Ty admirale będziesz w porcie, za nim się dowiedzą o twoim wyjeździe. My, którzy się lewym brzegiem udamy, jednocześnie przybędziemy. Dalej, panowie, odwaga, szczęście, które nam towarzyszyło, nie zleknie się w Escaut z nami przebywać.

Wkrótce całe mrowisko obozu było w ruchu i sprawiało szum pomieszany, co można było wiać za wiatr igrający po trzcinie i zielskach.

Admirał udał się na swój pokład.

XXX.

Jego Książęca Mość.

Tymczasem, mieszkańcy Antwerpji z niespokojnością spoglądali na wojenne przygotowania księcia andegawęńskiego i Joyeuse nie mylił się wcale przypisując mu najgorsze chęci.

Antwerpja była jak ul wieczorem; spokojna i pusta na zewnątrz, w środku pełna ruchu i szmeru.

Zbrojni flamandzcy odbywali patrole po ulicach, zamykali domy, przeciągali łańcuchy i bratali się z szeregami księcia Oranii, których część stała

gornizonem w Antwerpii, druga zaś wchodziła oddziałami i rozsypywała się po mieście.

Kiedy wszystko było gotowe do silnej obrony, książę Oranii podczas ciemnej nocy, wjechał do miasta bez najmniejszej manifestacyi, ale z silnem postanowieniem dokonania tego, co zamierzył.

Zajął ratusz miejski, w którym jego zaufani stosowne na przyjęcie poczynili przygotowania.

Tam, przyjął dziesiętników i setników mieszczactwa, odbył przegląd oficerów na żołdzie, a nakoniec zwołał znaczniejszych dowódców, potrzebnych mu w jego zamiarach.

Stanowczem jego było postanowieniem skorzystać z położenia księcia andegaweńskiego względem miasta i zerwać z nim zupełne stosunki. Książę andegaweński szedł, gdzie mu Taciturne kazał, a ten zaś patrzył z radością jak nowy współzawodnik do Najwyższej władzy upada.

Tego samego wieczora, kiedy książę Andegaweński gotował się do ataku, jak to już widzieliśmy, książę Oranii, bawiący od dwóch dni w mieście, zwołał na radę plac-komendanta miejskiego.

Ilekróć rządca czynił jaką uwagę nad planem obrony księcia Oranii, jeżeli ta uwaga dążyła do opóźnienia planów, książę wstrząsał głową jakby dziwił się tej niepewności.

Ale za każdym wstrząśnieniem, komendant placu odpowiadał:

— Książę, wiesz, że zgodziliśmy się, aby Jego Książęca Mość przybył; czekajmy, niechaj przybędzie.

Na te wyrazy Taciturne brwi zmarszczył i zaczął gryźć paznogie, milczał przecież.

Wtedy każdy z obecnych spojrział na wielki zegar stołowy, jakby żądał przyspieszenia czasu na przybycie niecierpliwie oczekiwanej osoby.

Dziewiąta wybiła: niepewność stała się prawdziwą przykrością, albowiem kilka widet doniosło, że widziało ruch w francuzkim obozie.

Łódź małą i płaską jak miednica wyprawiono do Escaut; Antwerpianie, mniej dbając co się dzieje na lądzie, pragnęli mieć dokładne wiadomości o flocie francuzkiej, łódka nie wróciła.

Książę Oranii powstał i gryząc bawole rękawice rzekł:

— Panowie, J. K. Mość dotąd na siebie czekać każe, póki Antwerpia wziętą i spaloną nie będzie; wtedy miasto pozna różnicę francuzów i Hiszpanów.

Te wyrazy nie uspokoily cywilnych oficerów; spojrzeli więc na siebie z niespokojnością.

W tej chwili, szpieg którego wysłano na drogę ku Malines, a który dotarł aż do Saint-Nicolas powrócił, donosząc, że nic nie widział coby zapowiadało przybycie oczekiwanej osoby.

— Panowie—wykrzyknął wtedy Taciturne—przekonajcie się, że na próżno czekamy, sami więc weźmy się do dzieła; czas nagli i prowincye nie są w nic zaostrzone, prawda, trzeba coś liczyć na wyższe talenty;

ale przedewszystkiem na samych siebie. Radźmy więc panowie,

Jeszcze nie skończył, gdy drzwi sali uchyliły się i sługa ratuszowy w nich się ukazał, wymawiając jeden wyraz, który stanął za tysiąc.

— Jego książęca Mość.

W głosie tego człowieka, w radości, której nie mógł ukryć spełniając swój obowiązek, można było czytać zapal ludu i ufność w tego, którego pełnym uszanowania i zagadkowym wyrazem oznaczono.

— Jego książęca Mość.

Zaledwie ten drżący od wzruszenia głos ucichł, aliści wysoki i rozkazującej postawy mężczyzna, odziany z wysokim wdziękiem w płaszcz, który go całego odziewał, wszedł do sali i grzecznie wszystkich obecnych powitał.

Na pierwszy rzut dumnego i przenikliwego oka, odróżnił księcia wśród jego oficerów, przystąpił ku niemu i podał rękę.

Książę uścisnął tę rękę z uczuciem i prawie z uszanowaniem.

Jeden drugiego nazwał księciem.

Po krótkim powitaniu, nieznajomy płaszcz zrzucił.

Miał na sobie kaftan bawoli, spodnie sukienne, i długie buty skórzane.

U boku wisiał mu długi miecz, zdający się koniecznie należeć do ubrania; u pasa miał sztylet, a obok niego torbę z papierami.

Kiedy zrzucił płaszcz, widać można było owe długie buty, o których mówiliśmy, zabłocone i zapylone.

Ostrogi zaczerwienione konia posoką głucho tętniały kiedy po posadzce przechodził.

Zajął miejsce przy stole rady.

— A więc, Mości książę—zapyta—coż postanowiono?

— Widziałeś, Mości książę, zapewne — odpowiedział Taciturne—że ulice są zabarykadowane.

— Widziałem.

— I domy ziemią pokryte — dodał jeden z oficerów.

— Tego widzieć nie mogłem; ale nie szkodzi ta ostrożność.

— I łańcuchy podwojone—rzekł drugi.

— Wybornie—odpowiedział nieznajomy z lekceważeniem.

— Czy wasza Wysokość nie zatwierdza tych środków obrony?—zapytał głos z wyrazem niespokojności i niezadowolenia.

— I owszem—odrzekł nieznajomy — jednak nie sądzę, aby w obecnych okolicznościach to wszystko na co przydać się mogło, to tylko utrudza wojsko i niepokoi mieszczan. Myślę, że macie plan ataku i obrony?

— Czekaliśmy tylko na Waszą Wysokość, aby go okazać—odpowiedział burmistrz.

— Dobrze, panowie, dobrze.

— Wasza wysokość przybyłeś za późno — dodał książę—a działać było potrzeba.

— Tak właśnie należy, a wiemy, że kiedy ty książę działasz, wszystko jest dobrze, ale i ja, moi panowie, wierzajcie mi, że nie traciłem czasu napróżno.

Następnie, odwróciwszy się do mieszczan, zapytał:

— Jakie wydaliście rozkazy?

— Wiemy od szpiegów—odrzecze burmistrz—że ruch przygotowuje się w francuzkim obozie i że mają iść do ataku; lecz nie wiemy z której strony napaść będą, takeśmy rozporządzili armaty, aby wszędzie były na wałach.

— Bardzo roztropnie—odpowiedział nieznajomy z lekkim uśmiechem i spojrzał ukradkiem na Taciturna, który będąc wykształconym w sztuce wojennej, pozwał o niej mówić mieszczanom.

— To samo uczyniliśmy z naszymi siłami—mówił dalej burmistrz—rozstawiliśmy je na całej przestrzeni murów i daliśmy rozkaz zbiegania się na pierwszy odgłos napadu.

Nieznajomy nie odpowiedział, zdawał się czekać aż książę Oranii odezwie się z kolei.

— Jednak — mówił dalej burmistrz—zdaje się i wielu członków rady na to się zgadza, że francuzi o czemś innym myślą a nie o wyłomie.

— A na co wyłom?—zapytał nieznajomy.

— Aby nas zatrwożyć i skłonić do zgody, która by miasto poddała francuzom.

Nieznajomy znowu spojrzał na Księcia Oranii; rzekłbyś, że go nic nie obchodzi co się wokoło niego dzieje, tak słuchał z niechcenia i nawet z lekceważeniem.

— Jednakże—odezwie się inny głos niespokojny—widziano dzisiejszego wieczora, w obozie przygotowania do ataku.

— To nic pewnego—odparł burmistrz — ja sam obserwowałem obóz strasburską lunetą i widziałem, że armaty stały jakby przykute do ziemi, a ludzie najspokojniej spać się kładli. Książę andegaweński dał obiad w swoim namiocie.

Nieznajomy znowu spojrzął na Księcia Oranii; tym razem, zdawało się, że lekki uśmiech przebiega po ustach Taciturna i jednocześnie wzruszenie ramionami przedłużyło jego postać.

— Moi panowie—odezwie się nieznajomy—w zupełnym jesteście błędzie; wcale nie napad na was gotują, ale chcą was powitać porządnym i silnym szturmem.

— Czy tak?

— I wasze plany, jakkolwiek zdają się wam do bremini, są niezupełne.

— Jednakże, Mości Książę...—odrzekli mieszczanie, upokorzeni, że poważano się powątpiewać o ich strategicznych zdolnościach.

— Niezupełnie—powtórzył nieznajomy—w tem, że czekacie na atak i wszystko na odparcie jego przygotowaliście.

— Nie inaczej.

— A ja wam powiadam, panowie, i jeżeli mi wierzyć będziecie...

— Niech wasza wysokość raczy dokończyć.

— Wy nie będziecie czekać, ale sami napadniecie.

— Wybornie—zawołał książę Oranii—oto nazywa się mowa.

— W tej chwili—mówił dalej nieznajomy, który

pojął, że w księciu znajdzie poparcie swojego zdania—statki pana de Joyeuse są gotowe.

— Jak wasza Książęca Mość wie o tem?—zapytali wszyscy burmistrze i inni członkowie rady.

— Wiem—odpowiedział nieznajomy.

Szmer powątpiewania jak powiew przebiegł zgromadzenie, lecz jakkolwiek był lekkim zadrasnął uszów zdolnego wojownika, który wyszedł na scenę, aby na niej według wszelkiego do prawdy podobieństwa główną odegrać rolę.

— Czy o tem powątpiewacie—spytał z największą spokojnością, jak człowiek przywykły do walczenia z uprzedzeniami, miłością własną i przesadami mieszczan.

— Nie wątpimy, ponieważ ty, Mości książę, mówisz o tem. Jednak niech wasza książęca Mość pozwoli nam powiedzieć...

— Mości panowie.

— Jeżeliby tak było...

— Cóż dalej?

— Mielibyśmy o tem wiadomość.

— Od kogo?

— Od naszego morskigo szpiega.

W tej chwili, człowiek pchnięty przez odzwierne-go wszedł krokiem ciężkim do sali; z uszanowaniem postąpił kilka kroków w pól ku burmistrzowi, w połowie do księcia Oranii.

— Ah!—zawoła burmistrz—to ty przyjacielu.

— Ja sam, panie burmistrzu—odpowiedział nowo przybyły.

— Mości książe—rzecze burmistrz—oto człowiek, którego wysłaliśmy na zwiady.

Na ten wyraz, Mości książe, który nie był skierowany do księcia Oranii, szpieg wydał znak podziwienia i radości, oraz spiesznie postąpił, aby zobaczyć tego, którego tym oznaczono tytułem.

Nowo przybyły był jednym z owych typów marynarzy flamandzkich, które łatwo bardzo poznać; głowę miał dużą, oczy niebieskie, szyję krótką i ramiona szerokie: gniótł on w dużych rękach wilgotną wełnianą czapkę i kiedy postąpił dalej, widać było za nim szeroką strugę wody.

Gruba odzież literalnie była przemokła i krople z niej spadały.

— Zuch, widać wpływ przybył—rzecze nieznajomy, spoglądając na majtka, z owem nawyknięciem powagi, która ujmuje i rozkazuje zarazem, albowiem mieści w sobie pieśczoć i władzę.

— Tak, Mości Książe—odrzekł z żywością marynarz—Escout jest szeroka i gwałtowna odnoga.

— Mów dalej, Goes—mówił nieznajomy, wiedząc, jaką ma cenę u prostego majtka mowienie mu po imieniu od wyższych.

Od tej chwili, zdawało się, że tylko nieznajomy dla Goes jest obecnym i dla tego, chociaż przez kogo innego wysłany, jemu samemu zdać był powinien rachunek, zwrócił się więc do niego.

— Mości Książe—rzecze—wypłynąłem najmniejszą moją łodzią i za pomocą hasła przerzynałem się

linią statków naszych na Escaut; dalej, dotarłem, aż do tych przeklętych Francuzów...

— Ah! przebacz, Mości Książę.

Goes zamilkł.

— Dalej, dalej — rzecz nieznajomy z uśmiechem—tylko w połowie jestem francuzem, zatem tylko wpół będę przeklęty.

— A więc, Mości Książę, ponieważ raczysz mi przebaczyć...

Nieznajomy skinął głową, a Goes mówił dalej:

— Kiedy płynąłem w nocy, robiąc wiosłem okręconem szmatami, słyszałem głos wołający: Hola, łodzi... myślałem, że na mnie wołają i chciałem coś odpowiedzieć, ale w tym samym czasie, posłyszałem wołanie: łodzi admirałska!

Nieznajomy spojrział po obecnych jakby chciał powiedzieć: a co nie mówiłem wam?

— W tej samej chwili—dalej mówił Goes—kiedy chciałem zawrócić na miejscu, uczułem straszne uderzenie; łódź moja zanurzyła się, woda zaciężyła na głowie i wpadłem w przepaść bezdenną; ale przecież wiry Escaut'u przypomniały sobie dawną naszą znajomość i znowu niebo ujrzałem. Była to poprostu łódź admirałska, która wożąc pana de Joyeuse od brzegu po mnie przebiegła. Bóg tylko wie jakim ocalałem sposobem.

— Dziękuję ci, waleczny Goes—rzecze książę Oranii, uszczęśliwiony, że jego przewidywania spełniały się—idź i milcz.

I wyciągając rękę ku niemu, podał kieskę do ręki.

Pomimo tego, majtek zdawał się na coś oczekiwać: żądał pożegnania od nieznanego.

Ten zrobił życzliwe poruszenie ręką, a Goes oddał się więcej uradowany tym znakiem, niżeli otrzymanym darem od księcia Oranii.

— A cóż—rzecze nieznamy do burmistrza—co mówisz na to? Czy francuzi tylko pozorny myślą wykonać atak i czy pan Joyeuse dla przepędzenia nocy udaje się z obozu na admiralską galeryę?

— Więc odgaduję, Mości Książę?—zapytali mieszczanie.

— Nie więcej od księcia Oranii, który we wszystkim jest mojego zdania. Ale jak jego wysokość dobrze wiem o wszystkim, a nadewszystko wiem, co jest z jednej i z drugiej strony.

I wskazał ręką na równiny osłonięte od wylewów ołowianemi tamami.

— Dla tego dziwi mnie, dla czego nie atakują tej nocy. Bądźcie panowie przygotowani; bo jeżeli im czas dacie, na seryo zaatakują.

— Ci panowie oddadzą mi słusność, że przed przybyciem W. K. Mości, toż samo im mówiłem.

— Ale — zapytał burmistrz — jak sądzisz Mości Książę, francuzi myślą atakować?

— Podług wszelkiego do prawdy podobieństwa w ten sposób: piechota jest katoliczką i sama będzie walczyć. To ma znaczyć, że będzie atakowała z jednej;

kawaleria jest kalwińska i także sama się będzie biła z drugiej. To już dwie strony. Marynarką dowodzi pan de Joyeuse, który przybywa z Paryża; dwór wie w jakim celu wyjechał i będzie chciał mieć udział w walce i chwale. Otóż trzy strony.

— A wiec uformujmy trzy korpusy—rzecze burmistrz.

— Uformujcie ponowie jeden, ale silny; uformujcie z najlepszego wojska, a hołotę zostawcie na murach. Tym korpusem wykonajcie śmiałą wycieczkę, a wykonajcie wtedy, kiedy francuzi najmniej się jej spodziewają. Oni chcą atakować, trzeba ich więc uprzędzić. Jeżeli będziecie szturmować, zginiecie, bo Francuzi w szturmie równych nie mają, jak wy nie macie równych w otwartym polu, kiedy zbliżenia do miasta brońcie.

Czoło Flamandczyków zajaśniało.

— A co mówiłem, panowie? — rzecze Taciturne.

— To wielki dla mnie zaszczyt—odrzekł nieznajomy—że nie wiedząc o tem, byłem tego samego zdania co pierwszy wódz wieku.

Obadwa grzecznie się uklonili.

— A więc zgoda—mówił dalej nieznajomy—zrobicie straszną wycieczkę na jazdę i piechotę; spodziewam się, że wasi dowódcy tak was powiodą, że odepriecie oblegających.

— Ale ich okręty, ale ich okręty! — mówił burmistrz—przeprą nasze statki i jak wiatr północny, za dwie godzin wpadną do miasta.

— Wszak macie sześć stałych okrętów, i trzydzieści łodzi w Sainte-Marie, to jest o milę stąd nieprawdaż? To wasza morska barykada, to łańcuch zamykający Escaut.

— Tak, Mości Książę, lecz jakim sposobem wiesz o wszystkim?

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Wiem, jak widzicie—rzecze—a w tem jest los bitwy.

— Kiedy tak rzecze — burmistrz — trzeba marynarce posłać posiłki.

— Przeciwnie; możecie ztamtąd użyć czterdziestu ludzi; dwudziestu ludzi pojętnych i odważnych, oraz pełnych poświęcenia wystarczy.

Antwerpianie wytrzeszczyli oczy.

— Czy chcecie—zapytał nieznajomy — zniszczyć flotę francuzką kosztem sześciu stałych waszych okrętów i trzydziestu łodzi?

— Hum! — odrzekli Antwerpianie i spojrzeli po sobie—nasze statki nie są jeszcze tak stare.

— Kiedy je drogo cenicie, zapłacą wam ich wartość.

— Otóż to ludzie—rzecze cicho Taciturne do nieznajomego — ludzie, z ktoremi każdodziennie walczyć musiałem. Gdybym miał tylko wypadki do pokonania, dawnobym skończył.

— Przekonajmy się panowie—znowu zaczął nieznajomy, niosąc rękę do torby przepelnionej papierami

mi—będziecie wynagrodzeni weksłami na samych siebie. Spodziewam się, że je za dobre uznacie.

— Mości książe—odezwie się burmistrz—po chwili rozwagi, z dziesiętnikami i setnikami—jesteśmy kupcami a nie panami; trzeba nam więc przebaczyć niejakie wahanie: bo nasza dusza nie w ciele, ale w kantorach. Jednakże są pewne okoliczności, w których dla ogólności dobra, czynimy poświęcenia. Rozrządzaj więc naszymi zapasami, jak sądzisz dobrem i użytecznym.

— Na honor, Mości Książe, bardzo jesteś szczęśliwy, mnie potrzeba było sześciu miesięcy czasu, abym otrzymał to, co ty w dziesięciu minutach.

— Panowie, rozporządzam więc waszemi statkami i to jak następuje: Francuzi z galerą admirałską na czele przedzierają się zechcą przez wasze statki; podwajam więc łańcuch zaporny dając mu dosyć długości, aby flota znalazła się pomiędzy waszemi łodziami. Wtedy, dwudziestu odważnych, których wybrałem, wzniesą ogień na starych waszych statkach napełnionych materyałami palnemi, a sami na jednej łodzi uciekną.

— Czy słyszycie—zawołał Taciturne—flota francuzka cała spłonie.

— Tak, cała—odrzekł nieznajomy — wtedy, nie będą mieli miejsca odwrotu ani morzem, ani lądem, bo jednocześnie rozerwiecie tamy Malines-Berchem de Lierre, Duffel i antwerską. Naprzód przez was odparci, następnie ścigani rozerwanemi tamami, otoczeni ze wszystkich stron niespodziewanemi i coraz po-

większającym się morzem, armia francuzka zostanie potopioną, wygładzoną i zniszczoną.

Oficerowie wydali okrzyk radości.

— Jedna jest tylko niedogodność — odezwał się książe.

— Jaka?—zawołał nieznajomy.

— Taka, że potrzeba przynajmniej dnia czasu dla wysłania rozkazów rozmaitych; tymczasem, zaledwie mamy tylko godzinę.

— Dosyc—odpowiedział ten, którego nazywano J. Książęcą Mością.

— Ale kto uwiadomi flotę?

— Już uwiadomiona.

— Przez kogo?

— Przemnie. Gdyby ci panowie nie chcieli mnie słuchać, kupiłbym ich.

— A Malines, Lierre, Duffel?

— Przejeżdżałem przez Malines i Lierre a posłałem agenta do Duffel, o jedenastej francuzi będą pobić, o pół nocy ich flota będzie spalona a o pierwszej, będą w pełnym oowrocie; kiedy Malines przerwie swoje tamy, Duffel odwróci kanały, cała przestrzeń stanie się wściekłym oceanem, który zatopi domy, pola, lasy, wsie, to prawda, ale także zatopi franuuzów tak, że noga nie powróci do Francyi.

Te wyrazy przyjęto z podziwieniem i trwogą; później, nagle Flamandczycy sypnęli oklaski.

Książę Oranii zrobił dwa kroki ku nieznajomemu i podał mu rękę.

— A więc, Mości książe, wszystko z naszej strony gotowe?

— Wszystko—odpowiedział nieznajomy—ale sądzę, że i u francuzów wszystko przygotowane.

I palcem wskazał na otwierającego drzwi oficera.

— Jasnie oświeceni i wielmożni panowie—odezwie się oficer — otrzymaliśmy wiadomość, że Francuzi ruszyli i postępują ku miastu.

— Do broni!—zawołał burmistrz.

— Do broni!—powtórzyli obecni.

— Cierpliwości, panowie — przerwał nieznajomy głosem męzkim i rozkazującym—pozwólcie mi zrobić jeszcze jedną uwagę ważniejszą nad wszystkie.

— Prosimy W. K. Mości—wszystkie odpowiedziały głosy.

— Francuzi mają być zaskoczeni niespodzianie, zatem nie będzie to walka, ani nawet odwrót, ale ucieczka, aby ich więc ścigać potrzeba być lekkimi przez Boga! przez pancerze, przez wasze zbroje, w których ruszać się nie możecie, przegrywacie bitwy, zatem precz zbroje!

I nieznajomy odkrył swoją szeroką pierś, którą tylko kaftan bawoli osłaniał.

— Znajdziemy się w roprawie, panowie dowódcy—mówił dalej nieznajomy — i tym czasem udajcie się na plac ratuszowy, gdzie znajdziecie wojsko w szyku bojowym.

— Dzięki ci, Mości Książe — rzecze książe Oranii do nieznajomego—zarazem ocalisz Belgią i Holandya.

— Za wiele zaszczytu—odpowiedział nieznajomy.

— A czy wasza Wysokość wydobędziesz miecz przeciw Francuzom?—zapytał Książę.

— Tak, postaram się, abym walczył w obec hugonotów—odrzekł nieznajomy, kłaniając się nieznajomym z uśmiechem, którego zazdrościł milczący towarzysz, a którego Bóg sam zrozumiał.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie drugim.

	Str.
I. Brat Boromeusz	1
II. Chicot łacinnik	11
III. Cztery wiatry	18
IV. Dalszy ciąg podróży i przypadków Chicota.	28
V. Trzeci dzień podróży	37
VI. Ernauton de Carmainges.	45
VII. Dziedziniac	55
VIII. Siedm grzechów Magdaleny.	67
IX. Bel-Esbat.	78
X. List pana de Mayenne	91
XI. Jak Modest Gorenflot błogosławił króla, gdy ten przejeżdżał obok klasztoru Jakóbinów	100
XII. Jak Chicot błogosławił króla Ludwika XI, za wynalezienie poczty i jak postanowił skorzystać z tego wynalazku.	113
XIII. Jak król Nawarry zgadł, że Turenusz znaczy Turenusz a Margota Margo	124
XIV. Alea, mająca trzy tysiące kroków.	134
XV. Gabinet Margarity.	141
XVI. Tekst i przekład	150
XVII. Poseł Hiszpański	161
XVIII. Ubodzy króla Nawarry	170
XIX. Prawdziwa kochanka króla Nawarry.	185

	Str.
XX. Chicot dziwi się, że jest tyle popularnym w mieście Nérac	196
XXI. Wielki łowczy króla Nawarry	212
XXII. Jak na wilka polowano w Nawarze	220
XXIII. Jak Henryk król Nawarry sprawił się pierwszy raz w ogniu	230
XXIV. Co działo się w Luwrze w tym czasie, kiedy Chicot wyjeżdżał do Nérac	241
XXV. Czerwone i białe pióro	256
XXVI. Drzwi się otwierają	265
XXVII. Jak wielka pani w roku zbawienia 1596 kochała	273
XXVIII. Co się działo w zakładzie pani Fournichon i w tajemniczym domku	287
XXIX. Co robił we Flandryi Jego Książęca Mość Franciszek Książę Andegaweński, Brabancki i hrabia Flamandzki.	297
XXX. Przygotowania do bitwy	308
XXXI. Jego Książęca Mość	316